

GUILLAUME MUSSO

Każdy z nas ma trzy życia: publiczne, prywatne i sekretne...
Gabriel García Márquez

SEKRETNE ŻYCIE PISARZY

ALBATROS

Fascynująca powieściowa łamigłówka stworzona przez gwiazdę współczesnej literatury francuskiej.

W 1999 roku, opublikowawszy trzy kultowe powieści, sławny autor Nathan Fawles ogłosił koniec pisarskiej kariery i zaszył się na Beaumont, dzikiej wyspie na Morzu Śródziemnym.

Jesień 2018 roku. Od 20 lat Fawles nie udzielił żadnego wywiadu. Jako że jego książki wciąż przykuwają uwagę czytelników, Mathilde Monney, młoda szwajcarska dziennikarka, zjawia się na wyspie, zdeterminowana, by poznać sekrety pisarza. Tego samego dnia na plaży zostaje znalezione ciało martwej kobiety, a władze otaczają wyspę kordonem.

Tak zaczyna się niebezpieczne starcie twarzą w twarz pomiędzy Mathilde i Nathanem, w którym namiętność mierzy się ze strachem, a zawołowana prawda z wyrachowanym kłamstwem...

GUILLAUME MUSSO

SEKRETNE ŻYCIE PISARZY

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

GUILLAUME MUSSO

Autor szesnastu bestsellerów, od dziewięciu lat nieprzerwanie utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy. Debiutował w 2001 r. thrillerem *Skidamarink*, doskonale przyjętym przez krytykę. Druga powieść, thrillerem **Potem...**, zainspirowana wypadkiem samochodowym, z którego cudem uszedł z życiem, rozpoczęła jego spektakularną międzynarodową karierę. Łączny nakład jego powieści – przełożonych na 42 języki – przekroczył 35 milionów egzemplarzy. Kluczem do sukcesu Musso jest łączenie wątków miłosnych, kryminalnych i – czasami – fantastycznych, w doskonałym i niemożliwym do naśladowania stylu.

guillemmusso.com

Tego autora

POTEM...
URATUJ MNIE
BĘDZIESZ TAM?
PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM
WRÓCĘ PO CIEBIE
KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE?
PAPIEROWA DZIEWCZYNA
TELEFON OD ANIOŁA
7 LAT PÓŹNIEJ...
JUTRO
CENTRAL PARK
TA CHWILA
DZIEWCZYNA Z BROOKLYNU
APARTAMENT W PARYŻU
ZJAZD ABSOLWENTÓW

Wkrótce

SEKRETNE ŻYCIE PISARZY

Tytuł oryginału:
LA VIE SECRE`TE DES ÉCRIVAINS

Copyright © Calmann-Lévy, 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2020

Redakcja: Aleksandra Żdan

Zdjęcie na okładce: © Alexandre Capellari/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8215-208-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

*

—

[Prolog](#)

*

—

[Pisarz, który przestał pisać](#)

*

—

[1. Podstawowa zaleta każdego pisarza](#)

*

—

[2. Nauczyć się pisać](#)

[3. Lista zakupów pisarza](#)

*

—

[4. Wywiad z pisarzem](#)

*

—

[Złotowłosy anioł](#)

*

—

[6. Wakacje pisarza](#)

[7. W pełnym słońcu](#)

[8. Każda osoba jest cieniem](#)

[9. Nasza śmierć](#)

[Niežnośna prawda](#)

[10. Pisarze contra mundum](#)

[11. Nokturn](#)

[12. Zmienne oblicze](#)

[13. Miss Sarajewo](#)

[14. Dwóch uciekinierów znikąd](#)

[Epilog](#)

[Postscriptum do Sekretnego życia pisarzy. Guillaume Musso](#)

[Prawda a fikcja](#)

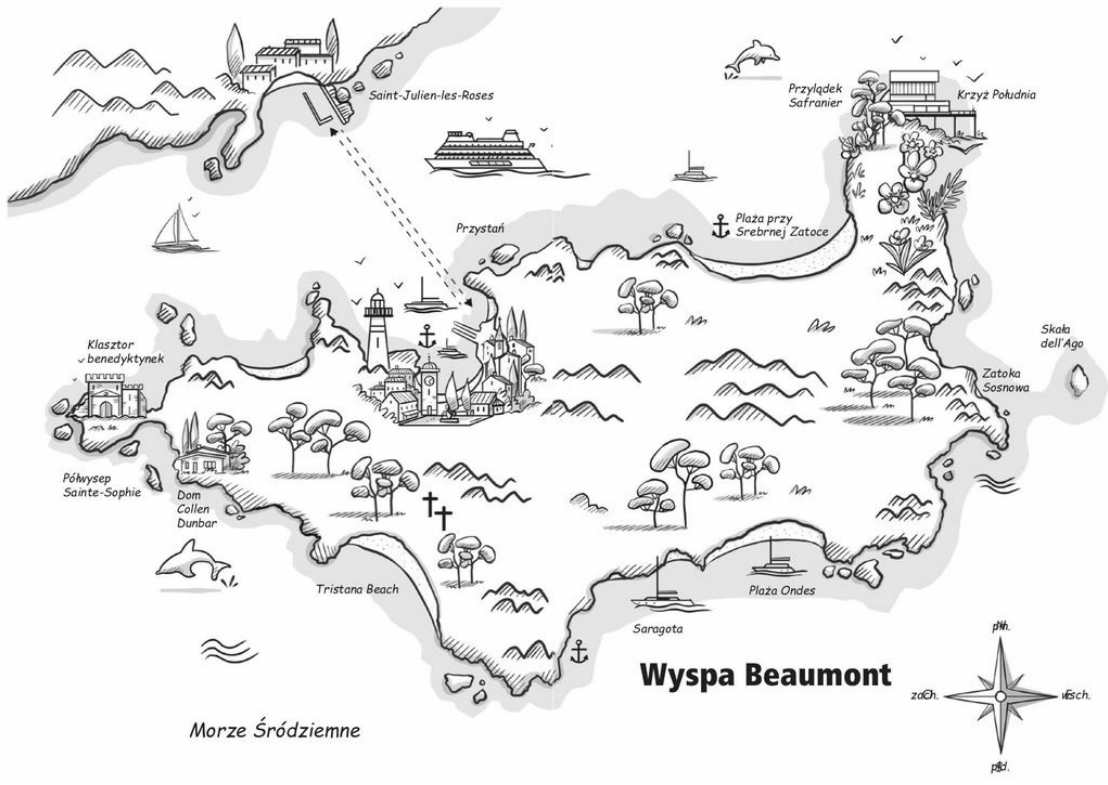
Spis cytowanych dzieł

Przypisy

Dla Nathana

Człowiek, żeby przeżyć, musi opowiadać.

Umberto Eco, *Wyspa dnia poprzedniego*



PROLOG

Tajemnica Nathana Fawlesa

(„Le Soir” – 4 marca 2017)

Autor słynnej powieści *Lorelei Strange*, który prawie dwadzieścia lat temu znikł ze sceny literackiej, nadal fascynuje czytelników w każdym wieku. Fawles wycofał się z życia publicznego i zamieszkał na jednej z wysp Morza Śródziemnego. Od tego czasu uporczywie odmawia kontaktu z mediami. Oto informacje, które udało nam się zdobyć na temat pustelnika z wyspy Beaumont.

Im bardziej chcesz coś ukryć, tym bardziej ludzi to fascynuje – jest to tak zwany efekt Streisand, perwersyjny mechanizm, którego ofiarą padł francusko-amerykański pisarz Nathan Fawles, gdy mając trzydzieści pięć lat, wycofał się z życia publicznego. Minęły dwie dekady, a otaczająca go tajemnica wciąż wzbudza niezdrową ciekawość i mnoży plotki.

Fawles, syn Amerykanina i Francuzki, urodził się w Nowym Jorku w 1964 roku. Dorastał na przedmieściach Paryża. Na studia wyjechał do Stanów – najpierw do Phillips Academy, później na Uniwersytet Yale. Z dyplomem prawa i nauk politycznych zaczął pracę w terenie dla różnych organizacji humanitarnych, w tym dla Lekarzy bez Granic. Brał udział w akcjach walki z głodem, zwłaszcza w Salwadorze, Armenii i Kurdystanie.

WIELKA KARIERA

Do Nowego Jorku wrócił w 1993 roku, gdy ukazała się jego pierwsza powieść *Lorelei Strange*. Jej treścią była wyimaginowana podróż inicjacyjna dziewczyny zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym. Sukces nie przyszedł od razu. Dopiero po kilku miesiącach marketing szeptany, zwłaszcza wśród młodzieży, sprawił, że tytuł wysforował się na pierwsze miejsca list bestsellerów. Dwa lata później prawie tysięcznicowe *Amerykańskie miasteczko*, fascynująca powieść rzeka, przyniosło Fawlesowi Nagrodę Pulitzera. Autora zaliczono wówczas do grona najoryginalniejszych współczesnych amerykańskich pisarzy.

Pod koniec 1997 roku – niespodzianka! Fawles przeprowadził się do Paryża i wydał nową powieść, tym razem po francusku. *Rażeni piorunem* to nie tylko rozdzierająca historia miłosna, ale też zapiski

z rozmyślań na temat żałoby, życia wewnętrznego i mocy słowa pisanego. Jako gość w specjalnym wydaniu prestiżowego programu telewizyjnego poświęconego książkom, *Bouillon de culture*, Fawles, zaproszony wraz z Salmanem Rushdiem, Umbertem Eco i Mariem Vargasem Llosą, podbił serca Francuzów. W programie tym pojawił się jeszcze raz w listopadzie następnego roku. Jak się później okazało, było to jego ostatnie wystąpienie publiczne. Siedem miesięcy później w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat w bulwersującym wywiadzie udzielonym AFP Fawles powiadomił o decyzji o zakończeniu kariery pisarskiej.

ODLUDEK Z WYSPY BEAUMONT

Ogłoszone postanowienie okazało się nieodwołalne. Fawles zamieszkał na wyspie Beaumont i nie tylko nigdy już nic nie opublikował, ale też nie udzielił żadnego wywiadu. Systematycznie odrzucał propozycje adaptacji swoich powieści (przedstawiciele Netflixa i Amazona, mimo że podobno proponowali mu złote góry, odeszli z kwitkiem).

I tak od prawie dwudziestu lat głucha cisza na jego temat wciąż napędza ludzką wyobraźnię. Dlaczego Nathan Fawles u szczytu sławy odseparował się od świata?

„Nie ma żadnej tajemnicy Nathana Fawlesa! – zapewnia Jasper Van Wyck, jego wierny agent. – Nie ma żadnego sekretu! Nathan po prostu zajął się czymś innym. Definitywnie zrezygnował z pisania i świat wydawniczy przestał go interesować”.

Zapytany o życie codzienne pisarza, Van Wyck nie zdradził nic konkretnego. „Z tego, co wiem, Nathan zajmuje się swymi prywatnymi sprawami” – powiedział.

ŻEBY ŻYĆ SZCZĘŚLIWIE, ŻYJMY W UKRYCIU

Aby uciąć dalsze indagacje, Van Wyck dodał, że Nathan od dwudziestu lat nie napisał ani jednego zdania.

„Nawet jeśli *Lorelei Strange* często porównuje się do *Buszującego w zbożu*, Fawles to nie Salinger. Nie ma w domu sejfu pełnego rękopisów. Już nigdy nie będzie nowej książki Nathana Fawlesa. Nawet po jego śmierci!” – rzekł.

Lecz ciekawskich trudno zniechęcić. Mijały lata i wielu czytelników oraz dziennikarzy wybierało się na wyspę Beaumont, aby pospacerować przed willą pisarza, której drzwi były zawsze zamknięte na cztery spusty. Nieufność Fawlesa do obcych udzieliła się wszystkim mieszkańcom wyspy. Nic dziwnego w miejscu, którego dewizą były od zawsze słowa: „Żeby żyć szczęśliwie, żyjmy w ukryciu”.

„Urząd miejski nie podaje żadnych informacji o mieszkańcach wyspy, sławnych czy nie” – poinformował nas sekretariat merostwa. Również niewielu mieszkańców wyspy zgadzało się rozmawiać o pisarzu. Nasze pytania spotykały się z ostrożnymi odpowiedziami.

„Nathan Fawles wcale się nie chowa, żyje jak każdy z nas – zapewniała Yvonne Sicard, żona miejscowego lekarza. – Często widzimy, jak przyjeżdża swoim mini mokiem na zakupy do Ed’s Corner, naszego jedyne go minimarketu”.

„Bywa u mnie w pubie, zwłaszcza gdy grają piłkarze Olympique de Marseille” – dodał właściciel lokalu. Jeden z klientów dorzucił, że Nathan nie jest żadnym pustelnikiem, jak go czasem nazywają dziennikarze: „To po prostu miły facet, który zna się na piłce nożnej i lubi japońską whisky. Irytuje go tylko, gdy ludzie natrętnie wypytują o jego powieści lub w ogóle o literaturę, i od razu wychodzi”.

PUSTE MIEJSCE W ŚWIECIE LITERATURY

Fawles ma wielu wielbicieli wśród kolegów po piórze. Jednym z tych, którzy wynoszą go pod niebiosa, jest Tom Boyd.

„Zawdzięczam mu najpiękniejsze chwile lektury! Fawles należy bez wątpienia do grupy tych kilku pisarzy, wobec których mam największy dług!” – twierdzi autor *Trylogii anielskiej*. Podobnie Thomas Degalais, który uważa, że swymi trzema powieściami autor zapisał się złotymi zgłoskami w historii literatury. „Oczywiście, tak jak wszyscy żałuję, że Fawles zamilkł! – mówi francuski pisarz. – Bardzo go nam brakuje. Chciałbym, żeby wrócił do pracy, ale odnoszę wrażenie, że to nigdy już nie nastąpi”.

Rzeczywiście na to wygląda. Nie zapominajmy jednak, że mottem ostatniej powieści Fawlesa były słowa króla Leara: *To gwiazdy, gwiazdy wysoko na niebie rządzą naszym życiem...*

Jean-Michel Dubois

PISARZ, KTÓRY PRZESTAŁ PISAĆ

Wydawnictwo Calmann-Lévy
rue du Montparnasse 21
75006 Paris

Numer, na który należy się
powołać w dalszej korespondencji: 379529

Pan Raphaël Bataille
avenue Aristide-Briand 75
92120 Montrouge

Paryż, 28 maja 2018 r.

Szanowny Panie,

otrzymaliśmy maszynopis pańskiej powieści zatytułowanej *Nieśmiałość
szczytów* i dziękujemy za zaufanie, jakim Pan obdarzył nasze
wydawnictwo.

Tekst został dokładnie przejrzany przez komitet redakcyjny, niestety,
nie odpowiada on kryteriom, których obecnie przestrzegamy.

Życzymy Panu, aby jak najszybciej znalazł Pan wydawcę, który
zdecyduje się z Panem współpracować.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Sekretariat

PS Nadesłane teksty przechowujemy przez miesiąc. Gdyby chciał Pan,
abyśmy odesłali maszynopis, proszę przysłać kopertę ze znaczkiem.

1

Podstawowa zaleta każdego pisarza

*Podstawową zaletą każdego pisarza są
prężne pośladki.*

Dany Laferrière

Wtorek, 11 września 2018

1

Wiatr trzepotał żaglami pod uderzająco błękitnym niebem.

Żaglówka wypłynęła z przystani wczesnym popołudniem i sunęła teraz z szybkością pięciu węzłów w kierunku wyspy Beaumont. Siedziałem niedaleko steru, obok kapitana, i upajałem się perspektywą żeglowania po pełnym morzu. Promienie słońca igrały wśród fal, wpatrywałem się w to widowisko z zachwytem.

Tego ranka wcześniej wyszedłem z mieszkania na przedmieściach Paryża, chcąc zdążyć na szóstą na pociąg do Awinionu. W siedzibie papieży wsiadłem do autobusu, który zawiózł mnie do Hyères, a tam złapałem taksówkę do małego portu Saint-Julien-les-Roses, jedynej przystani, z której można było promem dostać się na wyspę Beaumont. Niestety, jak zwykle pociąg się spóźnił i ja również spóźniłem się pięć minut na to popołudniowe połączenie. Łaziłem bez celu po nabrzeżu, taszcząc za sobą walizkę, gdy kapitan jakiegoś holenderskiego żaglowca, który płynął na wyspę po klientów, uprzejmie zaproponował, że mnie zabierze.

Właśnie skończyłem dwadzieścia cztery lata i moje życie się skomplikowało. Dwa lata wcześniej ukończyłem w Paryżu wyższą szkołę handlową, ale nie szukałem pracy w tej branży. Studia zrobiłem tylko dla rodziców; nie zamierzałem żyć w rytmie zarządzania, marketingu czy finansów. Łapałem się różnych prac – musiałem płacić za mieszkanie – ale całą energię ostatnich dwóch lat poświęciłem na napisanie powieści *Nieśmiałość szczytów*, którą odrzuciło już z dziesięć wydawnictw. Wszystkie odmowne listy przyczepiłem pinezkami do

korkowej tablicy nad biurkiem. Za każdym razem, gdy wbijałem nową pinezkę, czułem, jakbym wbijał ją sobie w serce, bo moja rozpacz była równie wielka jak pasja do pisania.

Na szczęście te dołki nie trwały nigdy długo. Zawsze udawało mi się wmówić sobie, że niepowodzenia to wstęp do późniejszych triumfów. Miałem trochę słynnych przykładów. Jak choćby Stephena Kinga z jego *Carrie*, którą odrzuciło ponad trzydzieści wydawnictw... Połowa londyńskich oficyn zlekceważyła pierwszy tom *Harry'ego Pottera* pod pretekstem, że jest to powieść o wiele za długa dla dzieci... Zanim najbardziej chodliwy bestseller science fiction *Diuna* osiągnął sukces, jej autor Frank Herbert poniósł około dwudziestu porażek... Co do Francisa Scotta Fitzgeralda, to podobno wykleił ściany swego pokoju stu dwudziestoma dwoma listami odmownymi od gazet, którym proponował swoje opowiadania.

2

Jednak skuteczność metody Couégo ma swoje granice. Mimo wysiłków nie umiałem zmobilizować się do pisania. Nie z powodu syndromu pustej kartki czy też braku pomysłów, ale niszczącego wrażenia, że umysłowo stoję w miejscu, że nie wiem, dokąd zmierzam. Postanowiłem spojrzeć na wszystko z dystansu, okiem serdecznym, ale nieustępliwym. Na początku roku zapisałem się na kurs kreatywnego pisania, zorganizowany przez znane wydawnictwo. Wiązałem z tym kursem wielkie nadzieje, lecz szybko się rozczarowałem. Słynny w latach dziewięćdziesiątych pisarz Bernard Dufy, który prowadził zajęcia, przedstawił się jako „mistrz słowa”. Tak dokładnie się określił. „Wasza praca ma polegać na znalezieniu odpowiedniego języka, a nie odpowiedniej historii – powtarzał. – Treść ma być oparciem dla stylu, który jest najważniejszy. Forma, rytm, harmonia językowa to absolutna podstawa. Tylko tym powieść może się wyróżnić, bo od czasów Szekspira opisano już wszystko”.

Strata tysiąca euro, bo tyle kosztowały trzy czterogodzinne sesje „lekcji pisania”, porządnie mnie wkurzyła i puściła z torbami. Być może Dufy miał rację, ale osobiście byłem innego zdania: styl nie może być celem samym w sobie. Podstawową cechą pisarza winna być umiejętność wciągnięcia czytelnika w zniewalający świat interesujących bohaterów, tak aby mógł oderwać się całkowicie od codzienności. Styl to narzędzie narracji, która dzięki słowom może stać się ekscytująca. W gruncie rzeczy zdanie takich akademickich pisarzy jak Dufy miałem

w nosie. Jedyłą opinią, na której mi zależało, jedyną, z którą bym się liczył, była opinia mojego idola, ulubionego pisarza, Nathana Fawlesa.

Jego powieści odkryłem pod koniec okresu dorastania; Fawles już wówczas od dawna nie pisał. Trzeci tytuł, *Rażeni piorunem*, dostałem w prezencie w klasie maturalnej od mojej ówczesnej dziewczyny, Diane Laborie – była to rekompensata za zerwanie ze mną. Ta powieść poruszyła mnie dużo bardziej niż utrata pozornej miłości. Sięgnąłem po dwie poprzednie książki tego autora: *Lorelei Strange* i *Amerykańskie miasteczko*. Od tamtego czasu nie przeczytałem nic równie poruszającego.

Unikalny styl Fawlesa sprawiał, że miałem wrażenie, jakby autor zwracał się bezpośrednio do mnie. Jego powieści były płynne, żywe, intensywne. Nie jestem typem fana, ale wracałem do nich wielokrotnie, bo mówiły o mnie, o moich stosunkach z innymi, o trudności zarządzania własnym życiem, o bezbronności człowieka i o kruchości egzystencji. Dodawały mi siły i podwajały ochotę do pisania.

Gdy Fawles wycofał się ze sceny twórczej, wielu pisarzy próbowało pisać tak jak on, czerpać z elementów jego świata, naśladować formę i treść jego prozy. Nikt nie dorastał mu do pięt. Był tylko jeden jedyny Nathan Fawles. Mógł się podobać lub nie, ale trzeba było przyznać, że to ktoś wyjątkowy. Nawet gdy otworzyło się jego książkę na ślepo, po przeczytaniu jednej strony było jasne, że on jest autorem. Według mnie to była oznaka prawdziwego talentu.

Oczywiście ja również starałem się rozgryźć sekret siły jego stylu. No i bardzo chciałem nawiązać z nim kontakt. Czułem, że to próżny wysiłek, ale pisałem do niego wielokrotnie na adres francuskiego wydawnictwa i do jego amerykańskiego agenta. Wysłałem mu nawet swój rękopis.

Potem, jakieś dziesięć dni temu, w newsletterze witryny wyspy Beaumont spostrzegłem ogłoszenie z ofertą pracy w małej księgarni na wyspie. Księgarenka nazywała się Szkarłatna Róża. Wysłałem swoją aplikację mailem bezpośrednio do właściciela. Jeszcze tego samego dnia Grégoire Audibert zadzwonił do mnie przez FaceTime i oznajmił, że zostałem przyjęty. Stanowisko miało być wolne za trzy miesiące. Pensja nie była zbyt duża, ale Audibert zapewniał mi mieszkanie i dwa posiłki dziennie w Fort de Café, jednej z restauracji przy rynku.

Byłem zachwycony. Jeśli dobrze rozumiałem słowa księgarza, miałbym tam czas na pisanie, i to w inspirującej atmosferze. Poza tym, kto wie, może natknę się na wyspie na samego Nathana Fawlesa!

Kapitan przyhamował żaglami.

– Ziemia na horyzoncie! – wykrzyknął, wskazując brodą na wylaniającą się przed nami wyspę.

Wyspa Beaumont, położona o trzy kwadranse promem od wybrzeży Var, miała kształt rogalika. Był to łuk długości około piętnastu kilometrów, szeroki na sześć. Nazywano ją perłą Morza Śródziemnego, skarbcem przyrody nietkniętej ręką człowieka, pełnym fiordów, turkusowych zatoczek, sosnowych zagajników i piaszczystych plaż. Lazurowe Wybrzeże w dziewiczym stanie, takie jak kiedyś, bez turystów, betonowych zabudowań i zanieczyszczonego powietrza.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni miałem czas przejrzeć swoją dokumentację na temat wyspy. Od 1955 roku Beaumont należała do Gallinarich, trzymającej się w cieniu rodziny włoskich przemysłowców, którzy na początku lat sześćdziesiątych zainwestowali mnóstwo pieniędzy w jej zabudowę, doprowadzenie wody i wykopanie przystani, tworząc z niczego jeden z pierwszych portów jachtowych na wybrzeżu. Działano według planu gwarantującego pierwszeństwo dobru mieszkańców przed tak zwaną nowoczesnością. Jedynym zagrożeniem były grupy agresywnych spekulantów ziemią i budynkami, no i turystyka.

Rada wyspy, żeby zapobiec nadmiernej rozbudowie, ograniczyła po prostu dopuszczalną liczbę wodomierzy. Strategia ta była wzorowana na rozwiązaniu, które przez długi czas sprawdzało się w miasteczku Bolinas w Kalifornii. W rezultacie od trzydziestu lat liczba mieszkańców nie przekraczała tysiąca pięciuset. Nie było tu agencji nieruchomości, część dóbr zostawała w rodzinie, resztą zarządzano drogą kooptacji. Turystykę utrzymywano pod kontrolą dzięki nadzorowi komunikacji z kontynentem. Pełnia sezonu czy środek zimy, połączenie zapewniał tylko jeden przewoźnik – słynny stateczek *Nieustraszony*, szumnie nazywany promem. Pływał trzy razy dziennie – ósma, dwunasta, trzydzięci i dziewiętnasta – na trasie Beaumont–Saint-Julien-les-Roses i z powrotem. Wszystko odbywało się tak jak kiedyś, nie było rezerwacji i zawsze pierwszeństwo mieli mieszkańcy wyspy.

Beaumont nie było wrogie turystyce, ale nie miało turystycznego zaplecza. Na wyspie działały trzy kawiarenki, dwie restauracje i pub. Hotele nie istniały, mieszkańcy rzadko wynajmowali pokoje obcym. Ale im silniej zniechęcano ludzi do odwiedzania tego miejsca, tym większą wyspa wzbudzała fascynację. Oprócz stałych mieszkańców w lecie wynajmowało tu domy kilku bogatych ludzi, przemysłowców czy artystów, którzy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat upodobałi sobie to sztywne, sielskie miejsce z dala od cywilizacji. Właścicielowi firmy specjalizującej się w nowoczesnych technologiach oraz dwóm czy trzem przedstawicielom przemysłu winiarskiego udało się wykupić wille na

własność. Niezależnie jednak od swojego bogactwa czy otaczającej ich sławy, starali się żyć dyskretnie. Mieszkańcy wyspy tolerowali ich pod warunkiem podporządkowania się tradycyjnym wartościom, którym hołdowano na Beaumont. Zresztą ci, którzy mieszkali tu najkrócej, często okazywali się najbardziej zażartymi obrońcami miejscowych zwyczajów.

Separacja wyspy wzbudzała wiele krytyki i irytowała tych, którzy czuli się wykluczeni. Na początku lat osiemdziesiątych rząd socjalistów chciał wykupić Beaumont – oficjalnie po to, aby włączyć to miejsce w poczet skarbów narodowych, a tak naprawdę, aby położyć kres wyjątkowej pozycji wyspy. Spotkało się to z tak wielkim sprzeciwem, że projekt upadł. Od tego czasu pogodzono się z sytuacją: wyspa jest miejscem wyjątkowym i takim ma pozostać. U wybrzeży departamentu Var istnieje zatem prawdziwy raj, skąpany w krystalicznych falach Morza Śródziemnego. Kawalek Francji, a niezupełnie Francja.

4

Ciągnąłem walizkę po bruku. Przystań jachtowa była niewielka, ale idealnie zaprojektowana, żywa i malownicza. Miasteczko nad zatoką wyglądało jak amfiteatr: rzędy kolorowych domków błyszcząły na tle stalowego nieba. Przez chwilę czułem się jak na greckiej wyspie Hydra, którą w dzieciństwie zwiedzałem z rodzicami, ale moment później, wszedłszy na wąskie i strome uliczki, miałem wrażenie, jakbym znalazł się we Włoszech z lat sześćdziesiątych. Gdy wdrapałem się jeszcze wyżej, zauważyłem plaże i kremowe wydmy przypominające piaszczyste wybrzeże Massachusetts. Kółka walizki podskakiwały z trzaskiem na bruku uliczek wiodących do centrum, a ja zrozumiałem, że magia Beaumont polega właśnie na tej nieuchwytej atmosferze. Wyjątkowe, niespotykane miejsce, zmienne niczym kameleon. Nie było co się dłużej nad tym zastanawiać.

Szybko dotarłem do głównego place des Martyrs, który wyglądał jak z prowansalskiej pocztówki, prosto z powieści Jeana Giono. Był to newralgiczny punkt wyspy, w cieniu, pomiędzy wieżą z zegarem, pomnikiem ku czci poległych, szumiącą fontanną i terenem do gry w bule.

W zarośniętym dzikim winem murze sąsiadowały ze sobą wejścia do dwóch jedynych restauracji – Un Saint Jean Hiver i Le Fort de Café. Na tarasie tej drugiej spostrzegłem wysuszoną sylwetkę Grégoire’a Audiberta, który kończył porcję młodych karczochów

w oliwie. Wyglądał jak przedwojenny nauczyciel: krótka siwa bródka, obcisła kamizelka i długa marynarka ze zmiętego lnu.

On też mnie zauważył, po pańsku zaprosił do stolika i poczęstował lemoniadą, jakbym miał dwanaście lat.

– Wolę uprzedzić pana od razu, pod koniec roku zamykam księgarnię! – oznajmił prosto z mostu.

– Jak to?

– Dlatego właśnie szukałem pracownika: chcę, żeby ktoś mi wszystko uporządkował, obliczył i podsumował.

– Zamyka pan interes?

Kiwnął głową, wycierając resztę oliwy kawałkiem bułki.

– Dlaczego?

– Nie daję rady finansowo. Książki sprzedają się coraz słabiej i nie zanoszą na szybką poprawę. Zresztą z pewnością wie pan, o co chodzi. Toleruje się na wielką skalę giganty internetowe, które nawet nie płacą u nas podatków... – powiedział Audibert, wzdychając. – A poza tym, bądźmy realistami – dodał po chwili milczenia z prowokującym pesymizmem. – Po co fatygować się do księgarni, skoro można księgarnię sprowadzić sobie do domu trzema kliknięciami na iPhone!

– Po co? Z tysiąca powodów! – zaprotestowałem. – Próbował pan znaleźć kogoś, kto byłby pańską księgarnią zainteresowany?

Audibert wzruszył ramionami.

– Ona nikogo nie interesuje. Dziś książka jest najmniej rentownym towarem. Moja księgarnia nie pierwsza popłynie i nie ostatnia.

Wlał sobie resztę wina z dzbanka i wychylił je jednym haustem.

– No, chodźmy, pokażę panu Szkarłatną Różę! – rzekł, składając serwetkę i wstając od stolika.

Poszedłem za nim przez plac do księgarni. Na wyjątkowo smutnej wystawie kurzyły się książki, które musiały tam leżeć co najmniej od kilku miesięcy. Audibert pchnął drzwi i przepuścił mnie przed sobą.

Wnętrze sklepu było równie ponure. Zasłony pozbawiały pomieszczenie światła. Półki z orzechowego drewna wyglądały stylowo, ale stały na nich jedynie książki klasyczne, poważne, takie, których się nie czyta, ale które należałoby mieć. Kultura w sensie akademickim. Zaczynałem go rozumieć – Audibert prawdopodobnie dostałby ataku serca, gdyby musiał sprzedawać science fiction, opowieści fantastyczne czy mangę.

– Pokażę panu pański pokój! – oznajmił, wskazując na drewniane schody w głąbi.

Na pierwszym piętrze minęliśmy jego mieszkanie, na drugim był pokój ciągnący się przez całe poddasze, gdzie miałem zamieszkać ja. Gdy otworzyłem skrzypiące wielkie okna, odkryłem z zachwytem balkon, a właściwie taras, z którego był wspaniały widok na plac i morze. To

poprawiło mi humor. Stare uliczki wiły się ku wybrzeżu między domami z wiekowego kamienia koloru ochry.

Ułożyłem swoje rzeczy i zszedłem do sklepu. Chciałem pogadać z Audibertem, dowiedzieć się, czego konkretnie ode mnie oczekuje.

– Wi-fi nie działa tu zbyt dobrze – uprzedził, włączając zabytkowy komputer. – Dość często trzeba restartować router, zainstalowany jest na piętrze.

Zanim komputer zaczął działać, Audibert włączył małą płytę kuchenną i napełnił maszynkę do kawy.

– Napije się pan? – spytał.

– Z przyjemnością – odrzekłem.

Wyjął filiżanki, a ja tymczasem spacerowałem po księgarni. Nad biurkiem wisiała korkowa płyta, do której przypięte były pierwsze strony starych wydań pisma „Livres Hebdo” z czasów, kiedy jeszcze żył i publikował w nim Romain Gary (naprawdę nie przesadzam). Miałem ochotę odsłonić okna, pościągać z podłogi bladoliliowe poprzecierane dywany, pozmieniać rozmieszczenie półek z książkami i stołów do prezentacji.

Audibert jakby czytał w moich myślach.

– Szkarłatna Róża istnieje od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Dziś nie robi specjalnego wrażenia, ale kiedyś była to prawdziwa instytucja. Organizowaliśmy międzynarodowe spotkania autorskie, przyjeżdżały do nas sławy...

Wyjął z szuflady pamiątkową księgę oprawną w skórę i wręczył mi ją z zachęcającym uśmiechem. Przewracając strony, rozpoznawałem nazwiska słynnych postaci. Michel Tournier, Jean-Marie Gustave Le Clézio, Françoise Sagan, Jean d’Ormesson, John Irving, John Le Carré i... Nathan Fawles.

– Naprawdę chce pan zwinąć interes?

– Tak, bez żalu. Ludzie po prostu przestali czytać.

– Może nie przestali, tylko czytają inaczej... – zasugerowałem.

Audibert wyłączył gaz pod gwizdzącą kafetierą.

– No, wie pan, co mam na myśli – powiedział. – Nie mówię o zabawie w czytanie, mówię o prawdziwej literaturze.

No tak, prawdziwa literatura... W rozmowie z ludźmi pokroju Audiberta zawsze przychodzi moment, w którym pada to określenie. Prawdziwa literatura... Prawdziwy pisarz... Osobiście nigdy nie pozwalałem, żeby ktoś mi mówił, co mam przeczytać, a czego nie. Tego typu wymądrzanie się wydawało mi się bezgranicznym zarozumiałstwem.

– No, niech mi pan powie, zna pan dużo prawdziwych czytelników? – ożywił się Audibert. – Mówię o tych inteligentnych, którzy poświęcają czas, żeby naprawdę przeczytać wartościową książkę.

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął podekscytowany:

– Ilu według pana jest takich we Francji? Dziesięć tysięcy? Pięć? Może mniej.

– Pesymista z pana!

– Nie, nie! Trzeba się pogodzić z faktem, że przed nami rozpościera się literacka pustynia. Dziś każdy chce być pisarzem, nikt nie chce czytać.

Żeby przerwać tę bezsensowną rozmowę, pokazałem mu palcem zdjęcie Fawlesa wklejone do albumu pamiątkowego.

– Nathan Fawles... Zna go pan?

Audibert nieufnie ściągnął brwi.

– Trochę... O ile można znać Nathana Fawlesa.

Podał mi filiżankę z kawą. Płyn był koloru i konsystencji atramentu.

– Kiedy Fawles pojawił się u nas na spotkaniu autorskim ze swoją nową powieścią, w dziewięćdziesiątym piątym czy szóstym roku, był wtedy na wyspie pierwszy raz. Natychmiast się w niej zakochał. Pomogłem mu nawet w kupnie tej willi, która nazywa się Krzyż Południa. Ale później nasze stosunki się rozluźniły... właściwie zupełnie się urwały.

– Wpada tu od czasu do czasu?

– Nie zdarzyło mu się.

– Jeśli spróbuję go odwiedzić, myśli pan, że podpisze mi książkę?

– Radzę panu o tym zapomnieć. – Audibert westchnął, kręcąc głową. – Najwyżej zarobi pan śrutem.

**Wywiad z Nathanem Fawlesem w AFP
AFP – 12 czerwca 1999 (fragment)**

Jest pan pewien tej decyzji? Chce pan zakończyć karierę? U szczytu sławy? Przecież ma pan dopiero trzydzieści pięć lat!

Tak, mam już dość. Piszę bez przerwy od dziesięciu lat. Przez dziesięć ostatnich lat co rano siadałem na krześle i wpatrywałem się w ekran komputera. Chcę z tym skończyć.

Czy to nieodwołalna decyzja?

Nieodwołalna. Sztuka trwa, życie jest krótkie.

Ale w zeszłym roku oznajmił pan, że pracuje nad nową powieścią, podał pan nawet roboczy tytuł: *Niepokonane lato...*

Tak, miałem taki projekt, ale zarzuciłem go.

Co chciałby pan powiedzieć rzeszy czytelników, która czeka na pańską następną książkę?

Niech nie czekają, nie zamierzam już pisać. Ludzie muszą znaleźć sobie innych autorów. Pisarzy nie brakuje.

Czy trudno jest pisać powieści?

Tak, ale z pewnością jest dużo trudniejszych zajęć. Źródłem stresu przy pisaniu jest irracjonalna strona tego zajęcia: to, że napisał pan trzy powieści, nie oznacza, że uda się panu czwarta. Nie ma metody, nie ma reguł, nie ma wskazówek. Każda następna powieść to skok w nieznanie.

No właśnie, a co pan umie robić innego, poza pisaniem?

Podobno robię świetną potrawkę cielęcą w śmietanie.

Czy sądzi pan, że pańskie książki przejdą do historii?

Mam nadzieję, że nie.

Jak widzi pan rolę literatury we współczesnym świecie?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nie zamierzam tego robić.

Czy pańska decyzja dotyczy również udzielania wywiadów?

Tak, bo dałem ich o wiele za dużo. Odpowiadanie na pytania dziennikarzy to zajęcie, którego jedynym celem jest promocja książki. Przeważnie, a właściwie prawie zawsze, moje słowa są publikowane niedokładnie, zmienia się ich sens, wyjmuje z kontekstu. Mimo że jestem pełen dobrej woli, „wyjaśnianie” moich książek nie daje mi żadnej satysfakcji, a już w ogóle nie lubię pytań o moje poglądy polityczne czy życie prywatne.

Dokładna znajomość życia pisarza, którego się podziwia, pozwala lepiej zrozumieć treści, które przekazuje...

Odpowiem tu słowami Margaret Atwood, że chęć spotkania z pisarzem dlatego, że podobała nam się jego książka, jest jak szukanie osobistego kontaktu z gęsią, ponieważ lubi się pasztet z gęsich wątróbek.

Uważa pan, że czytelnik nie ma prawa porozmawiać z pisarzem na temat sensu jego pracy?

Nie, nie ma. Jedyne sensowny kontakt z pisarzem to przeczytanie tego, co napisał.

2

Nauczyć się pisać

*W porównaniu z zawodem pisarza posada
dżokeja wydaje się bezpieczna.*

John Steinbeck

Tydzień później
Wtorek, 18 września 2018

1

Nie minęło wiele czasu, bo tylko osiem dni, a i ja zakochałem się w wyspie Beaumont. Każdą wolną chwilę poświęcałem na zwiedzanie i zaznajamianie się z jej topografią.

Znałem już prawie na pamięć całe północne wybrzeże – port, miasteczko i najpiękniejsze plaże. Strona

Z głową wtuloną w ramiona i dłońmi zaciśniętymi na kierownicy z trudem wjeżdżałem na strome wzgórze na wschodnim krańcu wyspy. Pot spływał mi po twarzy. Wypożyczony rower ważył tonę, a paski plecaka wrzynały mi się w ramiona.

południowa, kamienna i skalista, była mniej dostępna, bardziej dzika, ale równie piękna. Zapędziłem się tam tylko raz, w drodze na półwysep Sainte-Sophie, gdzie znajdował się klasztor o tej samej nazwie, w którym wciąż jeszcze mieszkało około dwudziestu zakonnice benedyktynek.

Wysokie skalne wzgórze Safranier, cel mojej dzisiejszej wycieczki, znajdowało się daleko od Strada Principale, czterdziestokilometrowej drogi okrążającej wyspę. Żeby tu dotrzeć, należało minąć ostatnią plażę na północy – tę przy Srebrnej Zatoce – i pokonać dwa pozostałe kilometry bitą drogą biegnącą przez sosnowy las.

Udało mi się dowiedzieć, że dróżka ta, która zresztą miała bardzo ładną nazwę – Ścieżka Przyrodników – prowadzi do posiadłości Nathana Fawlesa. Kiedy w końcu stanąłem przed aluminiową bramą wpuszczoną w mur z łupków, nie wiedziałem, co robić. Nie było skrzynki pocztowej z nazwiskiem. Teoretycznie willa nazywała się Krzyż Południa, ale

nigdzie tej nazwy nie spostrzegłem. Jedyne, co zauważyłem, to kilka tablic ostrzegawczych: „Posiadłość prywatna”, „Wejście wzbronione”, „Uwaga! Zły pies”, „Obiekt monitorowany”... Nie było dzwonnka, żadnej możliwości zasygnalizowania, że ktoś stoi pod bramą. Najwyraźniej właściciele nie byli przyjaźnie nastawieni do gości.

Odstawiłem rower i ruszyłem wzdłuż muru. Po chwili las ustąpił miejsca łące gęsto zarośniętej wrzosem, mirtem i dziką lawendą, a jakieś pół kilometra dalej zaskoczyła mnie wysoka skała wpadająca pionowo do morza.

Zaryzykowałem i zsunąłem się ostrożnie po kamieniach, szukając oparcia dla stóp. Jakoś udało mi się przebrnąć przez urwisko i dotrzeć do mniejszej stromizny. Przeszedłem jeszcze z pięćdziesiąt metrów brzegiem, aż zza skalistego wzniesienia wyłonił się dom Nathana Fawlesa.

Zbudowany na wiszącej skale, wydawał się w nią wrośnięty. Nowoczesny równoległocien z szorstkich żelbetonowych płyt, trzypoziomowa elegancka konstrukcja obudowana tarasami. Wyżłobione w kamiennej ścianie schody prowadziły prosto do morza. Podstawa budynku wtapiała się w stromą skałę. Jej okrągłe okna przypominały iluminatory na statku. Wielkie szerokie drzwi w dole wskazywały, że mieści się tam hangar na łodzie. Przed drzwiami była mała przystań, na końcu której kołysała się na falach motorówka z lakierowanego drewna.

Ostrożnie pokonywałem skalne występy i w pewnej chwili zauważyłem, że po środkowym tarasie przesuwają się cienie. Czy mógł to być sam Fawles? Przysłoniłem dłonią oczy, żeby zobaczyć cienie wyraźniej. Jakiś facet celował we mnie ze strzelby.

2

Ledwo zdążyłem uskoczyć, gdy rozległ się strzał. Kula uderzyła cztery czy pięć metrów za mną. Trzask ogłuszył mnie. Leżałem na ziemi dobrą minutę. Serce mi waliło. Trząsałem się, a po plecach spływał mi pot. Audibert nie kłamał – Fawles zwariował i strzelał do intruzów jak do gołębi. Ze strachu wstrzymałem oddech. Rozum nakazywał uciekać gdzie pieprz rośnie. Ale postanowiłem zostać. Podniosłem się i poszedłem w kierunku domu. Fawles zszedł piętro niżej, na taras wiszący nad skałą. Drugi strzał trafił w złamane wiatrem drzewo. Pień rozpadł się na kawałki, szczapy uderzyły mnie w twarz. Bałem się jak nigdy dotąd. Jednak uparcie przeskakiwałem z jednej skały na drugą. Przecież Nathan Fawles, którego powieści tak mi się podobały, nie mógł

okazać się zwykłym mordercą! Tymczasem trzecia kula wznieciła piasek niecałe pół metra od moich trampek.

Lecz już chwilę później stałem kilka metrów od niego.

– Spieprzaj stąd! To prywatna posesja! – wrzasnął z wysoka.

– To nie powód, żeby do mnie strzelać! – wykrzyknąłem.

– Dla mnie wystarczający!

Słońce mnie oślepiało. Ledwo go widziałem, stał pod światło. Był średniego wzrostu, ale solidnie zbudowany, miał na głowie panamę i okulary przeciwsłoneczne z błękitnymi szklami. Przede wszystkim jednak wciąż celował we mnie z tej swojej cholernej strzelby.

– Po co tu przylazłeś?! – krzyknął.

– Chciałem się z panem spotkać, panie Fawles – odpowiedziałem i sięgnąłem do plecaka po rękopis *Nieśmiałości szczytów*. – Nazywam się Raphaël Bataille. Napisałem powieść. Chciałem, żeby pan ją przeczytał.

– Co mnie obchodzi twoje wypociny? A poza tym nie masz prawa mnie nachodzić. Tu jest mój dom.

– Za bardzo pana szanuję, żeby pana nękać.

– Ale to robisz. Gdybyś mnie szanował, zrozumiałbyś, że nie chcę nikogo widzieć.

Na tarasie pojawił się piękny kremowy golden retriever. Podszedł do Fawlesa i zaczął szczekać w moim kierunku.

– Dlaczego nie zatrzymałeś się, kiedy zacząłem do ciebie strzelać?

– Wiedziałem, że mnie pan nie zabije.

– A niby skąd?

– Bo jest pan autorem *Lorelei Strange* i *Rażonych piorunem*.

Wciąż oślepiiony słońcem, usłyszałem, jak zachichotał.

– Jeśli myślisz, że pisarze mają moralność, którą obdarzają swoich bohaterów, jesteś naprawdę naiwny. A nawet głupi.

– Proszę pana, ja chciałbym tylko jakiejś rady z pańskiej strony. Żeby lepiej pisać.

– Rady? Nigdy żadna rada nie pomogła pisarzowi lepiej pisać! Gdybyś miał trochę rozumu, dawno sam doszedłbyś do tego wniosku.

– Poświęcenie bliźniemu trochę uwagi jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Nikt nie nauczy cię pisania powieści. Tego musisz nauczyć się sam! – stwierdził Fawles i zamilkł, głaszcząc psa po głowie. – No, dobra, chciałeś rady i ją dostałeś. Teraz spadaj! – rzekł po chwili.

– Mogę zostawić panu swój rękopis? – spytałem, wyciągając oprawione strony z plecaka.

– Nie, nie ma szans, żebym to przeczytał.

– Cholera, trudno się z panem dogadać!

– Ale dam ci jeszcze jedną radę. Zrób coś innego ze swoim życiem, nie walcz o to, by zostać pisarzem.

- To mi powtarzają rodzice.
- No tak, są mniej głupi od ciebie.

3

Wskutek nagłego powiewu nadchodząca fala liznęła występ, na którym stałem. Żeby jej uniknąć, wdrapałem się kilka skał wyżej, przez co zbliżyłem się jeszcze bardziej do Fawlesa. Ten znów podniósł groźnie strzelbę. Był to przystosowany do polowań remington wingmaster, tak zwana pompka, broń, jaką czasem widuje się na starych filmach.

- Jak się nazywasz, nie usłyszałem? – zapytał, kiedy fala odeszła.
- Raphaël. Raphaël Bataille.
- I ile masz lat?
- Dwadzieścia cztery.
- Od kiedy piszesz?
- Od zawsze. Tylko to mnie interesuje.

Korzystając z momentu jego uwagi, zacząłem wygłaszać przemówienie, jak to od dzieciństwa czytanie i pisanie były moim kołem ratunkowym w morzu przeciętej i absurdalnej rzeczywistości. Mówiłem, że dzięki książkom zbudowałem sobie wewnętrzną cytadelę, która...

– Długo jeszcze będziesz wygadywał te bzdury? – usłyszałem po chwili.

– To nie żadne bzdury – zaprotestowałem urażony, wkładając rękopis z powrotem do plecaka.

– Gdybym był w twoim wieku, na pewno nie marzyłbym o tym, żeby zostać pisarzem – powiedział Fawles.

– Dlaczego? – spytałem.

– Ponieważ życie pisarza jest najmniej ciekawe na świecie. – Westchnął. – Jesteś jak zombie: samotny i odcięty od ludzi. Cały dzień chodzisz w piżamie i niszczysz sobie wzrok, wpatrując się w ekran, połykasz w pośpiechu zimną pizzę i rozmawiasz z osobami, które, chociaż nie istnieją, prędzej czy później doprowadzą cię do szału. W nocy sen z powiek spędza ci karkołomny wysiłek, żeby dokończyć zdanie, którego trzy czwarte twoich nielicznych czytelników nawet nie zauważy. Taki jest los pisarza.

– No, to nie wszystko... – zaprotestowałem.

– A najgorsze... – ciągnął, jakby mnie nie usłyszał. – Najgorsze jest to, że w końcu staniesz się zależny od tego głównianego trybu życia jak od narkotyku, bo będzie ci się wydawało, że ze swoim piórem czy klawiaturą jesteś bogiem, który ma moc naprawiania rzeczywistości.

– Łatwo tak panu mówić. Pan zdobył wszystko.

– Co takiego zdobyłem?

– Miliony czytelników, sławę, pieniądze, nagrody, w końcu dziewczyny...

– Jeśli zamierzasz pisać dla pieniędzy i dziewczyn, lepiej od razu się wycofaj.

– Wie pan, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem. I nie wiem też, po co w ogóle z tobą gadam.

– Zostawiam panu mój tekst.

Fawles zaprotestował, ale rzuciłem mu plecak pod nogi. Zaskoczony pisarz próbował odskoczyć, ale poślizgnął się i upadł na skały. Zdusił krzyk bólu, spróbował wstać i zaklął:

– Kurwa, kurwa, moja kostka!

– O cholera! Niech pan zaczeka, pomogę panu!

– Nie waż się do mnie podchodzić! Jeśli chcesz mi pomóc, zejź mi z oczu i nigdy nie wracaj!

Znów sięgnął po strzelbę i wycelował we mnie. Tym razem nie wątpiłem, że jest zdolny mnie zabić. Odwróciłem się i uciekłem; stopy ślizgały mi się na skałach, bez godności łapałem się, czego mogłem, byle tylko uciec przed jego wściekłością.

Im bardziej oddalałem się od willi, tym bardziej zastanawiało mnie, jak to się stało, że ten facet jest tak rozczarowany. Czytałem wiele wywiadów z nim sprzed 1999 roku. Zanim wycofał się z życia publicznego, chętnie występował w mediach. Jego słowa zawsze były serdeczne, zdradzały zamiłowanie do czytania i pisania. Co spowodowało, że się zmienił?

Dlaczego człowiek u szczytu sławy rezygnuje ze wszystkiego, co do tej pory uwielbiał robić, co go stworzyło i żywiło, i wybiera kompletną samotność? Co poszło tak źle, że zrezygnował ze wszystkiego, co ukochał? Depresja? Żałoba? Choroba? Nikt nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Coś mi mówiło, że jeśli uda mi się rozwiązać tę tajemnicę, uda mi się również zrealizować marzenia i wydać własną powieść.

Pod lasem wsiadłem z powrotem na rower, wyjechałem na drogę i wróciłem do miasta. Był to udany dzień. Fawles może nie udzielił mi tak wyczekiwanej lekcji pisania, ale zrobił coś dużo lepszego: podsunął mi pomysł na następną powieść. Nagle poczułem energię i zapał, żeby zasiać do pracy.

3

Lista zakupów pisarza

*Nie należę do tej grupy słabych pisarzy,
którzy utrzymują, że tworzą dla siebie.
Dla siebie autor robi tylko listę zakupów,
którą wyrzuca po fakcie. Wszystko poza
tym jest przeznaczone dla innych.*

Umberto Eco

*Trzy tygodnie później
Poniedziałek, 8 października 2018*

1

Nathan Fawles pólleżał w fotelu, prawą nogę w gipsie oparł o miękką kanapę. Był załamany. Pies Bronco, jedyna ważna dla niego istota na ziemi, znikł gdzieś dwa dni temu. Zdarzało mu się czasem wałęsać, ale godzinę lub dwie, nigdy dłużej. Coś się musiało stać. Jakiś wypadek, ktoś go zranił lub porwał...

Poprzedniego wieczoru Nathan zadzwonił do Jaspera Van Wycka, swego agenta, głównego łącznika ze światem i prawie przyjaciela. Van Wyck obiecał skontaktować się z właścicielami sklepów na wyspie i wysłać do nich mailem ogłoszenie z obietnicą tysiąca dolarów wynagrodzenia dla tego, kto znajdzie psa. Pozostawało czekać i trzymać kciuki.

Nathan popatrzył na swoją kostkę w gipsie i westchnął. Już miał ochotę na whisky, mimo że dochodziła dopiero jedenasta rano... Z powodu tego kretyna Raphaëla Bataille'a od prawie trzech tygodni siedział w domu jak jakiś pustelnik. Z początku myślał, że niegroźnie skręcił nogę i że wystarczy przyłożyć lód oraz zażyć kilka tabletek paracetamolu. Ale kiedy obudził się następnego dnia po wizycie tego smarkacza, od razu zrozumiał, że sprawa się skomplikowała. Nie tylko powiększyła się opuchlizna, ale też ból był tak nieznośny, że nie pozwalał mu zrobić ani kroku.

Musiał wezwać Jeana-Louisa Sicarda. Jedyne lekarz na wyspie, oryginał, od trzydziestu lat jeździł na wizyty starym motorowerem. Diagnoza nie była zbyt optymistyczna – naderwanie więzadeł, uszkodzona torebka stawowa i naciągnięte ścięgno Achillesa.

Sicard nakazał mu całkowity odpoczynek i unieruchomił nogę prawie do kolana. Noga w gipsie doprowadzała Fawlesa do białej gorączki.

Po domu chodził o kulach i czuł się przez to jak lew w klatce. Zażywał leki rozrzedzające krew, żeby uniknąć skrzepów. Na szczęście już za niecałe dwadzieścia cztery godziny nastąpi wyzwolenie. Z samego rana zadzwonił do starego lekarza, żeby się upewnić, że nie zapomniał o wizycie. Próbował nawet ściągnąć go do siebie jeszcze tego dnia, ale mu się nie udało.

2

Dzwonek telefonu wyrwał go z letargu. Fawles nie miał komórki, komputera ani adresu mailowego. Jego jedynym łącznikiem ze światem był telefon z bakelitu przymocowany do kolumny umieszczonej między salonem a kuchnią. Fawles wyłącznie dzwonił, telefonów nie odbierał; czekał, aż włączy się automatyczna sekretarka na piętrze. Jednak fakt, że zaginął mu pies, zmienił ten zwyczaj. Wspierając się na kulach, pokuśtykał w stronę aparatu.

Dzwonił Jasper Van Wyck.

– Nathan, mam fantastyczną wiadomość: Bronco się znalazł!

Fawles poczuł ogromną ulgę.

– Nic mu się nie stało?

– Nic! – zapewnił go agent.

– Gdzie był?

– Jakaś młoda kobieta zauważyła go na drodze niedaleko półwyspu Sainte-Sophie i zaprowadziła do Ed's Corner.

– Poprosiłeś Eda, żeby go przyprowadził?

– Ona chce go sama przyprowadzić.

Nathan wyczuł pułapkę. Półwysep znajdował się dokładnie po drugiej stronie wyspy. A jeśli ta kobieta porwała psa, żeby móc go odwiedzić? Na początku lat osiemdziesiątych niejaka Betty Eppes, dziennikarka, wyprowadziła w pole Salingera, podając się za kogoś innego i zmieniając w ten sposób zwykłą rozmowę z nim w wywiad, który następnie zaproponowała amerykańskiemu gazetom.

– Co to za baba?

– Mathilde Monney. Szwajcarka, na wakacjach na wyspie. Wynajmuje pokój w pensjonacie niedaleko klasztoru benedyktynek. To

dziennikarka, pracuje dla genewskiego „Le Temps”.

Fawles westchnął. Nie kwiaciarka, nie sprzedawczyni wędlin, pielęgniarka czy pilotka... Nie, dziennikarka!

– Opuść, Jasper, nie podoba mi się to.

Zacisnął pięść i uderzył w drewniany słup. Bronco był mu bardzo potrzebny, a on był potrzebny psu, ale nie mógł sam wsiąść w samochód i po niego pojechać. Jednak to jeszcze nie powód, żeby dać się tak podejść. Dziennikarka pracująca w „Le Temps”... Pamiętał jakiegoś korespondenta z tej gazety, który kiedyś przeprowadzał z nim wywiad w Nowym Jorku. Facet udawał, że się doskonale rozumieją, podczas gdy w ogóle nie pojął sensu jego powieści. Tacy są najgorsi: dziennikarze piszący dobrą krytykę twojej książki, nic z niej nie rozumiejąc.

– Może to zwykły przypadek, że jest akurat dziennikarką... – zasugerował Jasper.

– Przypadek?! Wygłupiasz się czy zdurniałeś do końca?

– Słuchaj, Nathan, nie przejmuj się tak. Pozwól jej przyprowadzić psa, odbierzesz go, a ją wyrzucisz za drzwi.

Fawles ze słuchawką w ręce przetarł oczy... jeszcze kilka sekund na zastanowienie... Z nogą w gipsie czuł się słaby, niezdolny do samoobrony. Nienawidził sytuacji, nad którymi nie panował.

– Dobra! – ustąpił w końcu. – Zadzwoń do tej Mathilde czy jak jej tam. Niech przyjdzie po obiedzie. Uprzedź ją o moich warunkach.

3

Było południe. Po dwudziestu minutach zacieklej argumentacji udało mi się sprzedać jeden egzemplarz mangi *Odległa dzielnica*, arcydzieła Taniguchiego. Uśmiechałem się pod nosem zadowolony. W niecały miesiąc mojej pracy księgarnia odżyła. Nie była to ogólna metamorfoza, ale jednak seria znaczących zmian: rozświetliłem przestrzeń i zrobiłem wszystko, żeby wydawała się przestronna i przewiewna, a klientów przyjmowałem z uśmiechem, nigdy nie byłem naburmuszony. Udało mi się nawet wymóc na Audibercie pozwolenie na zamówienie kilku pozycji nakłaniających bardziej do ucieczki w świat wyobraźni niż do filozofowania. Były to maleńkie znaki wskazujące, że kultura może być również przyjemnością.

Muszę przyznać, że zostawił mi wolną rękę. Nie wtrącał się, rzadko odwiedzał księgarnię, przeważnie siedział u siebie albo spędzał czas w kawiarni na placyku. Gdy wsadziłem nos w rachunki, zorientowałem się od razu, że nie jest tak źle, jak mówił. Księgarnia nie miała kłopotów finansowych. Audibert był właścicielem lokalu i tak jak wielu

przedsiębiorcom na Beaumont, spółka SA Gallinari, właścicielka wyspy, wypłacała mu sporą subwencję. Wystarczyłoby trochę dobrej woli i energii, żeby sklep odzyskał dawny splendor. Marzyłem nawet, że można by znów ściągnąć tu znanych pisarzy.

– Raphaël?

W oknie pojawiła się głowa Petera McFarlane'a, właściciela piekarni na placyku. Był to sympatyczny Szkot, który dwadzieścia pięć lat temu zamienił jedną wyspę na drugą. Jego piekarnia była słynna z doskonałych *pissaladière* i *fougassettes*. Nazywała się Bread Pit, w hołdzie dla trochę śmiesznej tradycji, która nie miała co prawda nic wspólnego z eleganckim stylem wyspy, ale mieszkańcy wydawali się do niej przywiązani: a mianowicie nazwa każdego sklepiku to gra słów. Tylko niewielu sztywniaków, takich jak Ed, nie podporządkowało się temu.

– Wpadniesz na drinka? – spytał Peter.

Codziennie byłem zapraszany na aperitif. Jak tylko wybiło południe, wszyscy zasiadywali na tarasach przy kieliszku pastisu lub białego wina, które było dumą wyspy, a nazywało się Terra dei Pini. Z początku uważałem to za śmieszny prowincjonalny zwyczaj, ale prędko dałem się wciągnąć. Na Beaumont wszyscy się znali. Gdziekolwiek się poszło, zawsze człowiek natknął się na znajomego i była okazja do zamienienia kilku słów. Ludzie żyli tu spokojnie, nie spieszyli się, rozmawiali ze sobą i dla mnie, żyjącego dotąd w szarości, agresji i smrodzie paryskich przedmieść, było to coś nowego.

Usiedliśmy z Peterem na tarasie Fleurs du Malt. Niby mimochodem rozglądałem się w poszukiwaniu młodej blondynki, która wpadła do księgarni poprzedniego wieczoru. Nazywała się Mathilde Monney. Przyjechała tu na wakacje, wynajmowała pokój niedaleko klasztoru benedyktynek. Kupiła u mnie trzy powieści Fawlesa, mimo że podobno już je czytała. Inteligentna, dowcipna, błyskotliwa. Gadaliśmy góra dwadzieścia minut, ale wciąż byłem pod wrażeniem. Myślałem tylko o tym, żeby znów się na nią natknąć.

Jedynym minusem ostatnich tygodni było to, że niewiele pisałem. Mój projekt związany z otoczonym tajemnicą życiem Fawlesa – o roboczym tytule *Pustelnik* – utknął w miejscu. Brakowało faktów, a bohater mi umykał. Wysłałem wiele maili do Jaspera Van Wycka, agenta Fawlesa, lecz ten oczywiście nie raczył odpowiedzieć. Rozmawiałem też z mieszkańcami wyspy, ale nie dowiedziałem się niczego nowego.

– Co to za idiotyczna historia? – spytał Audibert, podchodząc do nas z kieliszkiem różowego wina.

Wyglądał na zatroskanego. Od kwadransa głównym tematem rozmów na placu była szalona plotka, która skupiała na sobie uwagę

coraz to większej grupy osób. Podobno jakichś dwóch turystów, Holendrów spacerujących po Tristana Beach, jedynej plaży na południowym zachodzie wyspy, znalazło czyjeś zwłoki. Miejsce to było wspaniałe, ale niebezpieczne. Już w 1990 roku dwóch wyrostków zabiło się tam, łażąc po skałach. Wypadek ten zszokował mieszkańców wyspy. Teraz też wszyscy gorączkowo dyskutowali. W pewnym momencie spostrzegłem, jak Ange Agostini, strażnik miejski, opuszcza plac. Poszedłem za nim wąskimi uliczkami i złapałem go niedaleko portu, gdy stał przy swoim trójkołowym skuterze.

– Jedzie pan na Tristana Beach, prawda? Mogę się zabrać?

Agostini odwrócił się zaskoczony. Był to wysoki, łysy facet, sympatyczny Korsykanin, miłośnik powieści kryminalnych i wielbiciel braci Cohen, którego namówiłem na przeczytanie moich ulubionych powieści Simenona: *Samobójcy*, *Paryski ekspres*, *Błękitny pokój*...

– Wsiadaj, jeśli chcesz – rzucił.

Trójkołowy skuter włókł się po Strada Principale z prędkością między trzydzieści a czterdzieści kilometrów na godzinę. Agostini był niespokojny. Otrzymał alarmujące wiadomości – wszystko wskazywało, że to nie był wypadek, lecz morderstwo.

– To niemożliwe! – mamrotał pod nosem. – Niemożliwe, żeby na naszej wyspie zdarzyło się coś takiego!

Rozumiałem go aż za dobrze. Na Beaumont nie było złoczyńców. Żadnych napadów, niewiele kradzieży. Ludzie czuli się tak bezpiecznie, że wychodząc z domu, zostawiali klucz w drzwiach, a wózki z dziećmi czekały na nich przed wejściem do sklepów. Miejskowa policja liczyła cztery czy pięć osób, których głównymi zajęciami były rozmowy z mieszkańcami, obowiązkowy obchód i zgłaszanie zepsutych alarmów.

4

Wyboista droga wiała się po nabrzeżu. Trzeba nam było dobrych dwudziestu minut, żeby dotrzeć do Tristana Beach. Niekiedy można się było tylko domyślić istnienia za zakrętem ukrytych za gęstymi sosnami białych willi.

Nagle krajobraz radykalnie się zmienił. Znaleźliśmy się na równinie, poniżej której ciągnęły się łąchy czarnego piasku. W tym miejscu Beaumont przypominało bardziej Islandię niż Porquerolles.

– Co to za burdel?! – usłyszałem nerwowe pytanie. Ange Agostini, przyhamowując – jadąc w dół drogą bez zakrętów, trójkołowy skuter musiał wyciągać ze czterdzieści pięć kilometrów na godzinę – wskazywał palcem na samochody blokujące drogę. Podjechaliśmy bliżej

i sytuacja nieco się rozjaśniła. Cały teren zablokowała policja spoza wyspy. Agostini zaparkował swoją maszynę z boku i ruszył wzdłuż żółtych plastikowych taśm. Nic nie rozumiałem. Jak to się stało, że tylu facetów – najwyraźniej z policji kryminalnej z Tulonu, ale był tam również samochód ekipy techników kryminalistycznych – tak szybko rozłożyło swój majdan na tych niebezpiecznych zboczach? Skąd wzięły się tu trzy radiowozy? Nikt w porcie nie widział, żeby tu przypłynęli.

Wmieszałem się między gapiów i nadstawiłem ucha. Powoli zaczynałem rozumieć, co się stało. Około ósmej rano para holenderskich studentów kempingująca na dziko znalazła zwłoki kobiety. Natychmiast zawiadomili komisariat w Tulonie, któremu pozwolono użyć poduszki urzędu celnego i przewieźć na wyspę armię policji z trzema radiowozami. Żeby zachować dyskrecję, policja wylądowała bezpośrednio na wybetonowanym terenie w Saragocie, dziesięć kilometrów stąd.

Dogoniłem Agostiniego. Stał na wzniesieniu niedaleko drogi. Wydawał się bardzo poruszony i jakby upokorzony tym, że nie może podejść do miejsca zbrodni.

– Wiadomo, kim jest ofiara? – spytałem.

– Jeszcze nie, ale chyba nikt z wyspy.

– Dlaczego policja zjawiała się tak szybko? I to tak licznie... Dlaczego nikt nic nie wie?

Agostini spojrzał niewidzącym wzrokiem na swoją komórkę.

– To z powodu natury zbrodni. I zdjęć wysłanych przez tych holenderskich smarkaczy.

– Zrobili zdjęcia?

– Tak, przez kilka minut, zanim je usunięto, były na Twitterze. Ale zostały zrzuty ekranu.

– Mogę zobaczyć?

– Nie radzę, to nie jest widok dla miłośnika książek.

– Bzdura! Równie dobrze mogłem je przecież zobaczyć na swojej komórce.

– Jak chcesz.

Wręczył mi telefon. Zatkano mnie. Na zdjęciu widać było zwłoki kobiety. Miała tak zmasakrowaną twarz, że nie umiałbym powiedzieć, w jakim była wieku. Próbowałem przełknąć ślinę, ale gardło miałem ściśnięte. Nagie ciało wyglądało na przybite do pnia gigantycznego eukaliptusa. Powiększyłem zdjęcie. To nie były gwoździe, tylko sekatory albo jakieś narzędzia do cięcia kamienia, które wgryzając się w ciało, łamały jej kości.

Mathilde Monney za kierownicą furgonetki z opuszczanym dachem jechała przez las porastający wzgórze Safranier. Z tyłu, za nią, siedział Bronco i z otwartym pyskiem podziwiał krajobraz. Była ładna pogoda. Świeży morski wiatr mieszał się z wonią eukaliptusów i mięty pieprzowej. Ciemnozłoty poblask jesiennego słońca odbijał się w gałęziach pinii i dębów ostrolistnych.

Dojechała do muru z łupków, wysiadła z samochodu i kierując się wskazówkami Jaspera Van Wycka, niedaleko aluminiowej bramy, za ciemniejszym od innych kamieniem, znalazła domofon. Wcisnęła dzwonek. Coś zatrzeszczało i brama się otworzyła.

Mathilde wjechała na obrośnięty drzewami trakt biegnący przez wielki dziki park. Pośród sekwoi i krzaków laurowych rosła gęsto mącznica. Na stromym zboczu droga nagle zakręciła i Mathilde ujrzała jednocześnie morze i dom Fawlesa, graniastosłup ze szkła, betonu i kamienia w kolorze ochry.

Ledwo zaparkowała furgonetkę obok samochodu, który musiał należeć do Fawlesa – mini moke w panterkę z kierownicą i tablicą rozdzielczą z lakierowanego drewna – golden retriever wyskoczył na zewnątrz i pobiegł do swego pana, który czekał przed drzwiami.

Fawles podpierał się kulą. Niezwykłe uradował go widok odnalezionego psa. Mathilde podeszła bliżej. Myślała, że ujrzy jaskiniowca, starego opryskliwego faceta w łachmanach, z długimi włosami i zaniedbaną brodą, tymczasem mężczyzna, który stał przed nią, miał krótkie włosy i był świeżo ogolony. Koszula z jasnoniebieskiego lnu podkreślała błękit jego oczu, a spodnie z żaglowego płótna i sportowe buty z błyszczącej skóry dopełniały eleganckiego wyglądu.

– Mathilde Monney – przedstawiła się, wyciągając do niego dłoń.

– Dziękuję, że przywiozła mi pani Bronca.

Podrapała psa po głowie.

– Tak czy inaczej, aż miło patrzeć na wasze spotkanie – rzuciła, po czym wskazała palcem na gips. – Mam nadzieję, że to nic strasznego?

Fawles pokręcił głową.

– Jutro będzie to już wyłącznie przykrym wspomnieniem – powiedział.

Mathilde zawahała się.

– Nie pamięta pan, ale już się kiedyś spotkaliśmy – odezwała się w końcu.

Cofnął się o krok i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie sądzę – rzucił.

– Tak, tak, ale to było dawno.

– Z jakiej okazji mielibyśmy się spotkać?

– Niech pan zgadnie.

Fawles wiedział, że będzie żałował, że nie zakończył całej sprawy w tamtej chwili. Powinien, tak jak ustalili z Van Wyckiem, podziękować jej, rzucić krótkie „Do widzenia” i zniknąć za drzwiami. Zamiast tego stał i milczał, wpatrując się w Mathilde Monney jak zahipnotyzowany. Dziewczyna miała na sobie krótką żakardową sukienkę, skórzaną ramoneskę i sandały na wysokich obcasach, z paskami na kostkach.

Nie zamierzał odgrywać sceny z początku *Szkoły uczuć* Flauberta ze słynnym zdaniem – „To było jak zjawisko...” – ale przez długą chwilę stał jak oszołomiony. Z młodej kobiety emanowała jakaś energia, światłość... Był oczarowany.

Oczywiście panował nad sobą, trochę uderzyły mu do głowy blask i ciepłe światło, bijące od jej blond włosów niczym od łańców zboża, ale był pewien, że w każdej chwili jednym pstryknięciem palców może położyć temu kres.

– W ogłoszeniu była mowa o tysiącu euro nagrody, ale zadowolę się mrożoną herbatą. – Mathilde się uśmiechnęła.

Fawles, unikając spojrzenia zielonych oczu swojej rozmówczyni, zaczął bez przekonania wyjaśniać, że nie może się ruszać i od dawna nie robił zakupów, więc jego kuchnia zieleje pustką.

– Może być woda – nie ustępowała Mathilde. – Jest bardzo gorąco.

Umiał oceniać ludzi. Jego intuicja często się potwierdzała. Teraz jednak poczuł się zagubiony, niezdecydowany. Coś ostrzegało go przed Mathilde. Ale jak oprzeć się tej nieuchwytniej, zagadkowej obietnicy, którą niosła w sobie dziewczyna stojąca w aureoli łagodnego październikowego słońca?

– Proszę wejść! – powiedział w końcu.

Błękit po horyzont.

Mathilde stanęła zaskoczona. Wnętrze domu było skąpane w świetle. Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do salonu, który niezauważenie przechodził w jadalnię i kuchnię. Wszystkie trzy pomieszczenia miały ogromne, sięgające podłogi okna z widokiem na morze. Dom jakby unosił się na falach. Fawles pokuśtykał do kuchni po wodę. Mathilde stała oczarowana. Miarowy odgłos uderzającej o brzeg wody ukoił ją, poczuła ulgę. Rozsuwane okna wywoływały złudzenie jednolitej przestrzeni i wprowadzały miłą dezorientację – momentami nie wiadomo było, czy się jest w domu, czy na zewnątrz. Pośrodku

salonu zwracał uwagę wiszący kominek, a na piętro wchodziło się po schodach z woskowanego betonu.

Spodziewała się ciemnej, ponurej kryjówki, ale tu też się pomyliła. Fawles nie chciał „zakopać się” na wyspie, wprost przeciwnie, szukał kontaktu z niebem, morzem i wiatrem.

– Mogę rzucić okiem na zewnątrz? – spytała, gdy przyniósł jej szklankę wody.

Fawles w milczeniu wyszedł z nią na taras wyłożony płytami łupkowymi, który sprawiał wrażenie, jakby urywał się tuż nad przepaścią. Podchodząc do krawędzi, Mathilde dostała zawrotu głowy, ale na tej wysokości lepiej rozumiała architektoniczny sens tego domu. Trzy poziomowa budowla przywierała do skały. Taras znajdował się na środkowym poziomie. Oparte na wspornikach betonowe płyty były jednocześnie podstawą i dachem. Mathilde wychyliła się, aby dokładniej obejrzeć wykute w kamieniu schody prowadzące do przystani z krótkim moło pozwalającym od razu wypłynąć w morze. Przy moło kołysała się na falach przepiękna luksusowa riva aquarama z pokładem z lakierowanego drewna i z błyszczącym w słońcu chromem.

– Naprawdę człowiek ma wrażenie, że jest na pokładzie statku – powiedziała.

– Tak, statku, który nigdzie nie płynie i cały czas stoi w porcie – przygasił jej entuzjazm Fawles.

Zamienili kilka nic nieznaczących słów, po czym Fawles wprowadził ją z powrotem do domu. Mathilde, która czuła się jak w muzeum, podeszła do półki z maszyną do pisania.

– Myślałam, że pan z tym skończył! – rzuciła.

Fawles pogłaskał maszynę – ładny jasnozielony egzemplarz z bakelitu, marki Olivetti.

– To dekoracja. Nie ma nawet taśmy – odparł, naciskając klawisze. – I wie pani, że laptopy za moich czasów już istniały.

– Znaczy, że nie na niej pisał pan te swoje...

– Nie.

– Jestem pewna, że wciąż pan pisze! – powiedziała Mathilde i spojrzała na niego prowokująco.

– Myli się pani. Od dawna nie napisałem ani jednego zdania, nawet paru słów... poza listą zakupów...

– Nie wierzę. Nie można z dnia na dzień skończyć z czymś, na czym budowało się całe swoje życie.

– Przez chwilę myślałem, że jest pani inna niż wszyscy – przerwał jej Fawles. – I że nie będzie pani o tym mówić. Myliłem się. Pracuje pani, prawda? Jest pani dziennikarką, która przyjechała tu, żeby napisać artykuł na temat tajemnicy Nathana Fawlesa?

– Przysięgam panu, że nie.

Pokazał jej ręką drzwi.

– Proszę już sobie pójść. Nie mogę zabronić ludziom myśleć, co chcą, ale tajemnica Fawlesa polega na tym, że właśnie nie ma żadnej tajemnicy, rozumie pani? Proszę to napisać w tej swojej gazecie.

Mathilde nie ruszyła się z miejsca. Fawles niewiele się zmienił od czasu, gdy go spotkała. Tak go pamiętała: uważny, przystępny, ale boleśnie szczery. Nie wzięła tego pod uwagę.

– Tak między nami, czy panu tego nie brakuje?

– Czego? Spędzania dziesięciu godzin dziennie przed komputerem?

Nie. Wolę spacerować po lesie albo po plaży z psem.

– Wciąż panu nie wierzę.

Pokręcił głową i westchnął.

– Niech pani nie będzie sentymentalna. To były tylko powieści.

– Tylko powieści? I pan to mówi?

– Owszem, a tak między nami, poważnie je przeceniano.

– No to co pan teraz robi przez cały dzień? – nie ustępowała Mathilde.

– Medytuję, piję, gotuję, piję, pływam, piję, wybieram się na długie spacerory, pi...

– Czyta pan?

– Nieraz jakiś kryminał, ale głównie książki o malarstwie lub astronomii. Czasem wracam do klasyków, ale to wszystko jest w sumie nieważne.

– Dlaczego?

– Ziemia zamienia się w piec hutniczy, duża część świata jest w permanentnym stanie wojny, ludzie głosują na wariatów i ogłupiają się, siedząc wciąż na portalach społecznościowych. Wszystko się wali, więc...

– Nie widzę związku.

– Związek jest taki, że chyba jest dużo ważniejszych rzeczy niż dociekanie, dlaczego dwadzieścia lat temu Nathan Fawles przestał pisać.

– Ma pan wciąż rzesze czytelników.

– Cóż, czytają, bo chcą, nie mogę im tego zabronić. Poza tym pani doskonale wie, że sukces jest wynikiem nieporozumienia. To powiedziała chyba Duras, a może Malraux? Powyżej trzydziestu tysięcy egzemplarzy to nieporozumienie...

– Czytelnicy do pana piszą?

– Podobno. Mój agent utrzymuje, że tak.

– Czyta pan te listy?

– Żartuje pani?

– Dlaczego?

– Bo to mnie nie interesuje. Jako czytelnik nigdy nie pomyślałbym o tym, żeby napisać do autora, którego książka mi się spodobała. Niech

pani powie prawdę, czy wyobraża sobie pani pisać list do Jamesa Joyce'a, bo spodobał się pani *Finneganów tren*?

– Nie. Po pierwsze, dlatego, że nigdy nie byłam w stanie przeczytać więcej niż dziesięć stron tego dzieła, a po drugie, bo James Joyce zmarł co najmniej czterdzieści lat przed moim urodzeniem.

Fawles pokręcił głową.

– Droga pani, bardzo dziękuję za odprowadzenie psa, ale będzie lepiej, jeśli już sobie pani pójdzie.

– Tak, też tak myślę.

Odprowadził ją do samochodu. Pożegnała się z psem, a Fawlesa zignorowała. Patrzył, jak manewruje na drodze, zahipnotyzowany wdziękiem jej ruchów i zadowolony, że odjeżdża. Gdy już miała wcisnąć mocniej pedał gazu, skorzystał z okoliczności, że szyba w oknie była opuszczona, i żeby wyłączyć cichy, lecz uporczywy alarm, który brzęczał mu w głowie, rzucił:

– Mówiła pani, że już się spotkaliśmy, dawno temu. Gdzie?

Spojrzała na niego zimno zielonymi oczami.

– Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku w Paryżu. Miałam czternaście lat. Przyszedł pan na spotkanie z pacjentami Młodzieżowego Ośrodka Zdrowia. Podpisał mi pan nawet egzemplarz *Lorelei Strange*. Oryginalne wydanie, po angielsku.

Fawles nie zareagował; wyglądał, jakby ledwo to pamiętał, albo i wcale nie.

– Przeczytałam *Lorelei Strange* – ciągnęła Mathilde. – Ta lektura bardzo mi pomogła. I nigdy nie wydawało mi się, że ta powieść jest przeceniana ani że jej sukces był wynikiem nieporozumienia.

Tulon, 8 października 2018

**WYDZIAŁ MORSKI KOMENDY GŁÓWNEJ
STRAŻY GRANICZNEJ**

DEKRET PREFEKTURY NR 287/2018

Ustanawiający utworzenie tymczasowej strefy zakazu nawigacji i wszelkiej działalności związanej z żeglugą morską w okolicach wyspy Beaumont (Var).

Wiceadmirał floty Édouard Lefébure, prefekt morski na okręg Morza Śródziemnego.

Na podstawie:

1. Kodeksu Karnego, artykułów 131-13-1° i R 610-5.
2. Kodeksu Morskiego, Transportu Wodnego, artykułów L5242-1 i L5242-2.
3. Dekretu nr 2007-1167 z 2 sierpnia 2007 r., zmodyfikowanego, odnoszącego się do prawa żeglugi i do szkolenia w zakresie prowadzenia jachtów i łodzi motorowych.
4. Dekretu nr 2004-112 z 6 lutego 2004 r., odnoszącego się do organizacji działalności państwa na morzu.

Z powodu:

1. Otwarcia śledztwa na skutek znalezienia ciała na wyspie Beaumont, w miejscu zwanym Tristana Beach.
2. Konieczności przyznania siłom porządkowym czasu na prowadzenie śledztwa na wyspie.
3. Konieczności zabezpieczenia dowodów pozwalających na ustalenie okoliczności zajścia.

DEKRET

Artykuł 1: Na wybrzeżu departamentu Var zostaje utworzona strefa z zakazem żeglugi i wszelkiej działalności na terenie Morza Śródziemnego w odległości 500 metrów od linii brzegowych wyspy Beaumont, w tym też działalności transportowej osób

wyjeżdżających z wyspy i przyjeżdżających na nią, od daty opublikowania tego dekretu.

Artykuł 2: Decyzje przedstawione w tym dekrete nie dotyczą jednostek morskich działających w ramach usług publicznych.

Artykuł 3: Każde naruszenie tego dekretu, a także decyzji podjętych w celu jego zastosowania, naraża winnego na ściganie i sankcje, w tym administracyjne, przewidziane w artykułach L5242-1 i L5242-6-1 Prawa Transportowego i w artykule R 610-5 Kodeksu Karnego.

Artykuł 4: Dyrektor Departamentu i Terytorium Morza Śródziemnego Var, oficerowie i policja żeglugi są zobowiązani, każdy w swoim zakresie, do przestrzegania tego dekretu, który zostanie opublikowany w zbiorze aktów administracyjnych prefektury Morza Śródziemnego.

Prefekt morski na okręg Morza Śródziemnego
Édouard Lefébure

4

Wywiad z pisarzem

Po pierwsze, osoba przeprowadzająca wywiad stawia pytania interesujące dla niej, a nie dla ciebie, po drugie – z twoich odpowiedzi bierze tylko to, co jej odpowiada, po trzecie, wszystko interpretuje po swojemu, swoim językiem i według swoich myśli.

Milan Kundera

Wtorek, 9 października 2018

1

Od kiedy zamieszkałem na Beaumont, wstawałem razem ze słońcem. Brałem szybki prysznic i szedłem na spotkanie z Audibertem, który jadł śniadanie na placyku na tarasie Fort de Café albo Fleurs du Malt. Audibert był humorzasty. Raz ponury i zamknięty w sobie, raz gadatliwy i rozmowny. Chyba mnie lubił, w każdym razie na tyle, że co rano zapraszał mnie do swego stolika i stawiał herbatę i grzanki z konfiturą z fig. Konfitury Mère Françoise, sprzedawane turystom po cenie złota, superekologiczne, smażone w żeliwnym kotle i w ogóle, były jednym ze skarbów wyspy.

– Dzień dobry, panie Audibert!

Księgarz podniósł oczy znad gazety i przywitał mnie nerwowym odchrząknięciem. Na wyspie wrzało. Wczorajsze odkrycie zwłok kobiety przybitej do pnia najstarszego miejscowego eukaliptusa zszokowało wszystkich. Wiedziałem, że drzewo to, nazwane Nieśmiertelnym, stało się w miarę upływu lat symbolem jedności wyspy. Dramatyczna inscenizacja nie mogła być przypadkiem. Ludzie osłupieli. Na dodatek prefekt morski, żeby ułatwić prowadzenie śledztwa, zarządził blokadę wyspy. Prom unieruchomiono w porcie Saint-Julien-les-Roses, a straż nadbrzeżna dostała rozkaz regularnego patrolowania i zatrzymywania prywatnych jednostek próbujących przepłynąć w jedną czy w drugą

stronę. Nikomu nie było wolno opuścić wyspy i nikomu nie było wolno na nią przybyć. Decyzja władz wyprowadziła mieszkańców z równowagi. Trudno im było przejść do porządku nad tym ubezwłasnowolnieniem.

– Ta zbrodnia to dla naszej wyspy coś strasznego! – wyrzucił z siebie zirytowany Audibert, składając „Var-Matin”.

Było to wydanie z poprzedniego wieczoru, przywiezione przez ostatni prom przed zamknięciem żeglugi. Siadając, rzuciłem okiem na pierwszą stronę z wielkim tytułem *Czarna wyspa*, stanowiącym dyskretną aluzję do siódmego albumu przygód młodego reportera Tintina i jego psa Milusia autorstwa słynnego rysownika komiksowego Hergé.

– Zaczekajmy na wyniki śledztwa.

– Na jakie wyniki?! – wykrzyknął Audibert. – Kobieta zamęczona na śmierć i przybita do Nieśmiertelnego. To jasne, że na wyspie grasuje wariat!

Skrzywiłem się. Audibert mógł mieć rację. Połknąłem kanapkę, przeglądając artykuł, z którego niewiele się dowiedziałem, a potem wyjąłem komórkę. Może znajdę coś aktualniejszego.

Poprzedniego dnia wypatrzyłem tweety niejakiego Laurenta Lafaury’ego, dziennikarza z okolic Paryża, który właśnie przebywał na wyspie z wizytą u swojej matki. Facet zawodowo średni, opublikował kilka artykułów na stronach internetowych tygodników „L’Obs” i „Marianne”, w końcu zaczął pracować jako redaktor od mediów społecznościowych dla kilku stacji radiowych. Historia jego konta była doskonałym przykładem tego, co pseudodziennikarstwo 2.0 mogło wyprodukować najgorszego: obscena, klikbajty, gównoburze, nawoływanie do zabijania, wulgarne żarty, systematyczne retweetowanie wzbudzających niepokój klipów i wszystkiego, co bezmyślnie schlebia niskim instynktom, podsycza strach i rodzi seksualne obsesje. Taki dziennikarzyna szerzyciel fake newsów i teorii spiskowych, zawsze bezpiecznie ukryty za swoim ekranem.

Z powodu zamknięcia wyspy Lafaury miał teraz przywilej bycia jedynym „dziennikarzem” na miejscu i od kilku godzin wykorzystywał tę sytuację: wystąpił z komentarzem w dzienniku telewizyjnym France 2 i jego zdjęcie pokazywano na wszystkich kanałach informacyjnych.

– Co za złamas!

Kiedy na ekranie telefonu wyświetlił mi się profil Lafaury’ego, Audibert dostał szału. Poprzedniego dnia w wieczornym dzienniku telewizyjnym Lafaury’emu udało się zasugerować dwie rzeczy: pierwszą, że każdy z mieszkańców wyspy ukrytych w luksusowych willach ma swojego trupa w szafie; drugą, że w obawie przed rodziną Gallinarich, tutejszych Corleone sprawujących władzę poprzez strach

i pieniądze, na wyspie panuje zмова milczenia. Czułem, że jeśli Laurent Lafaury będzie kontynuował w tym tonie, wkrótce stanie się miejscową czarną owcą. Mieszkańcy, którzy w genach nosili zamiłowanie do dyskrecji, odebrali ten niechciany medialny rozgłos z oburzeniem. I jeszcze ten jego tweet, w którym zarzekał się, że wiadomości, które musiał wyciągnąć od policji albo adwokatów, są prawdziwe! Zawsze byłem przeciwny temu, żeby pod przykrywką informowania szkodzić śledztwu, ujawniając fakty, które powinny pozostać tajemnicą, dopóki ono trwa, ale ciekawość spowodowała, że chwilowo zapomniałem o tej zasadzie.

Ostatni tweet Lafaury'ego pojawił się w sieci niecałe pół godziny temu. Był to link odsyłający do jego bloga. Kliknąłem i uzyskałem dostęp do artykułu z syntezą dotychczasowych wyników śledztwa. Zgodnie z zawartymi w nim informacjami ofiara wciąż nie została zidentyfikowana. Prawda czy nie, wiadomość kończyła się zaskakującym newsem: podobno gdy zwłoki nieszczęsnej kobiety przybijano do pnia gigantycznego eukaliptusa, były zamrożone! Być może więc morderstwo nastąpiło wiele tygodni wcześniej.

Musiałem to zdanie przeczytać drugi raz, aby upewnić się, że dobrze zrozumiałem jego sens. Audibert, który wstał i czytał mi przez ramię, wrócił na swoje krzesło i opadł bez sił.

Tego ranka wyspa obudziła się w zupełnie innym świecie.

2

Nathan Fawles natomiast obudził się w doskonałym humorze, co mu się już od dawna nie zdarzało. Długo wylegiwał się w łóżku i niespiesznie zjadł śniadanie. Potem dobrą godzinę palił papierosy na tarasie, słuchając starych winyli Glenna Goulda. Przy piątym kawalku zaczął się zastanawiać, skąd mu się wziął ten dobry nastrój. Przez chwilę opierał się przypuszczeniu, że jedynym wyjaśnieniem może być wczorajsza wizyta Mathilde Monney, ale ślad po niej jakby wciąż unosił się w powietrzu, bajkowy błysk, zapach... Coś nieuchwytnego, wymykającego się zmysłom... co z pewnością za moment zniknie, wiedział to, ale tym bardziej chciał nacieszyć się do ostatka.

Koło jedenastej dobre samopoczucie znikło. Lekkość, z którą się obudził, ustąpiła pewności, że już nigdy nie zobaczy Mathilde. Okazało się, że samotność może niekiedy być uciążliwa. Gdy nadeszło południe, postanowił przestać się wygłupiać, skończyć z tą dziecinadą i raczej pogratulować sobie, że spławił dziewczynę. Nie wolno mu zmieniać postawy! Nie ma do tego prawa! Pozwolił sobie jednak odtworzyć

w wyobraźni to spotkanie. Zaintrygowała go wówczas jedna rzecz. Pewien niezwykle szczegół, który absolutnie musiał sprawdzić.

Zadzwoił do Jaspera Van Wycka. Telefon dzwonił w nieskończoność, wreszcie Fawles usłyszał zaspany głos. W Nowym Jorku była dopiero szósta rano i Van Wyck jeszcze leżał w łóżku. Fawles poprosił go o zapoznanie się z artykułami, które w ciągu ostatnich lat Mathilde Monney napisała dla „Le Temps”.

– Czego właściwie chcesz się dowiedzieć? – spytał Jasper.

– Nie wiem... Sprawdź wszystko, co miałyby jakikolwiek związek ze mną lub z moimi książkami.

– Dobrze, ale to zajmie trochę czasu. Jeszcze coś?

– Chciałbym, żebyś poszukał informacji na temat dyrektorki mediateki Młodzieżowego Ośrodka Zdrowia pełniącej tę funkcję w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– Co to za organizacja?

– To taki ośrodek zdrowia podległy szpitalowi Cochin.

– Wiesz może, jak nazywała się ta dyrektorka?

– Nie pamiętam. Możesz się zabrać do tego od razu?

– Tak. Zadzwoię, jak tylko czegoś się dowiem.

Fawles rozłączył się i poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Usiadł z gotowym espresso i zaczął wspominać. Ośrodek, o którym myślał, mieścił się niedaleko Port-Royal i przyjmował pacjentów cierpiących na zaburzenia odżywiania, depresję, fobię szkolną i stany lękowe. Niektórzy przebywali tam na stałe, inni przychodzili na wizyty. Fawles pojawił się tam dwa czy trzy razy z wykładami i ćwiczeniami dla pacjentów, wśród których większość stanowiły dziewczęta. Oprócz wykładów i testów poprowadził też małe warsztaty pisarskie. Nie pamiętał już żadnych imion ani twarzy, ale ogólne wspomnienia miał stamtąd pozytywne. Czytelniczki wydawały się uważne, dyskusje urozmaicone, a pytania, które mu stawiano, często uzasadnione. Ledwo skończył pić kawę, zadzwonił telefon. Jasper nie zwlekał.

– Dzięki LinkedIn łatwo odnalazłem tę dyrektorkę. Nazywa się Sabina Benoit.

– Taak... Teraz sobie przypominam.

– Pracowała w tym ośrodku do dwa tysiące dwunastego roku, a potem wyniosła się na prowincję. Prowadzi coś, co nazywa się Biblioteka dla Wszystkich. Według ostatnich informacji, jakie znalazłem w sieci, teraz pracuje w Dordogne, w mieście, które nazywa się Trélissac. Chcesz jej numer?

Fawles zanotował wszystko i od razu zadzwonił do Sabiny Benoit. Bibliotekarka była zaskoczona, ale jego telefon sprawił jej wyraźną przyjemność. Fawles pamiętał bardziej jej sylwetkę niż twarz. Wysoka energiczna brunetka z krótkimi włosami, arcymiała i serdeczna. Spotkał

ją na targach książki w Paryżu i dał się namówić na wizytę u jej pacjentek w kierowanym przez nią ośrodku, żeby podyskutować o zawodzie pisarza.

– Właśnie zabrałem się do pisania wspomnień – zaczął. – I potrzeba mi...

– Pisze pan wspomnienia? – Sabina Benoit się roześmiała. – Myśli pan, że w to uwierzę?

No cóż, w sumie może szczerść się bardziej opłaci, pomyślał.

– Potrzebne mi są informacje o jednej z pani ówczesnych pacjentek, która chyba była na moim wykładzie, Mathilde Monney.

– To nazwisko nic mi nie mówi – odparła Sabina po chwili zastanowienia. – Ale prawdą jest, że z wiekiem pamiętam coraz mniej rzeczy.

– Wszyscy tak mają. Chcę się dowiedzieć, z jakiego powodu trafiła do ośrodka.

– Nie mam już dostępu do takich poufnych informacji, a nawet gdybym miała...

– No, pani Sabino, z pewnością zachowała pani niektóre kontakty. Proszę mi oddać tę przysługę, bardzo mi na tym zależy.

– Spróbuję, ale nic panu nie obiecuję.

Fawles rozłączył się i poszedł do biblioteki. Zaczął szukać w książkach. Minęła dłuższa chwila, zanim znalazł egzemplarz *Lorelei Strange*. Było to pierwsze wydanie, z jesieni 1993 roku. Dłonią wytarł okładkę z kurzu. Ukazała się reprodukcja jego ulubionego obrazu, *Dziewczyna na kuli*, wspaniały Picasso z okresu różowego. Ten kolaż przygotował wówczas osobiście i przedstawił go swemu wydawcy. Wydawca tak słabo wierzył w sukces książki, że zgodził się bez protestu. Pierwszy nakład *Lorelei* nie przekroczył pięciu tysięcy egzemplarzy. W prasie nic o niej nie pisano, nie można też powiedzieć, żeby księgarze specjalnie jej bronili, nawet jeśli z początku trochę ją promowali. Powodzenie książka zawdzięczała marketingowi szeptanemu wśród pełnych entuzjazmu czytelników. Najczęściej były to dziewczęta w rodzaju Mathilde Monney z tamtych czasów, które widziały w bohaterce swoje odbicie. Historia opisana w książce bardzo się zresztą do tego nadawała. Bohaterką była Lorelei, młoda pacjentka szpitala psychiatrycznego, a akcja obejmowała jej spotkania z różnymi ludźmi w czasie jednego weekendu. Treść była pretekstem, żeby opisać pacjentów tego szpitala. Powoli powieść wspięła się na szczyt list bestsellerów, zyskując status wzbudzającego ogólną zazdrość fenomenu literackiego. Ci, którzy pogardzili nią na początku, starali się szybko nadrobić swój błąd. Przeczytali ją wszyscy: młodzi, starzy, intelektualiści, profesorowie, uczniowie, ludzie, którzy czytali dużo, i ci, którzy nie czytali wcale. Każdy wypowiadał się na temat *Lorelei Strange*,

często błędnie interpretując jej sens. Tu było wielkie nieporozumienie. Liczba czytelników wciąż rosła i z czasem *Lorelei* stała się swoistym klasykiem literatury popularnej. Pisano o niej prace magisterskie, można ją było zawsze kupić w księgarniach, na lotniskach i w supermarketach. Czasem nawet w działach rozwoju osobistego, co doprowadzało autora do rozpaczy. Stało się wreszcie nieuniknione i Fawles znienawidził tę powieść, jeszcze zanim wycofał się ze sceny pisarskiej; nie mógł znieść, gdy ludzie mu o niej mówili, czuł się jej więźniem.

Dźwięk dzwonka przy głównej bramie oderwał go od wspomnień. Odłożył książkę na miejsce i spojrzął na ekran monitora. Przyszedł doktor Sicard, żeby mu w końcu zdjąć ten cholerny gips! Prawie o tym zapomniał. Wyzwolenie było tuż-tuż.

3

Zbrodnia z Tristana Beach.

Klienci księgarni, turyści, spacerujący po rynku mieszkańcy wyspy, wszyscy mówili tylko o tym. Po południu odwiedziło mnie w Szkarłatnej Róży mnóstwo ciekawskich – nikt nic nie kupował, ludzie chcieli pogadać o tym, co się stało. Jedni, żeby uspić swój strach, drudzy, żeby zaspokoić niezdrową ciekawość.

Otworzyłem macbooka. Połączenie z internetem w księgarni działało raczej szybko, ale często się urywało, przez co musiałem co chwila latać na piętro, żeby restartować router. Przeglądarkę miałem otwartą na Twitterze Laurenta Lafaury’ego, który właśnie zaktualizował swój blog.

Według niego policja wreszcie zidentyfikowała ofiarę. Była to trzydziestoosmioletnia Apolline Chapuis, przedstawicielka firm zajmujących się handlem winem, zamieszkała w dzielnicy Chartrons w Bordeaux. Pierwsze świadectwa sygnalizowały jej obecność na przystani w Saint-Julien-les-Roses dwudziestego sierpnia. Niektórzy pasażerowie widzieli ją tego dnia na promie. Śledczy wciąż jednak szukali powodu, dla którego przybyła na wyspę. Według jednej z hipotez ktoś ją tu zwabił i uwięził, po czym zabił i przechował ciało w chłodni lub zamrażarce. Artykuł kończył się idiotyczną plotką, jakoby w planach policji było dokładne przeszukanie wszystkich domów na wyspie, żeby znaleźć ten, w którym przechowano zwłoki.

Zajrzałem do kalendarza z reprodukcją słynnego portretu Arthura Rimbauda namalowanego przez Carjata, który Audibert przykleił z tyłu ekranu swojego komputera. Jeśli źródła Lafaury’ego były godne zaufania, Apolline Chapuis wylądowała na wyspie trzy tygodnie przede

mną. Pod koniec deszczowego sierpnia, gdy wszędzie nad Morzem Śródziemnym lało jak z cebra.

Odruchowo zacząłem stukać w klawiaturę i szybko znalazłem stronę firmy Apolline Chapuis. Młoda kobieta nie była negocjatorką, jak przedstawił ją Lafaury. Pracowała na rynku wina, to fakt, ale w obszarze handlu i marketingu. Jej niewielka firma była bardzo aktywna na rynku międzynarodowym. Apolline sprzedawała wysokiej klasy wina do hoteli i restauracji oraz tworzyła prywatne piwniczki dla bogatych ludzi. W zakładce zatytułowanej *Kim jesteśmy* znajdował się życiorys założycielki i zapis przebiegu jej kariery. Urodziła się w Paryżu w rodzinie posiadającej akcje wielu bordoskich winnic. Zrobiła magisterium w zakresie regulacji prawnych w przemyśle winnym na Uniwersytecie Bordeaux-IV, następnie zdobyła dyplom z enologii w Państwowym Instytucie Wyższych Studiów Rolniczych w Montpellier. Zanim założyła swoją małą firmę konsultingową, pracowała w Londynie i Hongkongu. Jej czarno-biała fotografia ukazywała twarz przyjemną dla amatora wysokich blondynek o melancholijnym spojrzeniu.

Po co przyjechała na wyspę? Czy w sprawach zawodowych? To było całkiem możliwe. Na wyspie Beaumont od bardzo dawna uprawiano winorośl. Tak jak na Porquerolles, tak i tu na początku sadzono winne krzewy jako obronę przed pożarami. Dzisiaj bardzo dużo winnic na wyspie produkowało zupełnie przyzwoite côtes-de-provence. Największa winnica na wyspie, i jej duma, należała do Gallinarich. W 2000 roku korsykańska gałąź tej rodziny obsadziła rzadkimi szczepami wybrane gliniaste i wapienne tereny. Mimo że na początku wszyscy brali ich za wariatów, białe wino – słynne Terra dei Pini – którego produkowali dwadzieścia tysięcy butelek rocznie, miało obecnie doskonałą reputację i znajdowało się w menu najsłynniejszych restauracji na świecie. Od kiedy tu przyjechałem, kilkakrotnie próbowałem tego nektaru. Było to wino wytrawne, aromatyczne, o delikatnym zapachu kwiatów i bergamoty. Cały proces jego produkcji odbywał się zgodnie z zasadami biodynamiki i wspomagany był łagodnym klimatem wyspy.

Znów wróciłem do artykułu Lafaury'ego. Po raz pierwszy w życiu miałem wrażenie, że jestem bohaterem kryminału, słynnym detektywem. I jak zawsze, gdy zdarzało mi się coś interesującego, chciałem od razu zasiąść do pisania i zbudować z tego powieść. Widziałem już w wyobraźni niepokojące tajemnicze obrazy: śródziemnomorska wyspa sparaliżowana brakiem komunikacji z lądem, zamrożone zwłoki młodej kobiety, słynny pisarz od dwudziestu lat izolujący się w swojej samotni...

Otworzyłem nowy dokument i zacząłem stukać w klawiaturę.

Rozdział 1

Wtorek, 11 września 2018

Wiatr trzepotał żaglami pod uderzająco błękitnym niebem.

Żaglówka wypłynęła z przystani wczesnym popołudniem i sunęła z szybkością pięciu węzłów na godzinę w kierunku wyspy Beaumont. Siedziałem niedaleko steru, obok kapitana, oszołomiony perspektywą żeglowania po pełnym morzu i wpatrzony z zachwytem w złoty poblask morskich fal.

4

Słońce nikło za horyzontem, zdobiąc niebo pomarańczowymi smugami. Fawles wrócił ze spaceru z psem. Szedł powoli, a właściwie człapał. Nie posłuchał zaleceń lekarza i jak tylko pozbył się gipsu, od razu wziął Bronca na spacer. Zapomniał o lasce i w ogóle o ostrożności. Cena była słona: ledwo dyszał, kostkę miał jak z drewna i bolały go wszystkie mięśnie.

W salonie opadł bez sił na kanapę naprzeciwko okna z widokiem na morskie fale. Połknął lek przeciwpalny. Zamknął oczy, starając się odprężyć. Golden retriever lizał mu dłonie. Fawles prawie przysypiał, gdy rozbudził go dzwonek do bramy.

Wstał, opierając się o brzeg kanapy, i pokuśtykał do drzwi. Na ekranie monitora ujrzał wesołą twarz Mathilde Monney.

Skamieniał. Czego ona tu szuka? Jej wizyta mogła być niegroźna, ale mogła też być czymś bardzo złym. Nie wróciła tu ot tak sobie. Co robić? Nie odezwać się? To było rozwiązanie na krótką metę, no i nie pozwalało zidentyfikować natury niebezpieczeństwa.

W milczeniu odblokował zamek w bramie. Uspokoił się. Uczucie zagrożenia wywołane zaskoczeniem minęło. Przecież nie będzie się bał tej kobiety! Musi wyperswadować jej wsadzanie nosa w jego sprawy, i tyle. Tylko spokój.

Oparty o framugę, z psem przy nodze, obserwował furgonetkę podjeżdżającą pod dom w tumanach kurzu. Mathilde zatrzymała się przed wejściem do domu, zaciągnęła hamulec ręczny, trzasnęła drzwiami i stanęła przed Fawlesem. Miała na sobie sukienkę w kwiatki z krótkimi rękawami, którą włożyła na sweter z golfem. Ostatnie promienie słońca ślizgały się po musztardowej skórze botków na obcasach.

Z jej spojrzenia Fawles wywnioskował dwie rzeczy. Po pierwsze – Mathilde Monney nie znalazła się na wyspie przypadkiem; przyjechała

tu, by odkryć jego sekret. Po drugie – nie miała najmniejszego pojęcia, co to może być.

– Widzę, że gips już zdjęty! Może mi pan pomóc?! – wykrzyknęła i zaczęła wyladowywać z bagażnika torby z brązowego papieru.

– Co to jest? – zapytał.

– Zrobiłam panu zakupy. Powiedział pan wczoraj, że pańska spiżarnia ziele pustką.

Fawles nie ruszył się z miejsca.

– Nie potrzebuję pomocy domowej. Sam mogę sobie zrobić zakupy.

Z miejsca, w którym stał, czuł zapach Mathilde. Mięta, owoce cytrusowe, czysta bielizna i coś jakby woń lasu.

– Och, niech się panu nie wydaje, że robię to za darmo! Chcę wyjaśnić tę historię. No jak, pomoże mi pan czy nie?

– Jaką historię? – spytał Fawles, chwytając niechętnie torby, które jeszcze zostały w samochodzie.

– Tę historię z potrawką cielęcą w sosie śmietanowym.

Fawles myślał, że się przesłyszał, ale ona dodała:

– W pańskim ostatnim wywiadzie chwalił się pan, że umie pan przygotowywać wspaniałą cielęcinę w śmietanie! To moje ulubione danie.

– Dałbym sobie rękę uciąć, że jest pani wegetarianką.

– Absolutnie nie! Kupiłam wszystkie potrzebne składniki. Nie ma pan już żadnej wymówki, żeby mnie nie zaprosić na kolację.

Zrozumiał, że dziewczyna nie żartuje. Nie przewidział takiego obrotu sprawy. Wytłumaczył sobie jednak, że panuje nad sytuacją, i zaprosił ją do środka.

Mathilde zachowywała się, jakby była u siebie. Postawiła torby na stole w salonie, skórzaną kurtkę powiesiła na wieszaku i otworzyła butelkę corony. Wyszła na taras i popijając piwo, podziwiała zachód słońca.

Tymczasem Fawles, sam w kuchni, niby nonszalancko rozłożył zakupy i zaczął szykować kolację.

Ta historia z cielęciną to była bzdura, głupi dowcip, którym odpowiedział jakiemuś wścibskiemu dziennikarzowi. Gdy indagowano go o życie osobiste, stosował zasadę Italo Calvina: nie odpowiadać lub skłamać. Ale nie będzie się teraz wymigiwał. Wyłożył rzeczy potrzebne, a resztę pochował. Starał się jak najrzadziej opierać na bolącej nodze. W szafce znalazł nieużywany od wieków emaliowany garnek. Wlał do niego trochę oliwy i podgrzał. Wyjął deskę i pokroił w kostkę kawałek cielęciny, posiekał czosnek razem z natką pietruszki i posypał tą mieszanką smażące się mięso. Dodał łyżkę mąki i duży kieliszek białego wina, po czym zalał wszystko ciepłym bulionem. O ile pamiętał, mięso powinno się dusić dobrą godzinę.

Rzucił okiem do pozostałych pomieszczeń. Już zapadł zmierzch i Mathilde wróciła ogrzać się do mieszkania. Nastawiła winylową płytę Yardbirdsów i zabrała się do grzebania w książkach. Fawles sięgnął do chłodziarki na wino, która stała obok lodówki, i wyjął z niej Saint-Julien. Ostrożnie przelał wino do karafki i wszedł do salonu.

– Nie jest u pana za ciepło! – usłyszał głos Mathilde. – Może rozpali pan w kominku?

– Jeśli pani chce...

Podszedł do metalowego stojaka, na którym leżały szczapy drewna. Wziął do ręki trochę chrustu, kilka drewnien i rozpalił ogień w swoim designerskim kominku na środku pokoju.

Mathilde tymczasem otworzyła przymocowaną do ściany szafkę obok stojaka z drewnem i jej oczom ukazała się strzelba.

– A więc to nie legenda, naprawdę strzela pan do nieproszonych gości? – spytała.

– Taaa... I może pani być szczęśliwa, że się to pani nie przydarzyło.

Przyjrzała się broni. Kolba i uchwyt były z błyszczącego drewna orzechowego, w lufie z polerowanej stali odbijało się błękitnawe światło, a pośród dekoracyjnych arabesek zauważyła patrzącą na nią groźnie głowę, jakby Lucyfera.

– To diabeł? – spytała.

– Nie, to Kućedra, smok płci żeńskiej z rogami, folklor albański.

– Urocze!

Fawles dotknął jej ramienia, chcąc, żeby odsunęła się od metalowego stojaka i podeszła do kominka. Podał jej wino. Stuknęli się kieliszkami i pili Saint-Julien w ciszy.

– Gruaud Larose rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi, nie zażartował pan sobie ze mnie... – powiedziała Mathilde z uznaniem.

Usiadła na skórzanym fotelu obok kanapy, zapaliła papierosa i zaczęła bawić się z Bronco. Fawles wrócił do kuchni i zajrzał do mięsa. Dodał jeszcze wypestkowane oliwki i grzyby. Nastawił ryż i nakrył stół w jadalni na dwie osoby. Gdy mięso było gotowe, pokropił je sokiem z cytryny zmieszany z surowym żółtkiem.

– Zapraszam do stołu! – zawołał, wnosząc danie.

Mathilde nastawiła kolejną płytę – muzykę z filmu *Stara strzelba*. Fawles patrzył, jak pstryka palcami w rytm muzyki François de Roubaix. Bronco kręcił się koło niej. Piękna scena... Mathilde również była piękna. Byłoby łatwo zapomnieć się na chwilę, ale Fawles zdawał sobie sprawę, że to tylko gra, gra między dwoma osobami, z których każda myśli, że manipuluje drugą. Bał się konsekwencji. Zaryzykował i wpuścił wilka do owczarni. Nigdy nikt jeszcze nie był tak bliski odkrycia sekretu strzeżonego przez dwadzieścia ostatnich lat.

Cielęcina była bardzo smaczna. Zjedli z apetytem. Fawles, kiedyś gadatliwy, odzwyczaił się od rozmów, ale dzięki dobremu nastrojowi i entuzjazmowi Mathilde, która dzieliła się z nim wszystkimi swoimi przemyśleniami, a miała ich mnóstwo, kolacja się udała. A potem w pewnej chwili coś się w jej spojrzeniu zmieniło. Oczy nadal błyszcząły, ale wzrok stał się poważniejszy, już nie patrzyła tak wesoło.

– Ponieważ są pańskie urodziny, przywiozłam prezent... – oznajmiła.

– Urodziłem się w czerwcu, tak naprawdę to nie są moje urodziny – rzekł.

– Coś takiego, trochę się w takim razie spóźniłam... albo może robię to za wcześnie. Ale prezent będzie się panu podobał, bo jest pan pisarzem.

– Nie jestem już pisarzem.

– Status pisarza wydaje mi się taki sam jak status prezydenta. Tytuł się zachowuje, nawet jeśli nie wykonuje się już tej funkcji.

– No, to dyskusyjna sprawa... Ale czemu nie!

Zaatakowała go z innej strony.

– Pisarze to najwięksi kłamcy na świecie! – rzuciła.

– Nie, największymi kłamcami są politycy – sprzeciwił się. – I historycy. I dziennikarze – dodał. – Z pewnością nie pisarze.

– Ależ tak! To przecież kłamstwo, gdy pan mówi, że pisze pan „z życia”. Życie jest zbyt skomplikowane, żeby się bawić w proste wyjaśnienia albo chcieć zamykać je na kartach książki. Jest silniejsze niż matematyka, niż fikcja. Powieść to fikcja. A fikcja to, logicznie rzecz biorąc, kłamstwo.

– Wprost przeciwnie! Philip Roth określił to bardzo celnie: „Powieść dostarcza autorowi kłamstwa, za pomocą którego ten wyjaśnia prawdę, której inaczej nie mógłby wyjaśnić”.

– Tak, ale...

Fawles poczuł nagle, że ma tej dyskusji dość.

– Nie rozwiążemy tego problemu dzisiejszego wieczoru, prawda? Niech mi pani pokaże mój prezent.

– Myślałam, że pan go nie chce.

– Jest pani wyjątkowo upierdliwa.

– Mój prezent to historia.

– Jaka historia?

Mathilde, wciąż z kieliszkiem wina w dłoni, wstała od stołu i usadowiła się w fotelu.

– Opowiem panu pewną historię. Kiedy skończę, nie pozostanie panu nic innego do zrobienia, jak tylko zasiąść do maszyny i ją spisać.

– Proszę nawet o tym nie marzyć!

– Założymy się?

– Nie mam zamiaru się zakładać.

– Boi się pan?

– Z pewnością nie pani. Nic nie zmusi mnie, żebym wrócił do pisania.

Nie rozumiem, w jaki sposób ta historia miałaby to zmienić.

– Bo moja historia dotyczy pana i potrzebuje zakończenia.

– Nie jestem pewien, czy tak naprawdę chcę ją usłyszeć.

– Mimo wszystko opowiem ją panu.

Nie wstając z fotela, wyciągnęła w kierunku Fawlesa dłoń z pustym kieliszkiem. Wziął ze stołu butelkę Saint-Julien, wstał, napełnił jej kieliszek i opadł na kanapę. Zrozumiał, że teraz dopiero zaczyna się ich prawdziwe spotkanie i że cała dotychczasowa rozmowa była towarzyskim gadaniem trzy po trzy. Preludium do prawdziwego starcia.

– Wszystko zaczęło się na początku roku dwutysięcznego na terenie Oceanii. – zaczęła. – Apolline Chapuis i Karim Amrani, młoda para z paryskich przedmieść, po piętnastu godzinach lotu dotarli na Hawaje, gdzie zamierzali spędzić wakacje...

5

Epopeja

Nie ma nic gorszego niż noszenie w sobie historii, która jeszcze nie została opowiedziana.

Zora Neale Hurston

2000

Historia zaczyna się na terenie Oceanii na początku 2000 roku.

Apolline Chapuis i Karim Amrani, narzeczeni z paryskich przedmieść, po piętnastu godzinach lotu dotarli na Hawaje, gdzie zamierzali spędzić wakacje. W pokoju hotelowym opróżnili minibarek i zapadli w głęboki sen. Dwa następne dni poświęcili w całości urokom wulkanicznej wyspy Maui. Palili marihuanę i spacerowali wśród dzikiej przyrody, podziwiając małe wodospady i kwieciste łąki. Kochali się na piaszczystych plażach, wynajęli stateczek, żeby u wybrzeży Lahainy obserwować wieloryby... Trzeciego dnia, kiedy spróbowali nurkowania, aparat fotograficzny wpadł im do wody.

Dwaj doświadczeni nurkowie, którzy im towarzyszyli, próbowali go znaleźć, lecz nie udało się. Apolline i Karim musieli pogodzić się ze stratą wszystkich zdjęć z wakacji. Nie mieli z tym trudności dzięki odwiedzinom we wszystkich nadmorskich barach.

2015

Życie jest jednak pełne niespodzianek.

Wiele lat później, dziewięć tysięcy kilometrów od tamtego miejsca, Eleanor Farago, amerykańska bizneswoman, podczas codziennego biegu na plaży Baishawan, w regionie Kenting, na południu Tajwanu, zauważyła jakiś przedmiot wystający spośród raf.

Była wiosna 2015 roku. Pani Farago, przedstawicielka centrali międzynarodowej sieci hoteli, odbywała podróż po Azji, robiąc przegląd niektórych z nich. Ostatniego ranka przed powrotem do Nowego Jorku postanowiła pobiegać po miejscowym Lazurowym Wybrzeżu, plaży Baisha. Plaża ta otoczona była wzgórzami i wysypana drobnym złotym

piaskiem, ale przezroczysta woda sięgała też kilku stromych skał. Wśród nich Eleanor zauważyła ten dziwny przedmiot. Podbiegła, wspięła się na pierwszą skałę, potem na drugą i wyciągnęła wystający z wody przedmiot. Był to wodoodporny futerał zawierający aparat fotograficzny PowerShot marki Canon.

Nie wiedziała wówczas jeszcze – a szczerze mówiąc, nigdy się tego nie dowiedziała – że aparat dwojga młodych Francuzów dryfował w wodzie przez piętnaście lat. Unosiły go fale, porywały prądy morskie i w ten sposób pokonał prawie dziesięć tysięcy kilometrów. Zaciekawiona Amerykanka wyjęła go, wsadziła do worka z materiału i włożyła do podręcznego bagażu. Kilka godzin później wsiadła w samolot w Tajpej. Jej lot Delta Air Lines wystartował o 12.35 do San Francisco, tam miała przesiadkę, i na lotnisku JFK w Nowym Jorku znalazła się z ponadtrzygodzinnym opóźnieniem. Wyczerpana, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu, zapomniała zabrać rzeczy ze schowka naprzeciw fotela, w tym również aparat fotograficzny.

*

Ekipa sprzątaczy znalazła torbę z aparatem i oddała ją do biura rzeczy zaginionych na lotnisku JFK. Trzy tygodnie później pracownik tego biura znalazł bilet samolotowy pani Farago. Odszukał jej numer telefonu i nagrał wiadomość oraz wysłał e-mail, że zguba na nią czeka. Eleanor Farago się nie odezwała.

Zgodnie ze standardową procedurą biuro rzeczy znalezionych przechowywało zgubę przez dziewięćdziesiąt dni. Gdy ten okres minął, aparat wraz z mnóstwem innych przedmiotów sprzedano pewnej firmie w Alabamie, która od kilkudziesięciu lat wykupywała od amerykańskich linii lotniczych zapomniane bagaże.

*

Jesienią 2015 roku aparat fotograficzny trafił na półki Unclaimed Baggage Center, magazynu, w którym lądowały rzeczy pozostawione na pokładach samolotów i po które nikt się nie zgłosił. Było to przedziwne miejsce, niepodobne do żadnego innego. Wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w Scottsboro, małej miejscinie w hrabstwie Jackson, dwieście kilometrów na północ od Atlanty. Niewielkie przedsiębiorstwo rodzinne wpadło na pomysł podpisania umów z liniami lotniczymi

i zajęcia się sprzedażą zapomnianych bagaży. Interes zaczął prosperować i z biegiem lat firma stała się instytucją.

W 2015 roku jej magazyny zajmowały prawie cztery tysiące metrów kwadratowych. Codziennie zwożono do tej zabitej dechami dziury ponad siedem tysięcy walizek i innych przedmiotów z różnych lotnisk w Stanach Zjednoczonych. Dodatkowo zjeżdżało się mnóstwo ciekawskich z całego kraju, a nawet można powiedzieć, z czterech stron świata. To miejsce, coś pomiędzy dyskontem a gabinetem osobliwości, co roku odwiedzało ponad milion osób. Na czterech piętrach poukładane były ubrania, komputery, tablety, słuchawki, instrumenty muzyczne, zegarki. Utworzono tu nawet prawdziwe małe muzeum osobliwości, w którym znalazły się na przykład włoskie skrzypce z osiemnastego wieku, egipska maska pogrzebowa, diament o masie 5,8 karata czy urna z prochami nieznanego osoby...

Tak więc od września 2015 do grudnia 2017 roku na jednej z półek w tym dziwnym sklepie leżał sobie, wśród innych aparatów fotograficznych, starannie opakowany w torbę z grubego materiału, nasz canon powershot.

2017

W tym roku podczas bożonarodzeniowej przerwy Scottie Malone, lat 44, i jego córka Billie, lat 11, mieszkający w Scottsboro, spacerowali po alejkach Unclaimed Baggage Center. Sprzedawane tu towary były często o osiemdziesiąt procent tańsze niż nowe, a Scottie nie miał zbyt dużo pieniędzy. Posiadał warsztat samochodowy przy drodze prowadzącej do jeziora Gunterville; naprawiał w nim zarówno samochody, jak i łodzie.

Od kiedy opuściła go żona, starał się sam wychowywać córkę najlepiej, jak mógł. Julia, jej matka, zniknęła pewnego zimowego dnia, trzy lata wcześniej. Gdy wieczorem wrócił z pracy, na stoliku kuchennym leżał list z suchym zawiadomieniem, że odeszła. Oczywiście bardzo go to zabolalo i nie przestał cierpieć z tego powodu, ale nie był specjalnie zaskoczony. Prawdę mówiąc, zawsze wiedział, że żona kiedyś go opuści. Na którejś ze stron książki przeznaczenia jest napisane, że zbyt piękne róże żyją w strachu przed zwiędnięciem. Ten strach pcha je niekiedy do uczynienia czegoś, czego nie da się naprawić.

– Tatusiu, czy mogę dostać pod choinkę farby? – spytała Billie.

Scottie pokiwał głową. Weszli na ostatnie piętro, gdzie znajdował się dział książek i artykułów papierniczych. Przeglądali wszystko już ponad kwadrans i znaleźli śliczne pudełko gwaszy w tubkach, pastele olejne i dwa czyste płótna. Radość córki uszczęśliwiła Scottiego. Pozwolił sobie na wydatek osobisty: kupił książkę Michaela Connelly'ego *Poeta* przecenioną na dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Polubił czytanie

dzięki Julii. To ona otworzyła przed nim magiczny świat literatury. Potrafiła doradzić mu wśród gatunków, o których wiedziała, że je lubi – kryminałów oraz powieści historyczno-przygodowych. Nie zawsze było mu łatwo zatopić się w lekturze, ale jeśli znalazł coś dla siebie, gdy przypadły mu do gustu styl, dialogi, myśli bohaterów i ich czyny, czytanie stawało się wielką ucieczką od rzeczywistości. To było coś najfajniejszego na świecie, lepszego od Netflixa, od meczów Atlanta Hawks, od wszystkich debilnych filmików, które krążyły w sieci, robiąc ci z mózgu sieczkę.

Gdy stali w kolejce do kasy, Scottie zauważył kosz z ostateczną przeceną. Zaczął w nim grzebać i udało mu się wyłowić spomiędzy różności wypchany czymś woreczek z materiału. Był w nim stary aparat fotograficzny za cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Po chwili zastanowienia Scottie uległ pokusie. Lubił majsterkować; naprawiał wszystko, co wpadło mu w ręce. Zawsze podejmował takie wyzwania, bo naprawiając zepsute stare przedmioty, miał wrażenie, że reperuje kawałek własnego życia.

*

Po powrocie do domu wspólnie postanowili, że choć była dopiero sobota dwudziestego trzeciego grudnia, nie będą czekać na Mikołaja i od razu otworzą prezenty. Dzięki temu będą mogli cieszyć się wszystkim przez całą końcówkę weekendu, bo Scottie musiał stawić się w pracy w warsztacie już w poniedziałek. W tym roku było zimno. Przygotował córeczce filiżankę gorącej czekolady z minipiankami, które unosiły się na powierzchni jak małe łódki. Billie nastawiła muzykę i całe popołudnie malowała, podczas gdy ojciec czytał swój kryminał, sącząc piwo.

Dopiero wieczorem – Billie wzięła się właśnie do przygotowania zapiekanki z makaronu i sera – Scottie otworzył zawiniątko z aparatem. Przyglądając się wodoodpornej obudowie, odgadł, że aparat przebywał pod wodą przez wiele lat. Musiał użyć zębatego noża, żeby zdjąć zabezpieczenie. Aparat oczywiście nie działał, ale po kilku próbach Scottiemu udało się wysunąć kartę pamięci, która wyglądała na niezniszczoną. Włożył ją do komputera i skopiował zdjęcia.

Oglądał je podekscytowany. Chociaż miał nieprzyjemne uczucie, że podgląda nieznanomych, wygrała ciekawość. Zdjęć było około czterdziestu. Ostatnie przedstawiały młodą rozbawioną parę na tle rajskich krajobrazów: plaże ciągnące się w nieskończoność, turkusowa woda, bogata przyroda, podwodne ujęcia jaskrawo kolorowych ryb. Na

jednym ze zdjęć młodzi pozowali na tle jakiegoś hotelu. Było robione w pośpiechu, byle jak, z aparatem trzymanym nad głowami, takie przedpotopowe selfie na tle hotelu Aumakua. Kilkoma kliknięciami Scottie odszukał ten przybytek w internecie – był to luksusowy hotel na Hawajach.

Pewnie tam zgubili aparat, musiał wpaść im do wody – pomyślał i podrapał się po głowie. Na karcie były jeszcze inne zdjęcia. Ich data wskazywała, że były zrobione kilka tygodni przed pobytem na Hawajach, ale zupełnie do nich nie pasowały. Były tam inne osoby, w innym kraju i w innym kontekście. Do kogo należał ten aparat? Na tym pytaniu Scottie chwilowo zakończył zastanawianie się i poszedł na kolację.

Tak jak obiecał córce, spędzili wieczór, oglądając filmy o świętach, które napędzają strachu, a więc *Gremliny* i *Miasteczko Halloween*.

Siedząc przed telewizorem, zastanawiał się nad swoim odkryciem. Wypił jeszcze jedno piwo, potem jeszcze jedno i zapadł w sen.

*

Gdy obudził się następnego ranka, była prawie dziesiąta. Zawstydzony, że spał tak długo, odkrył córkę „pracującą” przed ekranem komputera.

– Zrobić ci kawy, tato?

– Wiesz, że nie wolno ci samej korzystać z internetu! – skarcił ją.

Billie, naburmuszona, wzruszyła ramionami i poszła dąsać się do kuchni.

Na biurku obok komputera Scottie zauważył złożoną starą kartkę papieru, która wyglądała jak elektroniczny bilet samolotowy.

– Gdzie to znalazłaś? – spytał.

– Tam! – odrzekła Billie, wskazując nosem torebkę z materiału.

Scottie zmrużył oczy, żeby odcyfrować informacje na bilecie. Chodziło o lot Delta Air Lines, dwunastego maja 2015 roku z Tajpej do Nowego Jorku. Pasażerką była niejaka Eleanor Farago. Scottie podrapał się po głowie. Coraz mniej rozumiał z tego wszystkiego.

– Ja wiem, co się stało! Zastanawiałam się nad tym cały ranek, kiedy ty spałeś jak suseł! – oznajmiła triumfalnie Billie.

Usiadła przy komputerze i wydrukowała planisferę, którą znalazła w internecie. Potem piórem zaznaczyła mały kawałek lądu na środku Pacyfiku.



– Aparat zaginął na Hawajach w dwutysięcznym roku – zaczęła, przesuając zdjęcia z aparatu. – Zgubiła go para, która nurkowała.

– Do tej chwili wszystko się zgadza! – przytaknął ojciec, wkładając okulary.

Billie wskazała na bilet samolotowy, zaznaczając długą kreską trasę przez ocean, z Hawajów na Tajwan.

– Następnie aparat płynął z prądem aż do brzegów Tajwanu, gdzie w dwa tysiące piętnastym roku został znaleziony przez tę panią Farago.

– Która zostawiła go przez zapomnienie w samolocie w drodze powrotnej do Stanów? – odezwał się ojciec.

– Tak jest! – odpowiedziała Billie, kiwając głową. – I w końcu trafił do nas.

Starannie pociągnęła na wydruku kolejną linię aż do Nowego Jorku i następną, przerywaną, która prowadziła do ich miasteczka.

Scottie był pod wrażeniem zdolności dedukcyjnych córki. Billie odtworzyła prawie kompletną wersję tej zagadki, nawet jeśli wciąż nie wyjaśniła tajemnicy.

– A kto jest na zdjęciach sprzed Hawajów?

– Nie wiem, ale myślę, że to jacyś Francuzi.

– Dlaczego?

– Przez okna widać dachy, to są dachy Paryża – odpowiedziała Billie.

– A to, to jest przecież wieża Eiffla.

– Myślałem, że wieża Eiffla jest w Las Vegas!

– Tato!

– Zartuuuję! – Scottie pokręcił głową. Przypomniiał sobie, jak kiedyś obiecał Julii, że zabierze ją do Paryża, i jak ta obietnica w miarę niszczącego upływu czasu, dni, tygodni, wreszcie lat, powoli odpływała w dal.

Jeszcze kilka razy obejrzał te „paryskie” zdjęcia, potem wrócił do zdjęć z Hawajów. Nie wiedział czemu, ale był nimi zahipnotyzowany. Jakby za tymi dwoma sekwencjami krył się jakiś dramat, tajemnicza intryga godna jego najulubieńszych kryminałów...

Cóż mógł zrobić z tymi zdjęciami? Nie było powodu, żeby pokazać je policji, ale coś mu mówiło, że nie wolno tego zataić. Może porozumieć się z jakimś dziennikarzem? Najlepiej francuskim... Z tym że Scottie nie znał francuskiego.

Podziękował córce, która przyniosła mu filiżankę czarnej kawy. Oboje zasiedli przed ekranem. Przez następną godzinę próbowali na ślepo różnych metod, wprowadzali do wyszukiwarek różne hasła i w końcu znaleźli kogoś, kto w miarę odpowiadał poszukiwanemu przez nich profilowi. Była to francuska dziennikarka, która zrobiła magisterium na nowojorskim Uniwersytecie Columbia, a potem wróciła do Europy i obecnie pracuje w jakiejś gazecie w Szwajcarii.

Billie znalazła jej adres mailowy na stronie tej gazety i wspólnie przygotowali e-mail, w którym opisali znalezisko i dodali, że otacza je aura dziwnej tajemnicy. Żeby podkreślić wagę informacji, załączyli kilka fotografii. I szu! Mail wpadł w sieć jak butelka w morze.

Dziennikarka nazywała się Mathilde Monney.

ZŁOTOWŁOSY ANIOŁ

Fragmenty programu *Bouillon de culture*

France 2

20 listopada 1998

(Dekoracje eleganckie, minimalistyczne. Kremowe draperie, antyczne kolumny, atrapa biblioteczki, półki sprawiają wrażenie wyrzeźbionych w marmurze. Zaproszeni goście siedzą w fotelach z czarnej skóry wokół niskiego stolika. Gospodarz programu Bernard Pivot w okularach połówek na nosie, w tweedowej marynarce, przed zadaniem każdego pytania zagląda do notatek sporządzonych na karteczkach z bristolu).

Bernard Pivot: Jesteśmy bardzo spóźnieni, ale chciałbym jeszcze panu zadać kilka pytań, taki nasz tradycyjny kwestionariusz. Pierwsze pytanie: Jakie jest pańskie ulubione słowo?

Nathan Fawles: Światło!

Pivot: Słowo, którego pan nienawidzi?

Fawles: Oglądactwo, tak samo brzydko brzmiące, jak brzydko znaczące.

Pivot: Pański ulubiony narkotyk?

Fawles: Japońska whisky. Zwłaszcza Bara No Niwa, której gorzelnia została zniszczona w latach osiemdziesiątych i która...

Pivot: Stop! Nie wolno nam robić reklamy markom alkoholu w telewizji państwowej! Następne pytanie: Dźwięk, odgłos, który się panu podoba?

Fawles: Cisza.

Pivot: Ach! A ulubione przekleństwo, obelga, inwektywa?

Fawles: Dość podoba mi się „banda kretynów!”.

Pivot: Nie za bardzo to literackie!

Fawles: Nigdy nie rozumiałem, co to znaczy, że coś jest literackie, a coś innego nie. Raymond Queneau, na przykład, używa tego określenia w swoich *Ćwiczeniach stylistycznych*: „Najpierw okropne czekanie pod ohydny słońcem, potem obrzydliwy autobus, a w środku banda kretynów!”.

Pivot: Nowy banknot. Widzi pan na nim portret mężczyzny czy kobiety?

Fawles: Widzę wizerunek Alexandra Dumasa, który zarobił bardzo dużo pieniędzy, zanim wszystko stracił, i który

uważał, że pieniądz jest dobrym sługą, ale złym panem.

Pivot: Gdyby reinkarnacja istniała, chciałby pan stać się małą rośliną, drzewem czy zwierzęciem?

Fawles: Chciałbym stać się psem, bo psy są często bardziej ludzkie od ludzi. Czy zna pan historię psa Levinasa?

Pivot: Nie, ale opowie mi ją pan innym razem. Ostatnie pytanie: Jeśli Bóg istnieje, jak chciałby pan, żeby pana przywitał po śmierci?

Fawles: Nie byłeś ideałem, Fawles... Ale ja też nim nie jestem.

Pivot: Dziękuję panu za wizytę, dziękuję wszystkim państwu i do przyszłego tygodnia!

(Muzyka i napisy końcowe: *The Night Has a Thousand Eyes*, saksofon, Sonny Rollins)

6

Wakacje pisarza

*Pisarz nie ma wakacji. Pisarz albo pisze,
albo myśli o pisaniu.*

Eugène Ionesco

Środa, 10 października 2018

1

Dzień jeszcze nie wstał. Fawles ostrożnie zszedł ze schodów, pies trzymał się jego nóg. Na jasnym drewnianym stole w jadalni wały się resztki wczorajszej kolacji. Niedobudzony jeszcze pisarz z ciężkimi powiekami kursował między salonem a kuchnią, mechanicznymi gestami starając się zrobić porządek.

Gdy skończył, dał Broncowi jeść i przygotował sobie duży kubek kawy. Miniona noc była tak ciężka, że chętnie wstrzyknąłby sobie dożylnie kofeinę, gdyby to mogło rozproszyć mgłę, w której błędził jego umysł i on sam zresztą też.

Kubek parzył go w dłonie. Fawles wyszedł na taras. Przeszły go dreszcze. Różowy blask wstającego słońca rozświetlał powoli granatowe niebo. Mimo że minęła noc, mistral wciąż owiewał wybrzeże. Powietrze było suche, lodowate, jakby w ciągu kilku godzin zima wymiotła letnie dni. Fawles zasunął suwak grubego swetra i usiadł przy stole w zaciszu pociągniętej wapnem tarasowej wnęki, pełniącej funkcję patio.

Zamyślił się. Co ta Mathilde mu wczoraj naopowiadała! Uporządkujmy to sobie... A więc najpierw napisał do niej jakiś facet z Alabamy, który kupił stary aparat fotograficzny w magazynie wyprzedającym przedmioty zapomniane na pokładach samolotów. Aparat najprawdopodobniej zgubiło dwoje francuskich turystów przebywających na Hawajach w dwutysięcznym roku. Następnie, piętnaście lat później, ktoś znalazł go na plaży w Tajwanie. Zdjęcia z tego aparatu mają podobno związek z jakąś tragedią...

– Co przedstawiają? – spytał Fawles, kiedy młoda kobieta zamilkła.

Popatrzyła na niego błyszczącymi oczami.

– Na dziś wieczór to by było na tyle, Nathanie – oznajmiła. – Ciąg dalszy nastąpi. To co, spotykamy się jutro po południu w Sosnowej Zatoce?

Najpierw pomyślał, że ona żartuje, ale, diablica jedna, wysączyła do ostatniej kropli swoje Saint-Julien i wstała z fotela.

– Drwi sobie pani ze mnie?

Włożyła skórzaną kurtkę, z talerzyka przy wejściu wzięła kluczyki do samochodu i podrapała Bronca po łbie.

– Dzięki za cielęcinę i wino! Nigdy nie myślał pan o prowadzeniu bufetu śniadaniowego? Jestem pewna, że odniósłby pan wielki sukces! – rzuciła i wyszła, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

Ciąg dalszy nastąpi... Wściekł się. Za kogo ona się uważa, Szeherazada od siedmiu boleści! Chce się ze mną zetrzeć na moim własnym terenie? Pochwalić się, że też umie słuchaczy trzymać w napięciu?

Ależ zarozumiała... Fawles wypił resztkę kawy i wziął głęboki oddech. Tylko spokój. Musiał przyznać, że dzieje tego cholernego aparatu fotograficznego nie są nieinteresujące. Zupełnie dobry materiał na powieść, nawet jeśli w tej chwili nie bardzo wiedział, jak go rozwinąć. Przede wszystkim zaś nie rozumiał, dlaczego Mathilde powiedziała, że ta historia dotyczy jego. Nigdy nie odwiedzał Hawajów ani Tajwanu, nie mówiąc już o Alabamie. Jeśli więc ta opowieść miała mieć coś z nim wspólnego, to chyba tylko ze względu na fotografie, ale nazwiska, które padły – Apolline Chapuis, Karim Amrani – nic mu nie mówiły.

Czuł, że nie była to niewinna gra. Kryło się za nią coś poważniejszego niż zwykła kokieteria. Czego ta kobieta chciała? Jak na razie podchody jej się udały, bo tej nocy nie zmrużył oka. Dał się złapać jak dziecko. Gorzej, jak kretyn, bo zachowywał się dokładnie tak, jak ona tego oczekiwała.

Cholera! Nie wolno mu biernie czekać na ciąg dalszy. Musi zacząć działać, dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziewczynie, zanim wpadnie w pułapkę. W napięciu potarł jedną o drugą lodowate dłonie. Śledztwo, dobra, ale jak? Nie ma internetu, nie może więc prowadzić poszukiwań z domu. Sztywna, spuchnięta i boląca kostka też mu w tym nie pomoże. W pierwszym odruchu jak zwykle chciał dzwonić do Van Wycka. Ale Jasper był daleko. Oczywiście, mógł szukać w sieci, ale jak pomoże mu odeprzeć atak Mathilde na odległość? Było jasne, że sam nie da sobie rady. Potrzebował kogoś sprytnego i odważnego, kto nie bałby się ryzyka. Kogoś, kto byłby z nim bez zadawania niepotrzebnych pytań.

Znał takiego kogoś. Wstał i wrócił do salonu, żeby zadzwonić.

Zwinięty w kłębek w łóżku, trząsałem się z zimna. Od wczoraj temperatura na dworze spadła co najmniej o dziesięć stopni. Kładąc się, włączyłem żeliwny kaloryfer stojący w moim pokoiku, ale niestety, wciąż był zimny.

Spod koców widziałem przez okno wstający dzień, ale po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechałem, nie miałem ochoty wstawać. Odkrycie zwłok Apolline Chapuis i zablokowanie wyspy przez prefekturę przeobraziło całe Beaumont. W niespełna dwa dni śródziemnomorski raj brutalnie zmienił się w jedną wielką scenę zbrodni.

Koniec z sąsiedzkiimi pogaduszkami, z przyjacielskimi aperitifami, z otwartością mieszkańców. Nawet pogoda się zepsuła. Zapanowała ogólna nieufność. Dziś, kiedy popularny tygodnik umieścił na okładce tytuł *Ciemne sekrety wyspy Beaumont*, napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Jak często w tego rodzaju zbieranym naprędce materiale, w artykule nie było ani słowa prawdy. Informacje tam zamieszczone nie zostały sprawdzone, a w tytułach i nachalnych podtytułach znajdowały się wprowadzające w błąd skrótty. Beaumont przedstawiane było raz jako wyspa milionerów, a nawet miliardarów, a raz jako centrum działalności fanatycznych separatystów, przy których rozjuszeni Korsykanie wyglądali jak niewinne dzieci. Bogata i nierzucająca się w oczy rodzina Gallinarich, właściciele ziemskich, również wzbudzała niezdrową ciekawość. Wyglądało to tak, jakby dopiero tego dramatu było trzeba, żeby cała Francja odkryła istnienie naszej wyspy. Dziennikarze zagraniczni nie byli lepsi, gdyż najwyraźniej z prawdziwą przyjemnością kolportowali najbardziej nieprawdopodobne plotki. Prasa kopiowała się nawzajem, za każdym razem zniekształcając oryginalną informację, a potem wszystko to wpadało do młyna sieci społecznościowych i wychodziła z tego niestrawna breja, kłamliwa i nonsensowna, której jedyną rolą było łowienie klików i retweetów. Wielkie zwycięstwo przeciętności.

I to – poza strachem przed przechadzającym się na wolności mordercą – było głównym powodem oburzenia mieszkańców Beaumont. Ich wyspa, ich ziemia i życie wystawione zostały na przerażające światło medialne dwudziestego pierwszego wieku. Stres, jaki to wywołało, pogłębiany został pewnością, że już nigdy nic nie będzie takie jak przedtem. Mówili to wszyscy, których spotykałem.

Poza tym, od małej rybackiej barki po ogromne jachty, każdy tu posiadał statek lub łódź i niemożność korzystania z nich była jak wyrok skazujący na areszt domowy. Policja, która przybyła na wyspę i patrolowała port, uważana była za najeźdźców. Intruzi byli tym

bardziej znienawidzeni, że jak dotąd śledczy niewiele zrobili, poza tym, że obwiniali o wszystko – co udzieliło się również opinii publicznej – mieszkańców Beaumont. Przeprowadzono rewizje w tych kilku miejscowych restauracjach i barach oraz sklepach, które posiadały chłodnię lub dużą zamrażarkę, ale nic nie wskazywało na to, że poszukiwania były owocne.

Dźwięk sygnalizujący, że na moją komórkę przyszła wiadomość, zmobilizował mnie do wygramolenia się spod koców. Przetarłem zaspane oczy i po chwili dopiero zobaczyłem, co wyświetliło się na ekranie. To Laurent Lafaury zamieścił jedną po drugiej kolejne publikacje. Otworzyłem jego blog. W pierwszym poście zamieścił swoje zdjęcie z opuchniętą twarzą, opisując napad, którego podobno padł ofiarą zeszłego wieczoru, kiedy wstąpił na drinka do Fleurs du Malt. Przyczepiła się do niego grupka klientów, zarzucając mu, że swoimi tweetami zwiększa ogarniającą wyspę psychozę. Lafaury wyciągnął z kieszeni komórkę, żeby sfilmować tę scenę, ale z tego, co napisał na blogu, wynikało, że strażnik miejski Ange Agostini skonfiskował mu aparat, a potem pozwolił, żeby właściciel baru dał mu wciury przy zachęcie niektórych obecnych tam osób. Lafaury ostrzegł, że zamierza wnieść skargę, i zakończył publikację, nawiązując do słynnej teorii René Girarda, że niby każda społeczność odczuwa podczas kryzysu potrzebę znalezienia i napiętnowania kozła ofiarnego, żeby móc zrzucić na niego winę za wszystkie nieszczęścia. Co do tego ostatniego stwierdzenia, w sumie się nie mylił. Tak, ściągnął na siebie nienawiść wszystkich. Pobyt na wyspie stał się jego manną, przyniósł mu sławę, ale dla jej mieszkańców był udręką. Lafaury miał prawo uważać, że wykonuje swój zawód, ale dla większości wyspiarzy jego publikacje wyglądały na dolewanie oliwy do ognia. Ludzie przestali myśleć rozsądnie i było całkiem możliwe, że dziennikarz padnie ofiarą jeszcze większej agresji. Żeby atmosfera się uspokoiła i nie pogorszyła, powinno się znieść blokadę wyspy, a nie zanosić się na to w najbliższym czasie. No i należało jak najszybciej znaleźć autora tej strasznej zbrodni.

Drugi post dotyczył śledztwa prowadzonego przez policję, a dokładniej, opisywał, kim była ofiara, i relacjonował jej historię.

Apolline Chapuis, której nazwisko panieńskie brzmiało Mérignac, urodziła się w 1980 roku. Dzieciństwo spędziła w siódmej dzielnicy Paryża. Chodziła do szkoły Sainte-Clotilde, a potem do liceum Fénelon-Sainte-Marie. Nieśmiała, lecz błyskotliwa, wylądowała w szkole przygotowawczej na studia humanistyczne, ale gdy była na drugim roku, jej życie się wykoleiło.

Podczas jednej ze studenckich zabaw spotkała Karima Amraniego, drobnego dealera spod Porte de la Chapelle, i zakochała się w nim bez pamięci. Amrani rzucił prawo, które studiował na uniwersytecie

w Nanterre. Wygadany, trochę zagubiony, bliski skrajnej lewicy, był facetem, który raz pragnie być drugim Fidelem Castro, a raz Tonym Montaną.

Żeby mu się przypodobać, Apolline zaczęła opuszczać zajęcia i zamieszkała z nim w jakimś pustym mieszkaniu przy rue de Châteaudun. Karim wpadł w narkotyki. Potrzebował coraz więcej pieniędzy. Mimo wysiłków rodziny, by ją z tego wyciągnąć, Apolline zaczęła się staczać. Prostytycja nie przynosiła dość pieniędzy, zaczęli więc wspólnie kraść, czasem uciekając się nawet do przemocy. Wreszcie w 2000 roku zaplanowali atak na bar z zakładem bukmacherskim niedaleko place de la Bataille de Stalingrad. Nic nie poszło według planu, właściciel nie chciał się poddać. Karim strzelił do niego ze śrutówki, chwycił kasę i pobiegł do Apolline, która czekała na niego przed barem na motorze. Zauważył to przejeżdżający patrol policji i pojechał za nimi. Złapano ich na boulevard Poissonnière, naprzeciwko kina Grand Rex. Na szczęście obyło się bez ofiar, ale właściciel baru stracił oko. Karim został skazany na osiem lat więzienia, Apolline na cztery.

No tak, jasne... Teraz rozumiem, dlaczego kiedy przeglądałem stronę internetową Apolline, w opisanym tam życiorysie była długa przerwa.

Minął czas. Apolline wypuszczono z więzienia Fleury-Mérogis w 2003 roku. Wróciła do normalnego życia. Zaczęła studia w Bordeaux, potem w Montpellier, poślubiła Rémię Chapuis, syna miejscowego adwokata (rozwiódła się z nim kilka lat później, nie mieli dzieci). W 2012 roku wróciła do Bordeaux, założyła firmę enologiczną i publicznie wyznała, że jest lesbijką. To jedna z jej dawnych przyjaciółek zgłosiła na komisariacie w Bordeaux jej zaginięcie.

Na końcu wpisu Lafaury umieścił zeskanowany z „Le Parisien” stary artykuł ze sprawozdaniem z procesu Apolline i jej byłego chłopaka zatytułowany *Bonnie i Clyde z placu Stalingradu*. Towarzyszyło temu czarno-białe zdjęcie wysokiej delikatnej dziewczyny z podłużną twarzą i zapadniętymi policzkami. Oczy miała spuszczone. Karim był od niej dużo niższy. Krępy, muskularny, miał na twarzy wypisaną determinację. Podobno pod wpływem narkotyków bywał brutalny, ale podczas procesu zachowywał się wzorowo. Wbrew radom swego adwokata starał się, jak mógł, zdjąć winę z Apolline, co mu się udało. Strategia ta opłaciła się.

Kończąc lekturę postu, pomyślałem, że może zdemaskowanie kryminalnej przeszłości Apolline Chapuis uspokoi trochę mieszkańców wyspy. W końcu zbrodnia mogła zdarzyć się tu przypadkowo i w ogóle ich nie dotyczyć. Zastanawiałem się również, co porabiał Karim Amrani po wyjściu na wolność. Czy wrócił do nieuczciwego życia? Czy starał się skontaktować ze swoją byłą współniczką? Czy to naprawdę on wywierał w tamtych czasach zły wpływ na Apolline, a może sprawy były dużo

bardziej skomplikowane? Zwłaszcza zaś interesowało mnie, czy ponura przeszłość Apolline mogła jak bumerang wrócić do niej dwadzieścia lat później.

Sięgnąłem po laptop, który leżał w nogach łóżka. Chciałem zrobić kilka notatek do mojej powieści. Od wczoraj już gorączkowo pisałem, strony niemal same zapełniały się drukiem. Nie wiedziałem, czy to, co tworzę, jest coś warte, ale z pewnością historia, którą podsunął mi los, była warta opowiedzenia. Jak na razie rzeczywistość okazywała się silniejsza od fikcji, a czułem, że to dopiero początek. Dlaczego byłem przekonany, że śmierć Apolline to zaledwie wierzchołek góry lodowej? Być może to nerwowe reakcje ludzi wywoływały we mnie wrażenie, że z wyspą wiąże się jakaś tajemnica. Nagle sam stałem się bohaterem własnej powieści, jak w tych książkach dla dzieci, które połykałem, utożsamiając się z narratorem.

Chwilę później to wrażenie jeszcze się pogłębiło. Zadzwonił mój smartfon i ujrzałem nieznany numer. Kierunkowy jednak wskazywał, że połączenie pochodzi z wyspy.

Od razu poznałem głos Nathana Fawlesa.

Poprosił, żebym natychmiast do niego przyjechał.

3

Tym razem nie przywitał mnie strzałami, ale filiżanką dobrej kawy. Wnętrze willi było takie, jak sobie wyobrażałem. Minimalistyczne, ale robiące wielkie wrażenie, kamienne, ale ciepłe. Idealny dom dla pisarza. Prawie widziało się tu przy pracy Hemingwaya, Nerudę czy Simenona. Może nawet Nathana Fawlesa...

Fawles, w dżinsach, białej koszuli i grubym swetrze dawał pić swojemu golden retrieverowi. Był bez kapelusza i okularów, więc wreszcie zobaczyłem, jak naprawdę wygląda. Szczerze mówiąc, niewiele się zestarzał w porównaniu ze zdjęciami z lat dziewięćdziesiątych. Był średniego wzrostu i wagi, ale emanowała z niego siła. Opalona twarz, jasne błyszczące oczy, które widać było z daleka. Trzydniowy zarost i włosy koloru raczej pieprzu niż soli. Promieniowało od niego coś nieuchwytnego, przytłaczającego, ale i słonecznego. Nie było wiadomo: bać się tego czy nie?

– Usiądźmy na zewnątrz! – zaproponował, biorąc do ręki teczuszkę ze zniszczonej skóry rzuconą na designerskie krzesło Eamsów, które musiało mieć dwa razy tyle lat co ja.

Wyszedłem za nim na taras. Wciąż było dość chłodno, ale już pokazało się słońce. Po lewej stronie, tam, skąd straszył mnie Fawles,

kiedy zjawiłem się tu pierwszy raz, płyty ustępowały bitej ziemi, a dalej znów była skała. Do powierzchni tarasu przytwierdzony był stół na metalowych nogach i stały tam dwie kamienne ławki, wszystko w cieniu ogromnych sosen.

Fawles wskazał mi miejsce, po czym usiadł naprzeciw mnie i wbił we mnie wzrok.

– Powiem bez ogródek – zaczął. – Ściągnąłem cię tutaj, bo cię potrzebuję.

– Mnie? – spytałem zdziwiony.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

– Przestań powtarzać wszystko, co mówię, to jest bardzo męczące. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co?

– Coś bardzo ważnego i niebezpiecznego.

– Jeśli to jest niebezpieczne, co mogę na tym zyskać?

Położył teczkę na ceramicznych płytkach stolika.

– Dostaniesz to, co znajduje się w tej teczce.

– Mam to w nosie.

Fawles wzniósł oczy do nieba.

– Jak możesz tak mówić, skoro nawet nie wiesz, co w niej jest?

– Chcę tylko jednego: żeby przeczytał pan mój tekst.

Powoli otworzył teczkę i wyjął z niej powieść, którą rzuciłem w jego kierunku podczas naszego pierwszego spotkania.

– Już ją przeczytałem, chłopcze! – Uśmiechnął się i wręczył mi ją, najwyraźniej zachwycony, że udało mu się mnie zaskoczyć.

Nerwowo przerzuciłem kilka stron. Każda opatrzona była długimi notatkami. Fawles nie tylko przeczytał tekst, lecz także go poprawił, poświęcając na to najwyraźniej dużo czasu. Nagle ogarnęła mnie panika. Byłem zaszczepiony na odmowy wydawnictw, nie przejąłem się nawet, gdy ten głupek Bernard Dufy potraktował mnie z góry, ale czy będę umiał otrząsnąć się z sarkazmu swojego idola?

– No i co pan o tym sądzi? – spytałem drżącym głosem.

– Szczerze?

– Szczerze. To do niczego?

Fawles z całym sadyzmem, na jaki było go stać, wypił łyk kawy.

– Nooo... Przede wszystkim bardzo spodobał mi się tytuł! – rzucił po chwili. – Brzmienie, symbolika...

Przestałem oddychać.

– I muszę powiedzieć, że to jest zupełnie nieźle napisane.

Westchnąłem z ulgą. Nawet jeśli wiedziałem, że dla Fawlesa „nieźle napisane” wcale nie musi oznaczać komplementu. Zresztą za chwilę dodał:

– To znaczy, nawet trochę za dobrze... – Wziął ode mnie kartki i zaczął je przerzucać. – Zauważyłem, że ściągnęłaś ode mnie dwie lub trzy rzeczy. Nie tylko ode mnie zresztą... od Stephen Kinga, Cormaca McCarthy’ego, Margaret Atwood...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Szum fal uderzających o brzeg daleko w dole dochodził do nas tak wyraźnie, że miałem wrażenie, że stoimy na pokładzie łodzi.

– To nic strasznego! Normalna sprawa, z początku ściąga się od swoich ulubieńców, no i to znaczy, że przynajmniej czytasz dobre książki.

Wciąż przeglądał swoje adnotacje.

– Akcja jest mądrze poprowadzona, jedno wynika z drugiego i umiesz trzymać czytelnika w napięciu, dialogi często są świetne, nawet śmieszne i nie mogę powiedzieć, żebym się nudził...

– Ale?

– Ale brak tu najważniejszego.

No tak, wiedziałem...

– Bo co jest najważniejsze? – spytałem trochę naburmuszony.

– A według ciebie?

– Nie wiem. Oryginalność, nowe pomysły...

– Nie, do dupy z pomysłami, tego wszędzie pełno.

– Mechanizm akcji? Równowaga między sugestywną fabułą a przekonującymi bohaterami?

– Mechanizm to specjalność mechanika. A równowagę zostaw akrobatom. Nie tak zostaje się dobrym pisarzem.

– Celne riposty?

– Celne riposty są przydatne w rozmowie. – Fawles się uśmiechnął. – Każdy może korzystać ze słownika. Zastanów się, co jest naprawdę ważne?

– Ważne jest, żeby książka podobała się czytelnikom.

– Tak, to prawda, czytelnik jest ważny. Piszesz dla niego, zgoda, ale podlizywanie się mu to najlepszy sposób, żeby go zniechęcić.

– Dobrze, więc nie wiem. Co jest najważniejsze?

– Najważniejsze są soki, którymi żywi się twoja historia, żywica, która musi krążyć w tobie w miejsce krwi. Tak jakby przepływał przez ciebie prąd, spalając cię, powodując, że nie masz innego wyjścia, musisz wyrzucić z siebie tę opowieść, dobrnąć do końca, jakby zależało od tego twoje życie. Na tym polega pisanie. To spowoduje, że złapiesz czytelnika w pułapkę, w której będzie musiał siedzieć z tobą, dopóki ty go nie uwolnisz.

Staralem się pojąć, o co mu naprawdę chodzi. W końcu odważyłem się zapytać:

– Jaki konkretnie problem mam z pisaniem?

– Piszesz zbyt sucho. Nie czuję w tym prawdziwej potrzeby. Gorzej, nie czuję emocji.

– Przecież jest tam pełno emocji!

– Fałszywych. Sztucznych. Takie są najgorsze.

Strzelił palcami.

– Powieść to emocja, a nie intelekt. Ale żeby wzbudzić emocje, trzeba ich najpierw samemu doświadczyć. Musisz fizycznie odczuwać emocje, które przypisujesz bohaterom. Wszystkim bohaterom: dobrym i złym.

– To ma być zawód pisarza? Wzbudzanie emocji?

Wzruszył ramionami.

– W każdym razie ja tego oczekuję, czytając powieść.

– Kiedy przyszedłem do pana z prośbą o radę, dlaczego powiedział pan, żebym wybrał w życiu coś innego niż zawód pisarza?

– Bo to nie jest zawód dla normalnych ludzi. – Fawles westchnął. – To praca dla schizofreników. Wymaga niszczącego podziału: żeby pisać, musisz się rozdzielić, żyć w rzeczywistości i poza nią jednocześnie. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Chyba tak.

– Françoise Sagan znalazła idealną definicję: „Pisarz jest jak biedne zwierzę zamknięte w klatce z sobą samym”. Gdy piszesz, nie żyjesz w tym samym świecie co twoja żona, dzieci i przyjaciele. Tylko udajesz, że jesteś z nimi. Prawdziwe życie wiesz ze swymi bohaterami. To może trwać rok, dwa lata, pięć...

Najwyraźniej się rozgadał.

– Powieściopisarz to nie jest praca na pół etatu – ciągnął. – Pisarzem jesteś dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie masz wakacji. Jesteś zawsze spięty, wciąż na tropie nowych pomysłów, nowych wyrażeń, nowych cech charakteru, które mogą wzbogacić osobowość jednego z twoich bohaterów.

Spijałem słowa z jego warg. Wspaniale było widzieć, jak z pasją opowiada o pisaniu. Takiego Nathana Fawlesa oczekiwałem, przyjeżdżając tu, na wyspę.

– Ale to jest tego warte, prawda?

– Tak, tak, jest tego warte! – Najwyraźniej poddał się emocji, która go ogarnęła. – A wiesz czemu?

Tym razem wydawało mi się, że wiem.

– Bo przez chwilę wydaje się człowiekowi, że jest Bogiem.

– Właśnie! To głupie, ale przez chwilę przed twoim ekranem jesteś demiurgiem, który może tworzyć i niszczyć losy innych. Kiedy poznasz tę euforię, nic innego już nigdy cię nie zadowoli.

Przerzucił kładkę nad strumieniem i byłbym głupi, gdybym na nią nie wszedł.

– Dlaczego więc przestał pan pisać? Dlaczego?

Fawles zamilkł. Jakby skamieniał. Jego oczy straciły blask, turkusowy kolor pociemniał, stał się prawie granatowy, jakby na tęczę spadła mu kropla czarnej farby.

– Kurwa... – wyrwało mu się szeptem. Coś jakby pękło. – Przestałem pisać, bo już nie miałem siły – rzucił.

– Nie wygląda pan na chorego! A poza tym miał pan zaledwie trzydzieści pięć lat.

– Mówię tu o sile psychicznej. Wypaliłem się, straciłem tę mentalną zwinność, której wymaga pisanie.

– Czy coś się stało?

– To już moja prywatna sprawa – odpowiedział, wkładając z powrotem swój rękopis do teczki i zatrzasnąwszy zamek.

Zrozumiałem, że seminarium z literatury się skończyło i że przechodzimy do czegoś innego.

4

– No więc jak, pomożesz mi? – spytał, patrząc mi z naciskiem w oczy.

– Co mam zrobić?

– Po pierwsze, chciałbym, żebyś zebrał informacje o pewnej kobiecie.

– O kim?

– O tej dziennikarce, która grasuje po wyspie. Mathilde Monney.

– Och, znam ją! – wykrzyknąłem. – Nie wiedziałem, że jest dziennikarką. Była w księgarni w ten weekend. Kupiła wszystkie pana książki.

Informacja ta nie zrobiła na Fawlesie żadnego wrażenia.

– Czego pan chce się o niej dowiedzieć?

– Wszystkiego, co ci się uda wygrzebać. Dlaczego tu przyjechała, co robi całe dni, z kim się spotyka, o co wypytuje ludzi.

– Myśli pan, że chce napisać o panu reportaż?

Fawles udał, że nie usłyszał mojego pytania.

– Potem chcę, żebyś poszedł tam, gdzie mieszka, dostał się do jej pokoju...

– Co mam jej zrobić?

– Jej nic, ach, głupi jesteś! Masz wejść do jej pokoju pod jej nieobecność!

– To raczej niezgodne z prawem.

– Jeśli zawsze działasz zgodnie z prawem, nigdy nie staniesz się dobrym pisarzem, a na pewno nie artystą. Historia sztuki to historia przekraczania granic.

– Co za frazesy!

– Pisarz tworzy frazesy, to jego zawód.
– Myślałem, że już pan z tym skończył.
– Pisarzem jest się zawsze, jeśli się zaczęło. To tak jak z alkoholizmem.
– Powiedzonko za słabe na Pulitzera.
– Ach, zamknij się, szczeniaku!
– No dobrze, czego mam szukać u niej w pokoju?
– Dokładnie nie wiem... Zdjęć, artykułów, komputera...
Dolał sobie kawy i wypił łyk, krzywiąc się.
– Potem chciałbym, żebyś wyszukał w internecie wszystko na jej temat, a następnie...

Wyjąłem już swój laptop i otworzyłem go, ale Fawles krzyknął:

– Wysłuchaj mnie najpierw do końca! I nie trać czasu: tu nie ma ani wi-fi, ani w ogóle żadnej sieci.

Posłusznie, jak skarcony uczeń, odłożyłem laptop.

– Chcę, żebyś wyszukał materiały jeszcze o dwóch osobach: Apolline Chapuis i...

Otworzyłem szeroko oczy.

– O tej zamordowanej? – spytałem.

Uniósł brwi.

– Co ty mówisz? – spytał przerażony.

Z jego wyrazu twarzy wyczytałem, że przy jego odosobnieniu cały ten dramat, którym od kilku dni żyła wyspa, do niego nie dotarł. Opowiedziałem mu dokładnie wszystko, co wiedziałem. O zamordowaniu Apolline, o zamrożonym ciele, o jej kryminalnej przeszłości, związku z Karimem Amranim i o zablokowaniu wyspy przez władze.

Z każdą nową informacją widziałem, jak Fawlesa ogarnia coraz większe oszołomienie. Początkowy niepokój, który u niego wyczułem, gdy tu przyszedłem, zmienił się w panikę i ewidentny strach.

Kiedy skończyłem, wyglądał jak pijany. Potrzeba było dłuższej chwili, żeby zebrał się w sobie, ale w końcu odzyskał względną równowagę i opowiedział mi wszystko, czym uraczyła go Mathilde Monney poprzedniego dnia: poznałem niesamowite dzieje zgubionego aparatu. Z początku nie za bardzo rozumiałem, nie umiałem szybko wszystkiego pokojarzyć. Chciałem jeszcze wypytać Fawlesa, ale on, jak tylko skończył mówić, chwycił mnie za ramię i popchnął ku drzwiom.

– Jak najszybciej przeszukaj pokój Mathilde!

– Jak najszybciej nie mogę, czekają na mnie w księgarni!

– Postaraj się! Dostarcz mi wszystkie możliwe informacje!

Zatrzasnął drzwi. Zrozumiałem, że sprawa jest poważna i że muszę zrobić to, o co mnie prosił.

W pełnym słońcu

*Hic sunt dragones*¹

1

Południowo-zachodni kraniec wyspy.

Mathilde Monney zatrzasnęła drzwi furgonetki, włączyła silnik i zawróciła na zwirowanej drodze. Pensjonat, w którym się zatrzymała, wyglądał jak angielski *cottage*. Domek z pruskim murem, ze słomianym dachem i kamienną fasadą, po której pięły się krzaki róż. Z tyłu aż do starego mostu z podwójnym prześłem prowadzącego na półwysep Sainte-Sophie ciągnął się dziki ogród.

Tutaj, na południu wyspy, byłem tylko dwa razy. Za pierwszym razem przyjechałem, żeby przyjrzeć się klasztorowi zamieszkanemu przez benedyktynki, za drugim towarzyszyłem Ange'owi Agostiniemu, gdy niedaleko Tristana Beach natrafiono na ciało Apolline. Kiedy przybyłem na wyspę, Audibert wyjaśnił mi, że tę część Beaumont upodobali sobie Anglosasi. Mathilde zamieszkała u starej Irlandki Colleen Dunbar, emerytowanej architektki. Domek należał do niej od bardzo dawna, ona sama dorabiała sobie, wynajmując pokój na piętrze, takie B&B.

Tym razem nie przyjechałem na rowerze – złapałem gumę, gdy wracałem od Fawlesa – ale przed Ed's Corner wynająłem skuter elektryczny i teraz ukryłem go w zaroślach. Musiałem nieźle nawykłócać się z Audibertem, żeby dostać wolny ranek. Księgarz był coraz bardziej ponury; wyglądał, jakby dźwigał na ramionach wszystkie nieszczęścia świata.

W oczekiwaniu na okazję, żeby móc dyskretnie wślizgnąć się do pokoiku Mathilde, zszedłem po skałach do miejsca, gdzie było mniej stromo. Miałem stamtąd przepiękny widok na ten dziki zakątek i jednocześnie nie traciłem z oczu domu, w którym mieszkała Irlandka. Dwadzieścia minut wcześniej przyuważyłem starą Dunbar, jak szykuje się do wyjścia. Przyjechała po nią samochodem córka, żeby zabrać ją na zakupy. Mathilde też zaraz odjechała. Furgonetka powoli się oddalała,

aż skręciła na zachód w miejscu, gdzie droga była płaska i biegła prosto. Kiedy już znikła mi z oczu, wyszedłem z kryjówki i wbiegłem po skałach na górę.

Szybki rzut oka wokoło uspokoił mnie. Dom stał na uboczu. Klasztor musiał znajdować się jakieś sto metrów dalej. Ledwo widziałem trzy czy cztery zakonnice pracujące w warzywniku, ale jak tylko obszedłem dom dokoła i znalazłem się na tyłach, już na pewno nie mogły mnie dostrzec.

Szczerze mówiąc, męczyła mnie perspektywa tego nielegalnego wyskoku. Całe życie cierpiałem na syndrom dobrego ucznia. Byłem jedynakiem z tak zwanej klasy średniej o wciąż niepewnym budżecie. Moi rodzice poświęcali wszystko – czas, energię, tę niewielką sumę zarobionych pieniędzy – żebym zdobył wykształcenie i stał się kimś. Od początku starałem się ich nie zawieść i unikałem wszelkich wygłupów. Ten harcerski charakter stał się moją drugą naturą. Okres dorastania miałem bardzo spokojny i nudny. Wypaliłem wszystkiego trzy papierosy na boisku szkolnym, jako czternastolatek, i dwa czy trzy razy przejechałem skuterem na czerwonym świetle. Nagrałem kilka pornosów z Canal Plus, raz dołożyłem facetowi, który mnie poturbował podczas gry w piłkę, no i to by było na tyle.

Taki sam spokój charakteryzował mój okres studencki. Ze dwa razy się upiłem, raz podprowadziłem koleżkę ze szkoły handlowej pióro wieczne ze szlachetnego drewna, a w księgarni L'Œil Écoute na boulevard du Montparnasse ukradłem cenne wydanie Georges'a Simenona. Ta księgarnia już dawno zbankrutowała i za każdym razem, gdy przechodziłem przed sklepem z odzieżą, który powstał na jej miejscu, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przyczyniłem się do ich plajty.

Zarty żartami, ale tak naprawdę nigdy nie paliłem i nie używałem narkotyków – nie wiedziałbym nawet, jak je zdobyć. Nie byłem imprezowiczem, potrzebowałem ośmiu godzin snu, a od dwóch lat codziennie pracowałem, również w weekendy oraz w wakacje, albo nad swoją książką, albo dorabiając na życie różnymi chałturami. Gdyby to, co się teraz działo, było powieścią, sprawdziłbym się doskonale jako bohater naiwny i sentymentalny, którego nadchodzące śledztwo i związane z nim różne perypetie miały zahartować i wprowadzić w prawdziwe życie.

Z obojętnym wyrazem twarzy ruszyłem ku drzwiom wejściowym. Wszyscy mówili, że na Beaumont nikt nie zamyka drzwi. Przekręciłem klamkę... I nic. Kolejna legenda, którą mieszkańcy wyspy częstowali turystów i naiwniaków takich jak ja. Z tym że może to odkrycie ciała Apolline zaledwie kilka kilometrów stąd skłoniło Mathilde Monney do ostrożności.

Będę musiał się włamać! Po oględzinach przeszklonych drzwi kuchennych stwierdziłem, że szyba jest zbyt gruba, żeby móc ją zbić i nie pokaleczyć się. Wróciłem na tyły domu. Zakonnice, które przedtem widziałem z daleka, chyba opuściły warzywnik. Próbowałem dodać sobie odwagi. Wystarczy znaleźć jakąś cieńszą szybę i wypchnąć ją łokciem. Na tarasie, najwyraźniej wymurowanym na chybcika, Irlandka postawiła stary stół ze zszarzałego drewna tekowego i trzy krzesła, które słońce, deszcze i sól morska kompletnie zniszczyły. Tam, za tym letnim salonem, spotkała mnie miła niespodzianka, mianowicie jedno skrzydło drzwi balkonowych nie zostało zamknięte! Zbyt piękne, by było prawdziwe?

2

Wszedłem do salonu. Panował w nim spokój i było zbyt ciepło. W powietrzu wisiał słodkawy zapach szarlotki z imbirem. Było to urocze mieszkanko, typowo angielskie: mnóstwo świeczek, szkockich pledów, zasłony w kwiatki, na ścianach romantyczne makatki i ozdobne talerzyki.

Zamierzałem właśnie pójść na górę, gdy usłyszałem hałas. Odwróciłem się i ujrzałem wielkiego niemieckiego doga, który najwyraźniej zamierzał się na mnie rzucić. Rozbiegł się i zatrzymał niecały metr ode mnie, przygotowany do ataku. Ogromne umięśnione cielsko, ciemna błyszcząca sierść – sięgał mi do talii. Strzygł uszami, łytał groźnie i warczał. Do obroży miał przyczepiony medalion, na którym było napisane: *Little Max*. Z pewnością było to urocze, kiedy piesek miał dwa czy trzy miesiące, ale do bestii, która stała przede mną, nie za bardzo pasowało. Chciałem się wycofać, co nie przeszkodziło dogowi rzucić się na mnie. Uchyliłem się w ostatnim momencie i wbiegłem na schody po trzy stopnie, czując na łydkach gorący oddech molosa. Przeskoczyłem ostatni stopień i rzuciłem się ku pierwszym drzwiom, które zobaczyłem. Zatrzasnąłem je dosłownie na jego nosie.

Zaczął skakać na drzwi i ujadać na cały głos, ja zaś starałem się odzyskać spokój. Na szczęście – chociaż może nie jest to najtrafniejsze określenie, bo w końcu omal nie straciłem stopy – wylądowałem w pokoju Mathilde.

Było to spore pomieszczenie z belkowanym sufitem z jasnego drewna, w którym panował duch Laury Ashley. Staromodne meble w pastelowych odcieniach, na wszystkich zasuszone bukiety. Zasłony i kapa w sielankowe wzory z wiejskiego ogrodu. Ale Mathilde zmieniła ten pokój w prawdziwy *war room*, centrum operacyjne poświęcone swojej obsesji – Nathanowi Fawlesowi.

Niski fotel z różowego aksamitu ugiął się pod książkami i kartonowymi teczkami pełnymi różnych dokumentów. Stół został zmieniony w biurko, na ładnej toalecie z lustrem stała drukarka. Little Max szalał pod drzwiami. Zacząłem przeglądać dokumenty.

Mathilde prowadziła prawdziwe dochodzenie w sprawie Nathana Fawlesa. Na jej biurku nie było co prawda laptopa, ale za to leżały dziesiątki artykułów z zakreślonymi flamastrem akapitami. Znałem je. Zawsze ukazywały się jako pierwsze, gdy szukało się w sieci czegoś o Nathanie. Stare wywiady z lat dziewięćdziesiątych, kiedy jeszcze pisał, potem dwa dość istotne artykuły, ten z „New York Timesa” z 2010 roku pod tytułem *Niewidzialny człowiek* oraz ten z „Vanity Fair” (wydanie amerykańskie sprzed trzech lat) pod tytułem *Fawles czy fałsz (i vice versa)*.

Mathilde przeanalizowała również trzy powieści Fawlesa, gęsto je adnotując, oraz wydrukowała mnóstwo jego zdjęć. Miała zrzuty ekranu z jego ostatniego wystąpienia w telewizji w programie Bernarda Pivota *Bouillon de culture*. Z nieznanego mi powodu zrobiła powiększenia butów pisarza, w których wystąpił w tym programie. Zacząłem dokładniej przeglądać jej notatki. Naszukała się w internecie i była prawie pewna, że odnalazła ten konkretny model, były to botki Westona: cambre 705 z cielej brązowej skóry z elastyczną wstawką.

Podrapałem się po głowie. Czemu to wszystko miało służyć? Przecież Mathilde nie zamierzała wciąż wałkować w swojej gazecie tematu pustelnika z wyspy Beaumont. A jej śledztwo miało charakter kryminalny. O co tu chodzi?

Otworzyłem jedną z teczek zalegających na niskim fotelu i odkryłem kolejną rzecz. Zdjęcia ponadczterdziestoletniego Araba, w T-shircie i dżinsowej kurtce, robione teleobiektywem w coraz to innych miejscach. Od razu rozpoznałem, gdzie go fotografowano: w departamencie Essonne na południe od Paryża, a dokładniej – w mieście Évry. Nie mogłem się mylić. Zdjęć było wystarczająco dużo. Katedra, której architektura wzbudzała tyle dyskusji, centrum handlowe Évry 2, park Coquibus, esplanada przed dworcem Évry-Courcouronnes... Na ostatnim roku szkoły handlowej spotykałem się z dziewczyną, która tam mieszkała, Joanną Pawłowski. Zajęła trzecie miejsce w konkursie Miss Île-de-France w 2014 roku. Najładniejsza dziewczyna, jaką można sobie wyobrazić. Wielkie zielone oczy, polskie płowe włosy, łagodne, wdzięczne ruchy. Często odprowadzałem ją po zajęciach. Podczas dłużących się podróży kolejką z Dworca Północnego do Évry starałem się zarazić ją moją pasją do książek. Dla mnie książki były religią. Podarowałem jej moje ulubione pozycje – *Pieśń nieskończoną* Louisa Aragona, *Huzara na dachu* Jeana Giono, *Oblubienicę Pana Alberta Cohena* – ale to nie pomogło. Joanna wyglądała jak bohaterka

romantyczna, ale w rzeczywistości była zupełnie inna. Ja bujałem w obłokach, ona była dramatycznie przyziemna, pragmatyczna, gdy ja żyłem marzeniami. Opuściła mnie, kiedy rzuciła studia i poszła do pracy w centrum handlowym. Sześć miesięcy później umówiła się ze mną w kawiarni i oznajmiła, że wychodzi za mąż za Jeana-Pascala Pécharda, alias JPP, jednego z kierowników tego centrum. Wiersze, które wciąż jeszcze do niej pisałem, niewiele zaważyły wobec małego domku w Savigny-sur-Orge, który JPP zakupił, zadłużając się na dwadzieścia pięć lat. Aby pocieszyć zranioną próżność, obiecałem sobie, że któregoś dnia Joanna tego pożałuje, zwłaszcza gdy usłyszy w telewizyjnym programie *La Grande Librairie* o mojej pierwszej powieści. Tymczasem jednak poważnie się załamałem. Za każdym razem, gdy o niej myślałem, kiedy patrzyłem na jej zdjęcie w komórce, potrzebowałem dłuższej chwili, żeby uświadomić sobie, że delikatność jej rysów nie ma wiele wspólnego z delikatnością umysłu. Zresztą dlaczego miałoby tak być? Było to fałszywe założenie; musiałem wbić to sobie do głowy, żeby uniknąć kolejnych rozczarowań.

Ujście psa za drzwiami uświadomiło mi, w jak niebezpiecznej znalazłem się sytuacji. Wróciłem do fotografii. Były oznaczone datą 12 sierpnia 2018 roku. Kto je robił? Jakiś policjant, może prywatny detektyw, a może sama Mathilde? Ale przede wszystkim, kim był ten facet? Nagle jednak na kolejnym zdjęciu jakiś grymas czy poza spowodowały, że go rozpoznałem. Tak, to był Karim Amrani! O dwadzieścia lat starszy i o tyle samo kilogramów grubszy.

Karim Amrani, notoryczny łobuz z boulevard de la Chapelle, po wyjściu z więzienia najwyraźniej zamieszkał w Essonne. Sfotografowano go gadającego z mechanikami samochodowymi lub gdy wchodził i wychodził z warsztatu, którego wydawał się właścicielem lub kierownikiem. Czy on też się ustatkował, tak jak Apolline? Czy jego życie również było w niebezpieczeństwie? Nie miałem czasu ani wystarczających materiałów, żeby odpowiedzieć na te pytania. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabrać tych dokumentów ze sobą. Ostatecznie w domu nie było żadnych śladów mojej obecności. W końcu postanowiłem jednak sfotografować najważniejsze komórki.

Ale pytań było dużo więcej. Dlaczego Mathilde interesowała się Amranim? Z powodu tego aparatu fotograficznego, zgoda, ale jaki to miało związek z Fawlesem? Przed wyjściem przeszukałem jeszcze dokładniej sypialnię i łazienkę. Nic pod materacem, w szufladach ani w szafach. Podniosłem przykrywkę spluczki, żeby zajrzeć do środka, sprawdziłem też stopą parkiet – nie wszędzie był równy, ale nie znalazłem żadnej ruchomej deski, która mogłaby ukrywać schowek.

Natomiast za toaletą jedna z przypodłogowych listew odskoczyła, gdy tylko jej dotknąłem. Niespecjalnie przekonany, ukucnąłem i wsunąłem

tam rękę – znalazłem grubą paczkę listów spiętych gumką. Chciałem do nich zajrzeć, ale usłyszałem hałas silnika. Little Max przestał zdzierać sobie gardło i pognał na dół. Rzuciłem okiem przez zasłony. Colleen Dunbar i jej córka były już z powrotem. Szybko złożyłem listy i wsadziłem je do kieszeni na piersi. Zaczekałem, aż obie kobiety znikną z mojego pola widzenia, i podsunąłem w górę angielskie okno, które wychodziło na dach jakiejś szopy. Stamtąd zeskoczyłem na trawnik i na drżących nogach przebiegłem przez szosę do skutera.

Kiedy ruszałem, usłyszałem za plecami dzikie szczekanie. Dog nie odpuścił i rzucił się za mną. Skuter pyrkał i pyrkał, z trudem podjeżdżając pod górę czterdzieści na godzinę. Gdy dojechałem do spadku, nabrałem szybkości, aż w końcu ujrzałem, jak pies odpuszcza i wraca do siebie z podwiniętym ogonem. Z ulgą pokazałem mu środkowy palec. *Fuck you*, Little Max.

3

Słońce wysoko na niebie grzało, jakby wróciło lato. Wiatr zelżał i zrobił się cieplejszy. Mathilde, w płóciennych szortach i T-shircie blondie, zgrabnie przeskakiwała ze skały na skałę.

Sosnowa Zatoka była jednym z bardziej zapierających dech w piersiach miejsc na wyspie. Mała, głęboka, wąska dolinka wyrzeźbiona w oślepiająco białej skale.

Dotrzeć tam nie było łatwo. Mathilde zostawiła samochód na podmurowanym podejściu przy plaży Ondes i weszła w labirynt ścieżek wyciętych w granitowej skale. Po ponadgodzinnym męczącym marszu dotarła na szczyt. Teren wydawał się płaski, ale tak naprawdę piął się stromo w górę. Był stąd przepiękny widok na dziką, nieokiełznaną przyrodę.

Potem musiała zejść w dół, ku morzu. Było to zejście wyjątkowo niebezpieczne. Ostatnie metry okazały się bardzo trudne, bo teren spadał pionowo w dół, ale gra była warta świeczki. Plaża była prawdziwym końcem świata, rajem utraconym. Turkusowa woda, drobny piasek koloru ochry, cień sosen, odurzający zapach eukaliptusów. Były tam nawet groty, ale nie ujawniano ich istnienia turystom.

Niewielki pas piasku w formie półksiężyca chroniły od wiatru granitowe skały. Zatłoczony w lipcu i w sierpniu, tego październikowego poranka ział pustkami.

Pięćdziesiąt metrów od plaży znajdowała się maleńka wysepka, skalny wierzchołek wznoszący się ku niebu – Punta dell'Ago. W sezonie

młodzież wdrapywała się na skałę bosą, żeby skakać z niej do morza. Był to rytuał, gdy ktoś znalazł się tu pierwszy raz.

Mathilde przyjrzała się morzu przez okulary przeciwsłoneczne. Jacht Fawlesa spostrzegła za wystającą skałą. Chromowane części rivy i błyszczący mahoniowy kadłub odbijały promienie popołudniowego słońca. Jeszcze trochę, a można by poczuć się jak we Włoszech w czasach *dolce vita* albo jak w jakiejś zatoczce w Saint-Tropez w pamiętnych latach sześćdziesiątych.

Pomachała ręką w kierunku jachtu, ale Fawles nie wydawał się skłonny, żeby po nią podpłynąć.

Jeśli ty nie przyjdiesz do Lagardère'a...

W końcu miała na sobie kostium kąpielowy. Zdjęła szorty i T-shirt, po czym wsadziła je do torby i wsunęła ją między skały. Wzięła ze sobą tylko komórkę w wodoszczelnym opakowaniu.

Woda była zimna i przezroczysta. Weszła do niej i po jakichś dwóch, trzech metrach zanurzyła się. Przebiegł ją lodowaty dreszcz, który znikł po kilku ruchach krawla. Uważała, żeby nie stracić z oczu rivy. Fawles stał za sterem z założonymi rękami, w granatowej koszulce polo i jasnych spodniach, i obserwował ją. W ciemnych okularach jego twarz była zagadką. Gdy Mathilde podpłynęła do łodzi, wyciągnął rękę, ale wyglądało, jakby się wahał – wpuścić ją na pokład czy nie.

– Przez chwilę miałam wrażenie, że pan chce mnie utopić.

– Może powinienem... – odpowiedział, podając jej ręcznik.

Usiadła na ławeczce pokrytej turkusową skórą – słynny turkus akwamaryna z katalogu kolorów firmy Pantone, od którego pochodziła nazwa łodzi.

– Cóż za serdeczne przyjęcie! – mruknęła Mathilde, wycierając włosy, szyję i ramiona.

– To był głupi pomysł, żeby się tu spotkać! – odrzekł Fawles, podchodząc do niej. – Musiałem uruchomić jacht mimo blokady wyspy.

– Skoro się pan zjawił, to znaczy, że ciekawi pana dalszy ciąg mojej historii! – Mathilde rozłożyła ręce. – Prawda ma swoją cenę.

Fawles stał niezadowolony.

– Bawi to panią? – zapytał.

– Dobra, chce pan poznać dalszy ciąg czy nie?

– Myśli pani, że będę się prosił? Pani bardziej chce mi ją opowiedzieć, niż ja chcę ją usłyszeć.

– Dobrze. Jak pan chce.

Udała, że zamierza wskoczyć do wody, ale chwycił ją za ramię.

– Koniec tej dziecinady! Proszę mi powiedzieć, co było na zdjęciach w tym aparacie.

Mathilde wzięła do ręki nieprzemakalną torebkę z komórką, którą wcześniej położyła na turkusowym siedzeniu. Włączyła telefon, znalazła

zdjęcia i maksymalnie je rozświetlając, pokazała Fawlesowi te, które wybrała.

Zaczął je przesuwając. Dokładnie tego się spodziewał. Zdjęcia z wakacji na Hawajach tych dwojga kombinatorów, którzy zgubili aparat. Apolline i Karim w drodze na plażę, potem w miłosnym uścisku, w jakimś barze przy drinkach, w końcu kilka zdjęć z nurkowania z rurką.

Były jeszcze inne, starsze od tych o jakiś miesiąc. Fawles poczuł, jakby dostał cios w brzuch. Widać było na nich trzyosobową rodzinę świętującą czyjeś urodziny. Mężczyzna, kobieta i ich dziesięcioletni synek. Była wiosna, jedli na tarasie. Zapadał zmrok, ale niebo było jeszcze różowe. Z tyłu za nimi rosły drzewa, a dalej błyszczały dachy Paryża i sylwetka wieży Eiffla.

– Niech się pan dobrze przyjrzy chłopczykowi... – poleciła Mathilde spiętym głosem, robiąc zbliżenie na dziecko.

Oslaniając ekran przed słońcem, Fawles popatrzył na chłopca. Figlarne spojrzenie, błyszczące oczy za okularami w czerwonych oprawkach, potargana blond czupryna, na policzkach namazana trójkolorowa flaga. Miał na sobie niebieską koszulkę francuskiej drużyny piłki nożnej, a palce ułożył w „V” na znak zwycięstwa. Wyglądał na słodkiego, dobrego i wesołego malucha.

– Zna pan jego imię? – spytała Mathilde.

Fawles pokręcił głową.

– Nazywał się Théo. Théo Verneuil – powiedziała. – Tamtego wieczoru obchodził jedenaste urodziny. Była niedziela jedenastego czerwca dwutysięcznego roku, wieczór pierwszego meczu Francuzów podczas mistrzostw Europy.

– Dlaczego mi to pani pokazuje?

– Wie pan, co się później stało? Jakies trzy godziny po tym, jak te zdjęcia zostały zrobione, tego samego wieczoru, Théo został zamordowany kulą w plecy.

4

Fawles nawet nie mrugnął. Powiększył zdjęcia rodziców, żeby im też przyjrzeć się dokładniej. Ojciec miał około czterdziestki, żywe spojrzenie, był opalony i miał lekko wystający podbródek, który wskazywał na pewność siebie, odwagę i chęć działania. Matka była ładną brunetką, włosy upięła w elegancki koczek, na zdjęciach najmniej rzucała się w oczy.

– Wie pan, co to za ludzie? – spytała Mathilde.

– Tak. To rodzina Verneuil. Tyle mówiono o tej sprawie, że doskonale pamiętam.

– Co pan pamięta?

Fawles zmrużył oczy i wierzchem dłoni potarł odrastający zarost.

– Alexandre Verneuil był ważną postacią w medycynie humanitarnej. Lewicujący. Należał do drugiej fali *french doctors*. Napisał kilka książek i wielokrotnie występował w mediach, mówił o bioetyce i o prawie ingerencji humanitarnej. O ile dobrze pamiętam, właśnie w momencie, gdy jego nazwisko stało się ogólnie znane, zamordowano go u niego w domu razem z żoną i dzieckiem.

– Jego żona miała na imię Sofia – powiedziała Mathilde.

– Tego nie pamiętam... – Fawles odszedł od ławki. – Ale przypominam sobie, że ludzie byli zszokowani okolicznościami tego mordu... Zabójca, czy też zabójcy, weszli do mieszkania Verneuilów i zmasakrowali całą rodzinę. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, do dziś nie wiadomo, kto to zrobił i co nim kierowało.

– Wszyscy mówili, że motywem była kradzież... – sprostowała Mathilde, idąc w kierunku dziobu. – Znikły drogie zegarki, biżuteria i... aparat fotograficzny.

Fawles zaczął rozumieć.

– Więc to jest pani teoria. Sądzi pani, że dzięki tym zdjęciom znalazła pani morderców? Że Chapuis i Amrani zabili Verneuilów, żeby ich okraść? Że zamordowali dziecko dla kilku świecidełek?

– To ma sens. Tego samego wieczoru okradziono jeszcze inne mieszkanie w tym budynku, piętro wyżej. Drugi napad mógł się po prostu źle skończyć.

– Na pewno nie będziemy się bawić we wznowianie dochodzenia! – zdenerwował się Fawles.

– Czemu nie? W tamtych czasach Apolline i Karim byli przestępcami, bez przerwy napadali i kradli. On ćpał równo cały czas, wciąż potrzebowali pieniędzy.

– Na zdjęciach z Hawajów facet nie wygląda na narkomana.

– No a skąd mieli ten aparat, jeśli go nie ukradli?

– Niech pani posłucha, mam to w nosie. To mnie w ogóle nie dotyczy.

– Apolline została znaleziona przybita do drzewa niedaleko stąd! Nie widzi pan, że sprawa Verneuilów wraca, i to tutaj, na wyspie?

– A czego pani ode mnie oczekuje?

– Chcę, żeby pan napisał zakończenie tej historii.

Fawles stracił cierpliwość.

– Niech mi pani wyjaśni, dlaczego tak panią ekscytuje ta stara sprawa? Jakiś facet z Alabamy wysłał pani mailem kilka starych zdjęć i nagle pani, jak nawiedzona, poczuła, że ma misję do spełnienia?

– Tak, właśnie tak! Bo ja kocham ludzi.

– „Kocham ludzi”! – Fawles wykrzywił się, naśladując ją. – Czy pani w ogóle siebie słyszy?

– Chcę powiedzieć, że los bliźniego nie jest mi obojętny! – zaczęła się bronić Mathilde.

Zrobił kilka kroków po pokładzie.

– W takim razie lepiej by pani zrobiła, gdyby zaczęła pisać artykuły uczulające ludzi na zmiany klimatyczne, na nadmierną eksploatację oceanów, na to, że giną gatunki dzikich zwierząt, na degradację bioróżnorodności. Niech pani zwróci uwagę czytelników na manipulację informacjami. Niech pani wprowadzi kontekst, dystans, perspektywę. Jest tyle ważnych tematów... szkoły, bankrutujące szpitale państwowe, imperialistyczna polityka międzynarodowych firm, sytuacja więźniów w przeludnionych więzieniach...

– Dobra, Fawles, to wystarczy, rozumiem. Dzięki za lekcję dziennikarstwa.

– Niech się pani wreszcie zajmie czymś użytecznym, do cholery!

– Oddanie sprawiedliwości zmarłym jest użyteczne.

Fawles pokiwał groźnie palcem.

– Umarli nie ożyją. Proszę mi wierzyć, że tam, gdzie są, mają w nosie pani wypociny. Co do mnie, nigdy nie napiszę ani linijki na ten temat. Ani zresztą na żaden inny.

Zmęczony, opadł na siedzenie w kokpicie, przed tablicą rozdzielczą wielką jak w samolocie. Wbił wzrok w horyzont, jakby nagle chciał znaleźć się na końcu świata.

Mathilde nie ustępowała. Podsunęła mu pod nos swoją komórkę ze zdjęciem Théo Verneuila.

– Odnalezienie morderców trzech osób, w tym dziecka, jest panu obojętne?

– Tak. Nie jestem policjantem. Chce pani wszcząć dochodzenie zamknięte prawie dwadzieścia lat temu? W imię czego? O ile wiem, nie jest pani sędzią śledczym! – rzucił, ale chwilę potem uderzył się płaską dłonią w czoło. – Ach, prawda, pani jest dziennikarką! No tak, to dużo gorzej! – wykrzyknął.

Mathilde jakby go nie usłyszała.

– Chcę, żeby mi pan pomógł wyjaśnić tę zawikłaną sprawę.

– Nienawidzę pani nędznych metod pracy, nienawidzę wszystkiego, co pani sobą reprezentuje! Jestem słaby, w trudnej sytuacji, a pani porwała mojego psa, żeby wejść ze mną w kontakt. Zapłaci mi pani za to. Ludzie tacy jak pani nie powinni istnieć.

– Już to zrozumiałam, wystarczy. A poza tym, niech pan się odzepi z tym psem! Ja mówię panu o małym dziecku. Jeśli pan byłby ojcem tego chłopca, chciałby się pan dowiedzieć, kto go zabił.

– Takie przypuszczenie nie ma sensu, bo nie mam dzieci.

– Nie, oczywiście, że pan nie ma dzieci, pan nikogo nie kocha! Ach, przepraszam, kocha pan bohaterów swoich książek, te papierowe istoty, które urodziły się w pana mózgu. To dużo wygodniejsze.

Uderzyła się w czoło.

– Ale nie, nawet ich pan nie kocha! Nasz wielki pisarz postanowił przestać pisać! Nie pisze pan w ogóle, nawet nie robi pan listy zakupów!

– Spieprzaj stąd, idiotko! Już cię tu nie ma!

Mathilde nie ruszyła się z miejsca.

– Nie wykonujemy tej samej pracy, Fawles. Ja chcę, żeby prawda wyszła na jaw. Nie zna mnie pan. Dopnę swego. Nie cofnę się przed niczym!

– Proszę robić, co się pani żywnie podoba, gównu mnie to obchodzi, tylko niech mi tu pani stopa nigdy więcej nie postanie, słyszy pani?!

Mathilde wycelowała w niego palec wskazujący.

– Wprost przeciwnie, moja stopa tu postanie, daję panu słowo. Wróć tu i następnym razem będzie pan musiał mi pomóc. Będzie pan musiał stanąć twarzą w twarz z... Jak pan to nazwał? Z niemożliwą prawdą!

Tym razem nie wytrzymał i skoczył ku Mathilde. Łódź zakołysała się gwałtownie i młoda kobieta krzyknęła ze strachu. Z całą siłą, na jaką było go stać, Fawles podniósł ją i wrzucił do morza, razem z komórką.

Peniąc się ze złości, uruchomił silnik i riva popłynęła w kierunku Krzyża Południa.

Każda osoba jest cieniem

Każda osoba jest cieniem, w który nigdy nie zdołamy wnikać (...); cieniem, w którym możemy sobie kolejno z równym prawdopodobieństwem wyobrazić błysk nienawiści lub miłości.

Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu. Strona Guermites*²

1

Po pełnej emocji wyprawie do domku Colleen Dunbar, zakończonej moim zwycięstwem w starciu z Little Maxem, wróciłem do miasta i żeby odpocząć, usiadłem w kawiarni Fleurs du Malt. Specjalnie ominąłem ruchliwy taras i ukryłem się w środku, przy stoliku we wnęce, z widokiem na morze. Zamówiłem ciepłą czekoladę i zagłębiłem się w lekturze listów wyniesionych z pokoju Mathilde. Wszystkie były pisane tym samym charakterem pisma i moje serce zadrżało, gdy zorientowałem się, że te cienkie i drobne literki to dzieło Nathana Fawlesa. Nie miałem co do tego wątpliwości, gdyż widziałem w internecie zeskanowane rękopisy jego powieści, które swego czasu darował nowojorskiej bibliotece.

Były to listy miłosne. Około dwudziestu, bez kopert, wysyłanych z Paryża i z Nowego Jorku... Tylko niektóre były opatrzone datą, pisano je w okresie od kwietnia do grudnia 1998 roku. Każdy kończył się podpisem „Nathan”, a adresatką była tajemnicza nieznajoma. Większość zaczynała się słowem „Najdroższa”, ale w jednym z listów Nathan dał do zrozumienia, że jej imię zaczyna się na literę „S”.

Wiele razy przerywałem lekturę. Czy naprawdę wolno mi było bezkarnie zagłębiać się w osobiste życie Fawlesa bez jego zezwolenia? Odpowiedź była jasna: nie. Ale wymagania moralne poległy wobec ciekawości poznania tego unikalnego, fascynującego dokumentu.

Z listów jednoznacznie wynikało, że pisał je człowiek bez pamięci, z wzajemnością zakochany w kobiecie wrażliwej i pełnej życia. Najwyraźniej w tym okresie znajdowali się daleko od siebie; z listów nie

mogłem się zorientować, jakie przeszkody nie pozwalały kochankom widywać się częściej.

Cały zbiór tworzył swoiste arcydzieło, mieszaninę klasycznej sztuki epistolarnej, poezji i opowieści, ilustrowaną akwarelkami w odcieniach ochry. Nie była to w ścisłym znaczeniu tego słowa rozmowa. Nikt tu nie opowiadał, jak mu minął dzień czy też co ostatnio jadł. Był to raczej hymn na cześć życia i miłości, która wygrywa z nieobecnością, szaleństwem świata, wojną. Temat wojny był tu wszechobecny. Walka, rozdarcie, opresja, ale nie było jasne, czy Fawles miał na myśli jakąś rzeczywiście trwającą wojnę, czy też miała to być metafora.

Od strony stylu tekst był pełen genialnych myśli, odważnych zwrotów retorycznych i aluzji biblijnych. Fawles przedstawiał się tu od nowej nieznanej strony. Melodia języka kojarzyła mi się z Aragonem i niektórymi jego wierszami do Elsy Triolet czy też z poematem Apollinaire'a do ukochanej Lou *Jeśli zginąłbym tam, na wojnie...* Obrazowość niektórych fragmentów przywołała na myśl *Listy portugalskie*. Doskonałość z formalnego punktu widzenia kazała mi zastanowić się, czy przypadkiem nie było to ćwiczenie literackie. Czy tajemnicza „S” istniała naprawdę? Czy był to po prostu symbol, ucieleśnienie obiektu miłości? Coś, co przemawiałoby do wszystkich zakochanych...

Gdy przeczytałem listy po raz drugi, wrażenie to znikło. Nie... Poczucie bliskości, entuzjazm, nadzieja, plany na przyszłość, wszystko pulsowało szczerością. Nawet jeśli nad tymi zrywami emocjonalnymi wisiała jakaś potencjalna groźba.

Za trzecim czytaniem wpadłem jeszcze na coś innego: może „S” była chora! Aluzje do wojny były aluzjami do jej walki z chorobą. Okazało się też, że przyroda i pogoda odgrywały w tych listach ważną rolę. Krajobrazy były pełne kontrastów, precyzja opisu nie wykluczała poetyzmu. Autor pisał różnie w zależności od tego, czy znajdował się w świetlistym słońcu południa, czy pod ołowianym niebem Nowego Jorku. „S” kojarzyła się z czymś zdecydowanie smutnym, melancholijnym. Góry, ciemne niebo, niskie temperatury, „wczesna noc zapada na świat wilków”.

Która to godzina? Spojrzałem na komórkę. Zwolniłem się u Audiberta na cały ranek, ale o drugiej po południu powinienem już wrócić do pracy. Ostatni raz przejrzałem listy w porządku chronologicznym. Czy jest gdzieś dalszy ciąg, zastanowiłem się, czy też coś położyło temu wzajemnemu oczarowaniu, fizycznemu i intelektualnemu, nagły kres? Przede wszystkim zaś: kim była kobieta, która wzbudziła w Fawlesie taką namiętność i pasję? Przeczytałem o nim wszystko, ale nawet kiedy udzielał się publicznie, nie pisał słowa na temat swego życia prywatnego. Może był gejem? A „S”, ten złotowłosy anioł – mężczyzną?

Ale nie, ta hipoteza odpadała – gramatyka listów jasno wskazywała na rodzaj żeński adresatki.

Zawibrowała moja komórka i na ekranie błysnęła kropka wskazująca na serię tweetów od Lafaury’ego. Wrzucał nowe informacje z własnych źródeł. Policja odkryła związek między Apolline a Karimem i część dochodzenia przeniesiono do Essonne, gdzie zamierzano przesłuchać byłego dealera. Śledczy z Évry pojawili się u niego w mieszkaniu w dzielnicy Épinettes. Karima nie było, a sąsiedzi oznajmili, że od blisko dwóch miesięcy nikt go nie widział. Podobnie w warsztacie samochodowym, ale ponieważ nikt tam nie darzył policji miłością, nie zawiadomiono o jego zniknięciu. Ostatni tweet Lafaury’ego wyjawiał, że podczas rewizji w mieszkaniu znaleziono dużo śladów krwi, które zostały odesłane do analizy.

Na razie odsunąłem na bok te niepokojące informacje i wróciłem do listów Fawlesa. Wsunąłem je ostrożnie do kieszeni kurtki, wstałem i poszedłem do księgarni. Włamanie do mieszkania Mathilde Monney okazało się udane. Miałem w ręku znany niewielu osobom element biografii Fawlesa. Wyjawienie istnienia tych listów autorstwa legendarnego obecnie pisarza byłoby wielkim skandalem w świecie wydawniczym. Oto pod koniec lat dziewięćdziesiątych, na krótko przed całkowitym wycofaniem się ze sceny literackiej, Nathan Fawles przeżył namiętny romans, wielką miłość, która jak huragan wymiotła wszystko inne z jego życia. Niestety, jakieś dziwne, nieznane wydarzenie położyło temu kres, co złamało serce pisarza. Znikł, przestał pisać i z pewnością zamknął swoje serce na zawsze.

Wszystko wskazywało na to, że owa kobieta, ten złotowłosy anioł, była kluczem do tajemnicy Fawlesa. Ciemną stroną jego księżyca. Jego Różyczka³.

Czy Fawles prosił mnie o zbadanie osoby Mathilde, żeby odzyskać i ukryć te listy? W jaki sposób dziennikarka je zdobyła? A przede wszystkim, dlaczego ukryła je za listwą podłogową, tam gdzie ukrywa się zwykle pieniądze albo narkotyki?

2

– Nathanie! Nathanie! Niech się pan obudzi!

Była dziewiąta wieczorem. W Krzyżu Południa panowały egipskie ciemności. Dzwoniłem bez przerwy przez dziesięć minut i nie otrzymałem odpowiedzi, postanowiłem przeskoczyć przez mur. Szedłem w ciemnościach, bojąc się użyć latarki w telefonie. Nie czułem się zbyt pewnie. Bałem się, że wyskoczy skądś pies Fawlesa, a miałem

już dość psów na dziś, ale stary Bronco przywitał mnie jak ratownika i zaprowadził do swego pana, który leżał bez życia na tarasie. Zwinął się w kłębek z pustą butelką whisky obok. Najwyraźniej porządnie się upił.

– Nathanie! Nathanie! – krzychałem, potrząsając nim.

Włączyłem na zewnątrz wszystkie lampy. Potem wróciłem do niego – oddychał nierówno i ciężko. Powoli udało mi się go dobudzić; pomagał mi w tym Bronco, oblizując i obśliniając mu twarz.

W końcu Fawles wstał.

– Jak się pan czuje? – spytałem.

– Okay – odpowiedział, wycierając sobie policzki rękawem. – Co pan tu robi?

– Mam informacje, o które pan prosił.

Fawles złapał się za głowę.

– Kurwa, ależ mnie boli łeb! – jęknął.

Podniosłem pustą butelkę.

– Nic dziwnego, jeśli wypił pan to wszystko.

Była to butelka po legendarnej japońskiej whisky Bara No Niwa, która występowała w prawie wszystkich powieściach Fawlesa. Marka ta przestała istnieć w latach osiemdziesiątych. Od tego czasu butelki, które jeszcze znajdowały się na rynku, osiągnęły astronomiczne ceny. Jaka szkoda upijać się podobnym nektarem!

– No, powiedz, co znalazłeś u tej dziennikarki?

– Lepiej niech pan najpierw weźmie prysznic i trochę się ogarnie.

Już otwierał usta, żeby mnie posłać do diabła, ale rozsądek wziął górę.

– Może masz rację – rzucił.

Gdy znikł w łazience, rozejrzałem się po salonie. Wciąż nie mogłem się nadziwić, jak to się stało, że nagle doznałem łaski wkroczenia w prywatne życie Fawlesa, że znalazłem się u niego w domu, w tym dla mnie dotychczas niedostępnym i tajemniczym miejscu, czymś między jaskinią Ali Baby a tą Platona.

Podczas mojej pierwszej wizyty uderzył mnie brak fotografii, pamiątek i w ogóle drobiazgów, które łączą nas z przeszłością. Dom nie był zimny, absolutnie nie, ale był bezosobowy. Jediną fantazję stanowiła tu ozdoba w postaci miniaturowego samochodu sportowego – szarosrebrnego porsche 911 w niebiesko-czerwone pasy. Czytałem w jakiejś amerykańskiej gazecie, że Fawles posiadał identyczny samochód w latach dziewięćdziesiątych. Był to jedyny model wyprodukowany w 1975 roku przez niemieckiego konstruktora specjalnie dla Herberta von Karajana.

Wszedłem do kuchni. Otworzyłem lodówkę, zajrzałem do szafek. Przygotowałem herbatę, omlet, grzanki i kilka liści zielonej sałaty.

Spojrzałem na telefon, czy są jakieś nowe wiadomości na temat śledztwa, ale okazało się, że tu nie ma zasięgu.

Na blacie, obok płytek kuchennych, spostrzegłem stary tranzystor, taki jakiego używał mój dziadek. Włączyłem go, był nastawiony na muzykę klasyczną. Zacząłem obracać kółkiem, żeby znaleźć jakąś stację z ostatnimi wiadomościami. Wpadłem niestety na sam koniec dziennika nadawanego zawsze o dwudziestej pierwszej na RTL. Męczyłem się, żeby znaleźć France Info, kiedy w drzwiach pojawił się Fawles.

Przebrał się. Włożył białą koszulę, dżinsy, na nosie miał okulary w szylkretowej oprawie. Wyglądał o dziesięć lat młodziej, na wypoczętego, jakby dopiero co wstał z łóżka po dobrze przespanej nocy.

- W pana wieku powinien pan przyhamować z alkoholem – rzuciłem.
- Zamknij się, smarkaczu.

Niemniej skinieniem głowy podziękował za przyszykowanie kolacji. Wyjął dwa talerze i sztucce, nakrył nam naprzeciwko siebie na blacie kuchennym.

„Nowe wiadomości w sprawie morderstwa na wyspie Beaumont...” – zabrzmiał głos z radia.

Nadstawiliśmy uszu. Faktycznie były dwie nowe wiadomości. Pierwsza zbijała z nóg. Wskutek anonimowej informacji policja z Évry znalazła w lesie Sénart zwłoki Karima Amraniego. Ciało było już w stanie rozkładu i wszystko wskazywało na to, że śmierć nastąpiła dość dawno. W tym świetle morderstwo Apolline Chapuis okazywało się sprawą dużo bardziej skomplikowaną. Jednak dziwaczna logika mediów działała inaczej: według niej paradoksalnie morderstwo to traciło na oryginalności, zmieniając się w zwykłe przestępstwo z paryskich przedmieść. Sprawa z wyspy Beaumont stawała się, przynajmniej na razie, sprawą Amraniego.

Druga informacja jakby z tego wynikała: prefekt morski w końcu odwołał blokadę wyspy. Według France Info miało to nastąpić następnego dnia o siódmej rano. Fawlesa to jakoś nie za bardzo obeszło. Najwyraźniej panika, wskutek której się upił, minęła. Zjadł swoją część omleta, opowiadając mi o popołudniowej rozmowie z Mathilde. To, co mówił, fascynowało mnie. Byłem zbyt młody, żeby pamiętać cokolwiek ze sprawy Verneuilów, ale wydawało mi się, że musiałem kiedyś o niej słyszeć, w jakimś programie telewizyjnym czy radiowym na temat słynnych przestępstw. Egoistycznie widziałem w tym wspaniały materiał na powieść, nie rozumiałem, co zirytowało Fawlesa.

- Przez to doprowadził się pan do takiego stanu? – spytałem.
- Do jakiego stanu?
- Do tego, w którym pan się znalazł po wypiciu całej butelki whisky w ciągu jednego popołudnia.

– Zamiast zabierać głos na tematy, o których nie masz pojęcia, opowiedz mi, czego dowiedziałeś się podczas wizyty u Mathilde Monney – zażądał.

3

Zacząłem ostrożnie od zdania mu sprawy z zainteresowania Mathilde Karimem Amranim, a potem nim samym. Kiedy wspomniałem o butach, był bardzo zaskoczony.

– Wariatka... – mruknął. – To wszystko, czego się dowiedziałeś?

– Nie wszystko, ale boję się, że reszta nie przypadnie panu do gustu.

Zaciekawił się, ale tym razem nie sprawiło mi to przyjemności, gdyż wiedziałem, że sprawię mu ból.

– Mathilde Monney miała pańskie listy.

– Jakże znów listy?

– Listy, które pan kiedyś pisał.

– Nigdy nie napisałem do niej ani słowa!

– Bo też to nie były listy do niej, Nathanie. To listy, które pisał pan do innej kobiety, dwadzieścia lat temu.

Wyjąłem grubą kopertę z kieszeni kurtki i położyłem przy jego talerzu.

Spojrzał niedowierzająco na zapisane kartki i zdębiał. Trzeba było dłuższej chwili, żeby ośmielił się do nich zajrzeć. Jeszcze dłuższej, żeby zaczął czytać. Na jego twarzy malowało się coś więcej niż zdumienie, wyglądał, jakby zobaczył ducha. Trwało długo, zanim udało mu się opanować i odzyskać nieco pewności siebie.

– Przeczytałeś je? – spytał.

– Przykro mi, ale tak. I nie żałuję. Są wyjątkowe i tak inne, że powinien pan zezwolić na ich opublikowanie.

– Chyba będzie lepiej, jak już sobie pójdiesz, Raphaëlu. Dziękuję ci za to, co zrobiłeś.

Głos jego brzmiał jak zza grobu. Wstał, żeby mnie odprowadzić, lecz nie doszedł do drzwi, w połowie drogi zatrzymał się i kiwnął dłonią na pożegnanie. Już będąc w progu, zauważyłem, jak podchodzi ciężkim krokiem do baru i nalewa sobie kolejną whisky, po czym opada na fotel. Jego oczy zmętniały, widać było, że odpłynął myślami w labirynt bolesnych wspomnień. Nie mogłem na to pozwolić.

– Nie, Nathanie, dość alkoholu na dzisiaj! – rzuciłem, wracając do pokoju i wyjmując mu szklanę z dłoni.

– Daj mi spokój!

– Lepiej niech pan spróbuje zastanowić się, co się stało, zamiast uciekać w picie.

Fawles nie był przyzwyczajony do otrzymywania poleceń i próbował odebrać mi drinka. Zaczęliśmy się szarpać i szklanka upadła na podłogę, rozbijając się w drobny mak.

Spojrzeliliśmy na siebie jak dwóch szaleńców. Nieźle musieliśmy wyglądać...

Fawles jednak nie chciał stracić twarzy, więc podniósł flaszkę do ust i wypił łyk z gwinta, po czym podszedł do drzwi balkonowych, wypuścił Bronca na taras, a sam usiadł w wiklinowym fotelu.

– W jaki sposób Mathilde Monney zdobyła te listy? To niemożliwe... – wyszeptał. Zdumienie na jego twarzy ustąpiło zaniepokojeniu.

Wyszedłem za nim na taras.

– Kim jest ta kobieta, adresatka pańskich listów, Nathanie? – spytałem. – Kim jest tajemnicza „S”?

– To kobieta, którą kochałem.

– W to nie wątpię, ale co się z nią stało?

– Nie żyje.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

Usiadłem na fotelu obok niego.

– Została zamordowana z zimną krwią dwadzieścia lat temu.

– Przez kogo?

– Przez najgorszego sortu łajdaka.

– Dlatego przestał pan pisać?

– Tak... Rozmawialiśmy o tym rano. Załamałem się i straciłem ducha potrzebnego do pisania.

Patrzył w dal, jakby tam szukał odpowiedzi. Nocą, gdy księżyc w pełni odbijał się od powierzchni morza, miejsce to wyglądało jeszcze bardziej jak z bajki. Miało się naprawdę wrażenie, że jest się samemu na świecie.

– Oczywiście to był błąd... – stwierdził Fawles i wyrecytował, jakby doznał olśnienia: – Regularna praca nad tekstem wprowadza porządek w myślach i w życiu i zwalcza chaos egzystencji!

Od dłuższej chwili dręczyło mnie jedno pytanie.

– Dlaczego nigdy się pan stąd nie wyprowadził? – zaryzykowałem.

Fawles westchnął.

– Ten dom, Krzyż Południa, kupiłem dla niej. Zakochała się w wyspie i we mnie w tym samym momencie. Kiedy tu jestem, wydaje mi się, jakbym wciąż był z nią.

Miałem jeszcze mnóstwo pytań, ale Fawles położył kres rozmowie.

– Odwiozę cię! – oświadczył i wstał.

– Nie trzeba, mam skuter. Lepiej niech pan wypocznie.

– Jak chcesz. Słuchaj, Raphaëlu... Musisz dalej pracować nad tą Mathilde Monney. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale mam wrażenie, że ona kłamie. Coś nam umyka.

Podał mi flaszkę Bara No Niwa – musiała kosztować tyle, co cały rok
mojego komornego – i wypilem łyk na drogę.

– Dlaczego nie opowie mi pan wszystkiego?

– Nie znam jeszcze całej prawdy. A poza tym nieświadomość to
rodzaj tarczy obronnej.

– Pan mi to mówi? Nieświadomość jest lepsza od wiedzy?

– Wiesz dobrze, że nie to mam na myśli. Uwierz mojemu
doświadczeniu: czasem lepiej nie wiedzieć.

9

Nasza śmierć

Rany zadane przez życie nigdy się nie goją. Bez przerwy je opisujemy, mamy bowiem nadzieję, że uda nam się w ten sposób definitywnie z nimi rozliczyć.

Elena Ferrante

Czwartek, 11 października 2018

1

Była szósta rano. Jeszcze nie wstał świt, ale otworzyłem szeroko drzwi księgarni, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Obok biurka stało metalowe pudełko z mieloną kawą, niestety puste. No, ale podczas tej pracowitej nocy wypilem co najmniej dziesięć filiżanek. Stara drukarka Audiberta też już prawie wyzionęła ducha. Zużyłem ostatni toner, żeby zachować pisane świadectwo moich najważniejszych odkryć. Dokumenty i zdjęcia przyczepiłem do korkowej tablicy w sklepie.

Całą noc szukałem w internecie informacji na temat zabójstwa Verneuilów. Przejrzałem archiwa najważniejszych gazet, ściągnąłem kilka książek i wysłuchałem fragmentów dziesiątek podcastów. Ta tragiczna i pasjonująca sprawa szybko wciągała. Z początku wydawało mi się, że raz-dwa wyrobię sobie o tym wszystkim zdanie, lecz po nocy pracy byłem wciąż tak samo zdezorientowany. Wiele faktów niepokoiło. Jednym z nich było to, że nigdy nie zidentyfikowano mordercy czy też morderców rodziny Verneuilów. A przecież nie był to drobnny wypadek, który zdarzył się na prowincji w latach siedemdziesiątych. Była to prawdziwa rzeź, w centrum Paryża, prawie w dwudziestym pierwszym wieku! Masakra rodziny ogólnie znanej osobistości, w której sprawie śledztwo powierzono najlepszym policjantom. Wszystko to bardziej przypominało filmy Tarantino niż Claude'a Chabrola.

Obliczyłem, że gdy to się wydarzyło, miałem sześć lat, nie mogłem więc niczego pamiętać. Ale byłem pewien, że słyszałem o tym później, może podczas studiów, albo – co było bardziej prawdopodobne – w telewizji, w programach kryminalnych: *Faites entrer l'accusé* lub *L'Heure du crime*.

Alexandre Verneuil urodził się w Arcueil w 1954 roku. Specjalista od chirurgii miękkiej, już w liceum pod wpływem maja 1968 roku zainteresował się polityką, a potem zbliżył się do młodych zwolenników Rocarda i zapisał do partii socjalistycznej. Po studiach pracował w państwowym szpitalu Salpêtrière, potem w szpitalu Cochin. Zaangażowanie w politykę pchnęło go ku organizacjom humanitarnym. Tak jak on, znalazłszy się na rozdrożu społeczeństwa obywatelskiego, działalności humanitarnej i świata polityki, dojrzewało wówczas wiele znanych osób. Lekarze bez Granic czy też francuski Czerwony Krzyż – Alexandre Verneuil był obecny na wszystkich frontach wojennych lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych: jeździł do Etiopii, do Afganistanu, do Somalii, Rwandy i Bośni... Gdy w 1997 roku wybory do parlamentu wygrali socjaliści, mianowano go doradcą ministra zdrowia, ale na stanowisku tym wytrwał zaledwie kilka miesięcy, gdyż wolał wrócić w teren, pojechał do Kosowa. Pod koniec 1999 roku wrócił do Francji i został dyrektorem Szkoły Chirurgii przy państwowych szpitalach paryskich. Równocześnie napisał wiele poważnych książek na tematy takie jak bioetyka, prawo ingerencji i wykluczenie społeczne. Był szanowanym działaczem humanitarnym, chętnie też udzielał się w mediach, w których miał wielkie powodzenie jako wygadany obieżyświat i amator przygód.

2

Dramat rozegrał się wieczorem 11 czerwca 2000 roku, w dniu pierwszego meczu francuskiej drużyny piłki nożnej podczas Mistrzostw Europy. Tego wieczoru Verneuil i jego żona Sofia – dentystka, której gabinet mieszczący się przy rue du Rocher był jednym z lepiej prosperujących w Paryżu – świętowali jedenaste urodziny swojego syna Théo. Mieszkali w pięknym mieszkaniu w szesnastej dzielnicy, przy boulevard de Beauséjour, na drugim piętrze budynku z lat trzydziestych, z którego był piękny widok na wieżę Eiffla i na ogród Ranelagh. Zdjęcia małego chłopca, które zobaczyłem w internecie, od razu mnie poruszyły, bo był podobny do mnie, kiedy byłem w jego wieku: wesoła buzia, przerwa między przednimi zębami, blond czupryna i okrągłe okulary w kolorowej oprawce.

Mimo że minęło już osiemnaście lat, wydarzenia tamtego wieczoru wciąż wzbudzały kontrowersje. Co było wiadomo na pewno? Było wiadomo, że kwadrans po północy w mieszkaniu Verneuilów zjawili się policjanci z brygady kryminalnej w cywilu, wezwani przez sąsiada z budynku obok. Drzwi zastali otwarte. Zaraz za progiem potknęli się o zwłoki Alexandre'a Verneuil. Twarz miał zmasakrowaną strzałem z bliska. Jego żona Sofia została zabita trochę dalej, na progu kuchni, kulą w samo serce. Théo został zabity strzałem w plecy i leżał w korytarzu. Horror.

O której godzinie miała miejsce ta jatka? Wyglądało na to, że koło dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. O dwudziestej trzeciej trzydzieści Alexandre zadzwonił do ojca, żeby pogadać o meczu (zwycięstwo drużyny francuskiej z Zidane'em 3:0 w meczu z Duńczykami). Rozłączył się o dwudziestej trzeciej trzydzieści osiem. Sąsiad zadzwonił na alarm dwadzieścia minut później i przyznał, że trochę zwlekał, biorąc pod uwagę sytuację: mecz, krzyki kibiców – bał się, czy nie pomylił odgłosu strzałów z wystrzałami petard.

Nie lekceważono sobie tego śledztwa. Alexandre był synem Patrice'a Verneuil, kiedyś słynnego oficera śledczego, który wówczas piastował jeszcze wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Dochodzenie nie doprowadziło do niczego konkretnego. Okazało się tylko, że tego samego wieczoru miała miejsce kradzież z włamaniem na trzecim i ostatnim piętrze tego budynku, w mieszkaniu emerytów, którzy wyjechali na wakacje na południe Francji. Okazało się również, że znikła biżuteria Sofii Verneuil i kolekcja zegarków jej męża (członka tak zwanej „rolexowej lewicy”, który w swoim zbiorze posiadał nawet model Panda Paul Newman wart ponad pół miliona franków).

W bramie była kamera, ale obiektyw przekreślono do ściany. Nie wiadomo, czy było to zamierzone, czy przypadkowe, ani czy stało się kilka godzin czy kilka dni wcześniej. Specjaliści od balistyki zidentyfikowali broń, którą zamordowano Verneuilów – była to strzelba z lufą gwintowaną, na naboje kalibru 12 milimetrów (najpopularniejsze). Strzelby nie znaleziono. Analiza łusek nie doprowadziła do identyfikacji z żadną zarejestrowaną bronią. To samo ze śladami DNA – wszystkie albo należały do członków rodziny, albo nie pokrywały się z żadnym profilem z bazy danych. No i to by było na tyle. Lub też – prawie na tyle.

Przeglądając dokumenty, uświadomiłem sobie, że jestem jedną z pierwszych osób, która połączyła tę zbrodnię z udziałem w niej Apolline Chapuis i Karima Amraniego. Powstał idealny scenariusz: dwoje przestępców obrabowało puste mieszkanie na trzecim piętrze, następnie zeszli niżej. Może myśleli, że tam też nikogo nie będzie. Ale Verneuil ich zaskoczył. Spanikowali, któreś z nich zaczęło strzelać, jeden

trup, dwa, trzy... po czym zwinęli jeszcze zegarki, biżuterię, no i ten aparat fotograficzny.

Hipoteza była prawdopodobna. Wszystkie artykuły, które przeczytałem o tej parze, „Bonnie i Clydzie z placu Stalingradu”, wskazywały na to, że Karim był agresywny i brutalny. Bez wahania wystrzelił z pistoletu do kierownika punktu bukmacherskiego. Co prawda pistolet był alarmowy, ale i tak biedny facet stracił oko.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Przed pójściem pod prysznic chciałem jeszcze posłuchać podcastu *Skandale*, audycji nadawanej przez stację France Inter, która jeden z odcinków poświęciła sprawie Verneuilów. Nastawiłem go, ale okazało się, że znów wysiadł internet.

Cholera...

Był to stały problem w tym domu. Bez przerwy latałem na piętro restartować router. Z powodu wczesnej pory, była szósta rano, zawahałem się, nie chciałem budzić Audiberta. Postanowiłem jednak zaryzykować i zacząłem się skradać. Spał przy uchylonych drzwiach. Dyskretnie wszedłem do salonu, włączyłem latarkę w komórce i jak najciszej prześlizgnąłem się w kierunku kredensu, na którym stało urządzenie. Wyłączyłem i włączyłem całą instalację, i uciekłem, starając się, żeby nie zatrzeszczały deski w parkiecie.

Nagle przebiegł mnie dreszcz. To dziwne, byłem tu już wiele razy, ale w półmroku pomieszczenie zrobiło na mnie zupełnie inne wrażenie. Wymierzyłem światło komórki w półki biblioteczne. Obok luksusowej serii Pléiade i drogich introligatorskich opraw Boneta-Prassinosa stało kilka drewnianych ramek. Przeczucie? Instynkt? Ciekawość? Podszedłem bliżej. W pierwszym rzędzie stały fotografie Audiberta z żoną Anitą, która, jak mi powiedział podczas naszego pierwszego spotkania, zmarła na raka dwa lata temu. Zdjęcia przedstawiały ich w różnych okresach życia. Ślub w latach sześćdziesiątych, potem szybko dziecko na rękach, które na kolejnym zdjęciu zmieniło się w nadąsaną nastolatkę. Początek lat osiemdziesiątych, oboje pozowali uśmiechnięci przed maską Citroena BX; podróż do Grecji dziesięć lat później, kolejna do Nowego Jorku, jeszcze przed katastrofą z wieżami. Szczęśliwe dni, które docenia się dopiero, kiedy miną. Dwa ostatnie zdjęcia zmroziły mi krew w żyłach: na jednym zobaczyłem Alexandre'a, Sofię i Théo Verneuilów. Na drugim – Mathilde Monney.

3

Dzwonek telefonu wybił Nathana Fawlesa z nierównego, niespokojnego snu. Zasnął w fotelu z Bronco pod nogami. Otworzył oczy,

ziewnął, z trudem wstał i poczłapał do aparatu.

– Słucham?

Mówił chrapliwie, jakby przez noc zardzewiały mu struny głosowe. Szyja zdrętwiała i zeszywniała, czuł, że jeśli ruszy się gwałtowniej, kości zaczną mu skrzypieć jak nienaoliwione zawiasy.

Dzwoniła Sabina Benoit, dawna kierowniczka mediateki Młodzieżowego Ośrodka Zdrowia.

– Przepraszam cię, Nathanie, wiem, że jest wcześniej, ale prosiłem mnie, żebym cię zawiadomiła, jak tylko zdobędę te informacje...

– Nie, nie, dobrze pani zrobiła! – odpowiedział.

– Udało mi się zdobyć listę uczniów, którzy chodzili na pana wykłady. Był pan u nas dwa razy, dwudziestego marca i dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– No i?

– Nie znalazłam żadnej Mathilde Monney.

Fawles westchnął i przetarł oczy. Dlaczego i tutaj ta dziennikarka skłamała?

– Ale znalazłam inną Mathilde, Mathilde Verneuil.

Fawles zastygł.

– To córka tego biednego doktora Verneuila. Dobrze ją pamiętam... – ciągnęła bibliotekarka. – Ładna, z rezerwą, wrażliwa, inteligentna... Kto mógł wówczas przewidzieć, że spotka ją taki dramat!

4

A więc Mathilde była córką Alexandre'a Verneuila i wnuczką Grégoire'a Audiberta! Zatkalo mnie. Osłupiałem. Nie wiedziałem, co robić. Dostałem gęsiej skórki.

No ale nie mogłem tu dłużej stać. Na górnych półkach znalazłem albumy. Cztery grube księgi oprawne w płótno, ułożone dziesiątkami lat. Usiadłem po turecku na ziemi i w świetle latarki w komórce zacząłem je przeglądać. Oglądałem nieuważnie, rzucając okiem na podpisy. Najważniejsze ograniczało się do kilku dat. Grégoire i Anita Audibert mieli jedyną córkę, Sofię, urodzoną w 1962 roku, która w 1982 roku poślubiła Alexandre'a Verneuila. Mieli dwoje dzieci, Mathilde i Théo, które jako maluchy często spędzały wakacje na wyspie.

Jak ja i Fawles mogliśmy to przegapić? W przeczytanych przeze mnie artykułach nie było ani słowa o Mathilde. Zacząłem sprawdzać w Google'u za pomocą słów kluczy. W wolnym dostępie pojawił się zaraz artykuł z „L'Express” z lipca dwutysięcznego roku. Stało tam jak wół następujące zdanie: „Starsza córka, w wieku lat szesnastu, w momencie

dramatu przebywała poza Paryżem, przygotowując się do matury z francuskiego z przyjaciółką zamieszkałą w Normandii”.

Miałem gonitwę myśli. Czułem, że to decydujący moment dla mojego śledztwa, ale nie ogarniałem jeszcze ewentualnych konsekwencji tego odkrycia. Wahalem się, czy nie rzucić wszystkiego w diabły. Słyszałem regularne pochrapywanie Audiberta, którego sypialnia była przecież obok. Może posunąłem się zbyt daleko... Ale jeśli to nie wszystko, jeśli są jeszcze inne sekrety? Zajrzałem do sypialni. Było to wnętrze ascetyczne, niemal cela klasztorna. Jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności był laptop stojący na biurku pod ścianą. Byłem tak podekscytowany, że zapomniałem o ostrożności i postawiłem wszystko na jedną kartę. Musiałem dowiedzieć się więcej! Podszedłem do sekretarzyka i poczułem, jak moja dłoń sama zaciska się na komputerze Audiberta.

5

Gdy tylko znalazłem się z powrotem na parterze, szybko go włączyłem. Okazało się, że Audibert nie był takim wrogiem nowych technologii, za jakiego się podawał. Laptop był starym dobrym notebookiem VAIO z końca dwutysięcznego roku. Byłem prawie pewien, że hasło jest takie samo jak w komputerze w księgarni. Spróbowałem i okazało się, że miałem rację.

Dysk twardy był prawie pusty. Właściwie nie wiedziałem, czego szukam, ale byłem przekonany, że dużo jeszcze nie wiem. Pomiędzy kilkoma folderami znalazłem nieaktualną wersję rachunkowości księgarni, kilka faktur, topograficzną mapę Beaumont i pliki PDF zawierające artykuły z prasy na temat kryminalnej przeszłości Apolline Chapuis i Karima Amraniego, które już czytałem, ale przynajmniej dowiedziałem się, że Audibert prowadził te same poszukiwania co ja. Zawahałem się, czy zaglądać do jego skrzynki mailowej albo do innych wiadomości. Audibert sam nie używał Facebooka, ale stworzył fanpage'a księgarni, niestety od roku nie było tam żadnych wpisów. Zdjęć też nie było wiele, ale za to trzy foldery, które znalazłem, okazały się materiałem wybuchowym.

Najpierw ujrzałem wiele zrzutów ekranu ze strony internetowej Apolline Chapuis. Potem, w innym folderze, zdjęcia robione teleobiektywem, na których widać było Karima Amraniego włączającego się po Évry. Były to te same zdjęcia, które widziałem w pokoju Mathilde. Okazało się jednak, że to nie wszystko, czekał mnie jeszcze ostatni folder. Z początku wydawało mi się, że były tam te same fotografie, które Mathilde pokazywała Fawlesowi: podróż przestępczej pary na

Hawaje i urodziny Théo Verneuil. Najwyraźniej jednak Mathilde nie pokazała pisarzowi wszystkiego. Z następnych zdjęć wynikało, że była w domu tego wieczoru, gdy cała jej rodzina została zamordowana.

Oczy mnie szczypały, szumiało mi w głowie i pulsowało w skroniach. Jak ta informacja mogła umknąć policji prowadzącej śledztwo? Poczulem dziwny niepokój. Nie mogłem oderwać oczu od rażącego światła ekranu. Na zdjęciach Mathilde musiała mieć około szesnastu lat, była ładną, delikatną dziewczynką, uchwycono ją zamyśloną, z wymuszonym uśmiechem i smutnym spojrzeniem, które odwracała od obiektywu.

Przychodziły mi do głowy przedziwne rzeczy. Może to Mathilde zamordowała swoją rodzinę? Ostatnie zdjęcie było kolejną niespodzianką. Zrobione trzeciego maja dwutysięcznego roku – niewątpliwie podczas wakacji pierwszomajowych – ukazywało Mathilde i Théo pozujących przed Szkarłatną Różą.

Już miałem zatrzaskać klapę laptopa, kiedy coś mnie podkusiło, żeby zajrzeć do kosza. W koszu znalazłem dwa foldery wideo. Ściągnąłem je na pulpit, a później na pendrive'a. Następnie założyłem słuchawki, puściłem wideo i zamarłem.

6

Fawles siedział przy stole w kuchni i podpierał głowę rękami. Zastanawiał się nad konsekwencjami informacji, które dostał od Saby Benoit. Monney to musiał być pseudonim, dziennikarka nie była Szwajcarką i naprawdę nazywała się Mathilde Verneuil. Jeśli zaś rzeczywiście była córką Alexandre'a, wszystko, co ostatnio wydarzyło się na wyspie, nabierało innego, nowego sensu.

Z powodu awersji do mediów Fawles niczego nie wiedział. Fakt, że Mathilde przedstawiła się jako dziennikarka, namieszał mu w głowie i od początku wprowadził w błąd. Tak naprawdę Mathilde przyjechała na wyspę z innego powodu: żeby zemścić się za śmierć rodziny. Było bardzo prawdopodobne, że to ona zabiła Karima i Apolline, kiedy zorientowała się, że są mordercami jej rodziców.

W mózgu Fawlesa zawrzało i nagle film z przeszłości jakby zatrzymał się na jednym z urodzinowych zdjęć, które pokazała mu Mathilde na jachcie: Verneuil, jego żona i mały Théo pozowali na tarasie, na tle widocznej z tyłu wieży Eiffla. Uderzyła go oczywistość: jeśli to ujęcie w planie amerykańskim istniało, to znaczy, że ktoś jest jego autorem, najprawdopodobniej Mathilde. Z pewnością więc była w mieszkaniu w ów makabryczny wieczór.

Fawles o mało nie zemdlał – zrozumiał wszystko i poczuł, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Zerwał się z fotela i poszedł do salonu. W głębi, obok metalowego stojaka na polana do kominka, stała szafka z drewna oliwnego, w której trzymał strzelbę. Otworzył ją. Była pusta. Ktoś zabrał strzelbę ozdobioną wizerunkiem legendarnego smoka albańskiego Kuçedry. Tę przeklętą strzelbę, narzędzie wszystkich krzywd, tę, która leżała u źródła wszystkich jego nieszczęść. Przypomniawszy sobie starą regułę pisarza: jeśli autor na początku powieści wspomina coś o broni palnej, z pewnością w trakcie historii ktoś z niej wystrzeli, a na końcu od jej strzału zginie jeden z bohaterów.

Fawles wierzył w reguły rządzące światem fikcji. Był pewien, że w tej sytuacji czeka go śmierć, która nastąpi pewnie jeszcze dziś.

7

Puściłem pierwsze nagranie. Trwało pięć minut, akcja nagrywana była na komórkę w jakimś domu czy willi.

– Litości! Ja nic nie wiem! Wszystko już powiedziałem!

Karim leżał na niskim stoliku nachylonym ku podłodze. Spięte kajdankami ręce miał wyciągnięte nad głową. Widok napuchniętej twarzy i zakrwawionych ust dowodził, że przed chwilą został porządnie pobity. Przesłuchiwał go wysoki facet, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Siwe włosy, barczysty, atletycznie zbudowany, miał na sobie kraciatą koszulę, impregnowaną kurtkę myśliwską i czapkę z daszkiem w szkocką kratę.

Zbliżyłem twarz do ekranu, żeby zobaczyć go dokładniej. Ile mógł mieć lat? Co najmniej siedemdziesiąt pięć, jeśli sądzić po zmarszczkach na twarzy i ogólnym wyglądzie. Miał wielki brzuch, z trudem się przemieszczał, ale najwyraźniej był silny jak wół.

– Nic więcej nie wiem! – zawył Karim.

Facet jakby go nie słyszał. Na chwilę znikł z ekranu i pojawił się z powrotem, niosąc mokry ręcznik; nakrył nim twarz Karima. Następnie jak doświadczony oprawca zaczął łać na ręcznik wodę.

Nieszczęsna tortura wodna...

Nie mogłem na to patrzeć. Staruch łał wodę nieprzerwanie, aż Karim zaczął się dusić. Wypręzał się, dostał konwulsji. Kiedy facet zdjął ręcznik, myślałem, że uwięziony mężczyzna już nie odzyska świadomości. Z ust, niczym z gejzera, toczyła mu się żółta piana. Nie ruszał się. Wreszcie wystękał:

– Kurwa, nic więcej nie wiem...

Stary nachylił stolik niżej i wyszeptał mu do ucha:

– To zaczynamy od początku.

Karim był półprzytomny.

– Nic więcej nie wiem... – powtarzał.

– Więc zacznę od początku! – wrzasnął facet i podniósł ręcznik.

– Nie! – krzyknął Karim, robiąc nadludzki wysiłek, żeby wypowiedzieć te kilka zdań: – Tamtej nocy, jedenastego czerwca dwutysięcznego roku, pojechaliśmy do szesnastki, pod numer trzydzieści dziewięć na boulevard de Beauséjour, żeby okraść emerytów z trzeciego piętra. Dostaliśmy cynk, że ich nie będzie.

– Od kogo?

– Nie pamiętam... kumple mówili, że starzy mają mnóstwo kasy, ale większość gotówki i biżuterii trzymali w sejfie wpuszczonym w beton. Nie do wyniesienia.

Karim mówił szybko, monotonicznie, jakby opowiadał to już nie wiadomo który raz. Głos miał zmieniony z powodu złamanego nosa, oczy sklezione krwią spływającą z siniaków.

– Zabraliśmy jakieś drobiazgi, łatwe do odsprzedania. Mieliśmy wychodzić, kiedy z dołu usłyszeliśmy strzały.

– Ile strzałów?

– Trzy. Spanikowaliśmy i schowaliśmy się w sypialni. Siedzieliśmy tam dość długo. Baliśmy się, wiadomo było, że zaraz przyjedzie policja, no i te strzały na drugim piętrze...

– Nie zauważyliście nikogo?

– Nie, mówię przecież, że robiliśmy w portki ze strachu... Czekaliśmy, nie mieliśmy odwagi nawet stamtąd wyjść. Próbowaliśmy uciec górą, ale drzwi na dach były zamknięte na klucz. Pozostały tylko schody.

– I co dalej?

– Kiedy znaleźliśmy się na drugim piętrze, Apolline sikała po nogach z przerażenia. Ja czułem się nieźle, bo w sypialni staruchów wciągnąłem sobie działkę. Byłem kompletnie naćpany, euforia... Wsunąłem głowę w uchylone drzwi mieszkania. Masakra! ... Pełno krwi, trzy trupy na podłodze. Apolline wrzasnęła i zbiegła na parking.

– Nie martw się, twoją narzeczoną też przesłuchamy.

– To nie jest moja narzeczoną. Od osiemnastu lat nie zamieniliśmy ani słowa.

– A ty co zrobiłeś, jak wszedłeś do Verneuilów?

– Już mówiłem, wszyscy nie żyli. Poszedłem do salonu i do sypialni, zabrałem wszystko, co mogłem: drogie zegarki, dużo gotówki, biżuterię, aparat fotograficzny... Potem zszedłem do Apolline. Kilka tygodni później uciekliśmy na Hawaje i tam zgubiliśmy ten cholerny aparat...

– Tak, faktycznie pech – przytaknął stary, westchnął i nagłym gestem wbił łokieć w żebra Karima. – A jeszcze gorzej, że straciłeś nie tylko

aparatu, ale też życie! – rzucił i zaczął go okładać pięściami z siłą olbrzymia.

Bąłem się, że krew tryskająca z ciała Karima przeniknie przez ekran i obryzga mi twarz. Odwróciłem wzrok. Trząłem się jak w gorączce. Szarpany dreszczami, zastanawiałem się, kim był ten straszny facet, który umiał zabić gołymi rękami. Jakie szaleństwo nim powodowało?

W księgarni było lodowato. Wstałem, żeby zamknąć drzwi wejściowe. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Przez chwilę chciałem uciec razem z tym laptopem, ale ciekawość pchnęła mnie do puszczenia drugiego nagrania.

Miałem nadzieję, że nie będzie takie straszne, ale się myliłem. Była na nim scena takich samych tortur, zakończonych śmiercią ofiary, ale tym razem była nią Apolline, a katem – facet widoczny tylko od tyłu. Miał na sobie ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, wydawał się młodszy i mniej masywny niż oprawca Karima. Wideo też było gorszej jakości, z pewnością z powodu złych warunków: zamkniętego ciemnego pomieszczenia, brudnej ponurej kanciapy z kamiennymi szarymi ścianami.

Apolline była przywiązana do krzesła, jej twarz spływała krwią, miała połamane zęby i paskudnie podbite oko. Oprawca, uzbrojony w pogrzebacz, z pewnością znęcał się już nad nią dłuższą chwilę. Film nie był długi. To, co mówiła Apolline, było jakby dalszym ciągiem zeznań Karima.

– Ile razy mam powtarzać, że umierałam ze strachu! Nawet nie weszłam do tego mieszkania. Od razu uciekłam na parking i tam czekałam na Karima.

Pociągnęła nosem i pokręciła głową, żeby odsunąć kosmyk, który krew przykleiła jej do czoła, tak że zasłaniał oczy.

– Byłam pewna, że za chwilę pojawi się policja! Zresztą jakoś się spóźniali. W podziemiach było ciemno. Kucnęłam między betonowym słupem a jakąś furgonetką. Ale nagle zapaliło się światło i z niższego piętra wyjechał samochód.

Apolline jękała się, mówiła niewyraźnie, facet z pogrzebaczem popędzał ją.

– To było szare porsche w czerwone i niebieskie pasy. Ponad pół minuty stało na moim poziomie, bo bramka wyjazdowa się zacięła.

– Kto siedział w środku?

– W środku było dwóch mężczyzn.

– Dwóch? Jesteś pewna?

– Absolutnie. Nie widziałam twarzy pasażera, ale facet za kierownicą wyszedł, żeby odblokować wyjazd.

– Poznałaś, kto to był?

- Nie znalazłam go osobiście, ale widziałam go w telewizji. Czytałam jego książkę.
- Jego książkę?
- Tak. To był ten pisarz, Nathan Fawles.

NIEZNOŚNA PRAWDA

10

Pisarze contra mundum

*Jedynym zbawieniem zwyciężonych jest
nie liczyć na żadne zbawienie.*

Wergiliusz

1

To był ten pisarz, Nathan Fawles.

Ostatnie słowa Apolline tuż przed śmiercią. Nagranie trwało jeszcze kilka sekund; pokazywało, jak dziewczyna traci przytomność, a potem ginie pod ostatecznym ciosem pogrzebacza.

Poza wagą tego odkrycia, które pogrążyło mnie w straszliwej niepewności, zacząłem się bać, no bo co te nagrania robiły w laptopie Audiberta?

Mimo że egzekucja Apolline była naprawdę okropna, a mną trzęsła już porządna febra, obejrzałem nagranie ponownie. Tym razem zdjąłem słuchawki, koncentrując się na samej scenerii. Te kamienne ściany... Widziałem podobne, kiedy zwoziłem windą pudła z książkami do piwnicy księgarni... A może mi się tylko wydaje?

W pęku kluczy miałem też te do piwnicy. Byłem w niej raz czy dwa, ale nie zauważyłem nic podejrzanego.

Mimo strachu postanowiłem tam wrócić. Nie mogłem użyć windy, dźwig robił piekielny hałas. Wyszedłem na wewnętrzne podwórko, gdzie był właz pozwalający zejść do piwnicy po niemal pionowych drewnianych schodkach. Już na pierwszym stopniu poczułem nieprzyjemny odór wilgoci.

Na samym dole włączyłem jarzeniówkę. W słabym pulsującym świetle ujrzałem półki pokryte pajęczyną i pudła wypełnione książkami, które już zaczynały pleśnieć. Żarówka trzeszczała przez kilka sekund, po czym coś stuknęło i zgasła.

Cholera...

Wyjąłem komórkę, żeby włączyć latarkę, ale potknąłem się o zardzewiały klimatyzator stojący na podłodze. Upadłem na beton, wzburzając tumany kurzu.

Brawo, Rafa!

Podniosłem komórkę, wstałem i ruszyłem do przodu. Piwnica była dużo większa, niż myślałem, a zwłaszcza dłuższa. Gdzieś w głębi hałasowała dmuchawa, taka jak przy grzejniku lub wentylacji. Szum dochodził od splątanych rur zakrytych trzema kratami opartymi jedna na drugiej o ścianę.

Dokąd biegle te rury? Po minucie walki z kratami udało mi się je odsunąć i odkryłem kolejne chronione zamkiem wejście – wyglądało jak metalowe drzwi od ogromnego pieca. W wielkim pęku kluczy Audiberta znalazłem właściwy.

Z lękiem przeszedłem przez metalowe wrota i znalazłem się w dziwnym pomieszczeniu, gdzie zobaczyłem warsztat majsterkowicza i ogromną zamrażarkę. Na roboczym stole leżały pogrzebacz, kamera wideo, zardzewiały, ale ostry młotek, jakiś tłuczek z ciemnego drewna, nożyce do cięcia kamienia...

Serce podeszło mi do gardła i znów przeszedł mnie dreszcz. Otworzyłem zamrażarkę i nie mogłem powstrzymać okrzyku strachu. Wnętrze było ubabrane krwią.

Cholera, to jakieś szaleństwo! – pomyślałem.

Cofnąłem się, pobiegłem do drabiny i wdrapałem się na górę z szybkością światła. Znalazłem się z powrotem na podwórzu.

A więc to Audibert zamęczył na śmierć Apolline Chapuis i niewątpliwie zarżnie mnie, jeśli natychmiast się stąd nie ulotnię. Znalazłszy się znowu w księgarni, usłyszałem, jak na górze trzeszczy parkiet. Audibert wstał z łóżka. Jego kroki powoli zbliżały się do schodów, później usłyszałem, jak człapie stopień po stopniu... Kurwa! Wepchnąłem jego laptop do plecaka, wybiegłem na dwór, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i wskoczyłem na skuter.

2

Niebem sunęły długie pasy chmur, przez które miejscami przedostawał się blask świtu. Droga nad morzem była pusta. Zapach jodu znad wody mieszał się z zapachem eukaliptusa. Wcisnąłem gaz do dechy – mój wyścigowy pojazd, pchany przez wiatr, osiągnął z trudem prędkość czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, przynajmniej na liczniku. Co dwie minuty rzucałem za siebie niespokojne spojrzenie. Nigdy w życiu nie bałem się tak jak teraz. Wydawało mi się, że w każdej chwili Audibert może wyskoczyć zza węgła, że wpadnie na Strada Principale uzbrojony w ten swój pogrzebacz, żeby się ze mną rozliczyć.

Co robić? W pierwszym odruchu chciałem schronić się u Fawlesa. Ale nie mogłem udawać, że nie widziałem tych nagrań i nie słyszałem

oskarżeń Apolline Chapuis.

Nie było trudno wprowadzić mnie w błąd. Fawles nawet nie starał się ukryć, że nie mówi mi wszystkiego. Idąc do niego, być może rzucałem się w paszczę lwa. Przypomniałem sobie strzelbę z gwintowaną lufą, którą zawsze miał pod ręką. Niewykluczone, że tą właśnie bronią zamordowano Verneuilów. Ogarnęła mnie panika, ale po pięciu minutach wziąłem się w garść. Chociaż matka wciąż mi powtarzała, żebym nikomu nie ufał, przeważnie robiłem odwrotnie. Ta naiwność wielokrotnie się na mnie mściła, często plulem sobie w brodę, ale byłem przekonany, że gdybym stracił tę naiwność, przestałbym być sobą. Postanowiłem zaufać swojej intuicji: autor *Lorelei Strange* i *Rażonych piorunem* nie mógł być draniem.

Gdy znalazłem się znów przed Krzyżem Południa, Fawles wyglądał, jakby już dawno wstał. Był w ciemnym golfie i zamszowej marynarce. Emanował z niego spokój. Od razu się zorientował, że przydarzyło mi się coś poważnego.

– Musi pan to zobaczyć! – wykrzyknąłem, nie dając mu czasu na dodanie mi otuchy.

Wyjąłem z plecaka laptop Audiberta i puściłem oba nagrania. Fawles obejrzał je z kamienną twarzą, która nie drgnęła, nawet gdy Apolline wymówiła jego nazwisko.

– Czy wiesz, kim są ci mężczyźni, którzy torturowali Chapuis i Amraniego?

– Nie mam pojęcia, kim jest ten pierwszy, ale drugi to na pewno Grégoire Audibert! Znalazłem u niego w piwnicy zamrażarkę, w której przechowywał zwłoki Apolline.

Fawles nie zareagował, ale czułem, że jest załamany.

– Wie pan, że Mathilde jest wnuczką Audiberta i córką Alexandre’a Verneuila?

– Dowiedziałem się tego godzinę temu – odparł.

– Nathanie, dlaczego Apolline pana oskarża?

– Ona mnie nie oskarża. Ona po prostu mówi, że widziała mnie w samochodzie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Kto to był? Niech mi pan po prostu powie, że jest pan niewinny, a ja w to uwierzę.

– Przysięgam ci, że to nie ja zabiłem Verneuilów.

– Ale był pan u nich tego strasznego wieczoru?

– Tak, byłem, ale ich nie zabiłem.

– Proszę mi to wyjaśnić!

– Kiedyś ci wszystko dokładnie opowiem, ale nie teraz! – oznajmił nagle podenerwowany Fawles. W dłoni ścisnął maleńkiego pilota, jak do garażu, którego wyjął z kieszeni.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo i bez tego grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, Raphaëlu! To nie jest powieść, synku. To dzieje się naprawdę. Apolline i Karim zginęli i ich mordercy są wciąż na wolności. Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie znam, sprawa Verneuilów wraca na scenę. Z tego nie może wyniknąć nic dobrego.

– Co mam zrobić?

– Musisz stąd wyjechać. I to zaraz! O ósmej wznowią ruch, podwiozę cię na prom.

– Mówi pan poważnie?

– Widziałeś te nagrania, tak jak i ja. – Pokazał palcem laptop. – To są ludzie zdolni do wszystkiego!

– Ale...

– Pospiesz się! – Chwycił mnie za ramię.

Poszliśmy do samochodu, Bronco za nami. Mini moke, który przez parę tygodni nie ruszał się z miejsca, najpierw odmówił posłuszeństwa. Już myślałem, że Fawles zalał silnik, kiedy wreszcie zdarzył się cud i silnik zaskoczył. Bronco wskoczył na tylne siedzenie tego superniewygodnego samochodu, który nie miał ani dachu, ani drzwi. W końcu ruszyliśmy. Podskakując na wyboistej leśnej ścieżce, dojechaliśmy do głównej drogi.

Cała jazda aż do promu odbyła się w przykrej atmosferze. Świt próbował przebić się przez chmury, aż się poddał i zapanowała szarość. Niebo było czarne, wyglądało jak bazgroły zrobione węglem. Zerwał się wiatr, przed którym nie chroniła nas mała przednia szyba. Nie był to wschodni, wilgotny i łagodny wietrzyk ani też znajomy mistral, po którym niebo robiło się niebieskie. Był to mistral czarny, tnący lodowaty wiatr od bieguna, który niósł ze sobą błyskawice i grzmoty.

Gdy dotarliśmy do portu, miasto wyglądało jak duch. Mgła wisiała tuż nad brukiem. Mleczne wstęgi ślizgały się między ławkami i otulały kadłuby statków. Fawles zaparkował mini moke'a przed budką kapitanatu i poszedł wykupić mi bilet. Potem odprowadził mnie na sam prom.

– Dlaczego nie pojedzie pan ze mną, Nathanie? – spytałem, wchodząc na pomost. – Przecież pan także jest w niebezpieczeństwie.

Fawles został na brzegu, trzymając psa. Machnął ręką i pokręcił głową.

– Dbaj o siebie, Raphaëlu!

– Proszę, niech pan ze mną jedzie! – jęknąłem.

– To niemożliwe. Zgasić ogień powinien ten, który go rozpałił. Muszę jeszcze zakończyć pewną sprawę.

– Jaką?

– Dwadzieścia lat temu puściłem w ruch straszną maszynę, którą muszę teraz zatrzymać.

Pozegnał mnie machnięciem ręki i zrozumiałem, że nie wyciągnę z niego nic więcej. Powoli oddalał się w towarzystwie wiernego Bronca, a ja nagle dostałem gęsiej skórki i ogarnął mnie wielki smutek. Miałem wrażenie, że widzę go po raz ostatni. Potem nagle zawrócił. Spojrzał mi serdecznie w oczy i ku memu zdumieniu wręczył mi mój poprawiony rękopis zwinięty w rulon, żeby zmieścił się w kieszeni płaszcza.

– Wiesz, Raphaëlu, *Nieśmiałość szczytów* to bardzo dobra książka. Zasługuje na wydanie nawet bez moich poprawek – powiedział.

– Wydawcy, którzy ją czytali, tak nie uważają.

Pokręcił głową.

– Wydawcy... – Westchnął z pogardą. – Wydawcy chcieliby, żebyś był im wdzięczny za kilka słów oceny tego, nad czym ty pracowałeś przez dwa lata, żeby w ogóle postawić tekst na nogi. To ludzie, którzy siedzą do trzeciej przy lunchu w restauracjach w Midtown lub na Saint-Germain-des-Prés, podczas gdy ty niszcysz sobie oczy, wpatrując się w ekran. Będą za to codziennie zawracać ci głowę, jeśli zwlekasz z podpisaniem umowy. Każdy z nich chciałby być Maxem Perkinsem lub Gordonem Lishem, ale na zawsze pozostaną zwykłymi księgowymi literatury, z którą zapoznają się przez pryzmat tabelki w Excelu. Dla wydawców zawsze pracujesz za wolno, traktują cię jak dziecko, zawsze wiedzą lepiej od ciebie, co chcą czytać inni, jaki tytuł jest dobry, jak powinna wyglądać okładka. Gdy wreszcie osiągniesz sukces, często wbrew nim, będą oznajmiać wszem wobec, jak to cię stworzyli. Ci sami, którzy mówili do Simenona, że Maigret jest „dramatycznie banalny”, lub którzy odrzucili rękopisy *Carrie*, *Harry’ego Pottera* czy *Lorelei Strange*...

– *Lorelei Strange* została odrzucona? – przerwałem Fawlesowi zaskoczony.

– Nie chwaliłem się tym, ale tak. *Lorelei* została odrzucona czternaście razy przez agentów i wydawców. Również przez tego, który później ją wydał dzięki staraniom Jaspera Van Wycka. To dlatego nie należy przywiązywać do tych ludzi zbyt dużej wagi.

– Nathanie, kiedy cała ta historia się skończy, pomoże mi pan w wydaniu *Nieśmiałości szczytów*? Pomoże mi pan stać się pisarzem?

Po raz pierwszy (i ostatni) ujrzałem szczerzy uśmiech na twarzy Fawlesa, a to, co powiedział, potwierdziło moje pierwsze wrażenie co do jego osoby.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy. Już jesteś pisarzem!

Po przyjacielsku wyciągnął do mnie dłoń z podniesionym kciukiem, po czym zrobił w tył zwrot i wszedł do samochodu.

Mgła robiła się coraz gęstsza. Prom *Nieustraszony* był w trzech czwartych pełny, ale udało mi się znaleźć miejsce w środku. Przez szyby widziałem ostatnich pasażerów, którzy wyłaniali się z mgły, spiesząc na pokład.

Byłem wciąż pod wrażeniem ostatnich słów Fawlesa, ale miałem w ustach gorzki posmak klęski. Byłem dezertorem, uciekłem z placu bitwy. Przyjechałem na wyspę pełen zapału – w pełnym słońcu, którego światło zdawało się zwiastować triumf – a teraz, w chwili gdy rozgrywał się ostatni akt, opuszczałem ją w deszczu, z podwiniętym ogonem, przestraszony grożącym mi niebezpieczeństwem.

Pomyślałem o mojej ostatniej powieści, której spory fragment już napisałem. *Pustelnik*. Żyłem tym tekstem, byłem jednym z jego bohaterów. Przecież narrator nie może opuścić sceny jak tchórz w chwili, gdy zbliża się kulminacyjny moment rozwiązania zagadki. Taka szansa już nigdy się nie powtórzy! Przypomniałem sobie jednak ostrzeżenie Fawlesa: „Raphaëlu, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie! To nie jest powieść, synku, to dzieje się naprawdę!”. Z tym że on prawdopodobnie sam w to nie wierzył. Przecież radził mi wcześniej, żeby mieszać powieść z życiem, a życie z powieścią! Jak narkoman kochałem te chwile, gdy fikcja włamywała się w codzienność. To z tego powodu tyle czytałem. Nie żeby uciec od życia w świat wyobraźni, ale żeby wrócić do życia zmieniony dzięki lekturom. Bogatszy o doświadczenia z wyimaginowanych podróży, o spotkania z wyimaginowanymi ludźmi, gotowy, by skorzystać z tego bogactwa w życiu codziennym. „Po cóż innego są książki, jeśli nie po to, żeby pomagały w życiu, żeby zwiększały w nas apetyt na codzienność?” – pytał Henry Miller. Z pewnością po nic innego.

A poza tym – Nathan Fawles. Mój bohater, mój mentor. Ten, który pięć minut temu mianował mnie jednym ze swoich. Nie mogłem go zostawić samego wobec grożącego mu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Przecież nie jestem z cukru! Ani nie jestem dzieckiem! Jestem pisarzem, który pędzi na pomoc drugiemu pisarzowi.

Dwaj pisarze contra mundum!

Gdy wstawałem, żeby wyjść na pokład, zauważyłem furgonetkę Audiberta zajeżdżającą pod merostwo. Stare renault 4L pomalowane na jaskrawozielony kolor, które podobno kupił kilka lat wcześniej od jakiegoś kwiaciara...

Zatrzymał się za rzędem zaparkowanych samochodów przed pocztą, żeby wrzucić do skrzynki grubą kopertę. Szybkim krokiem wrócił do furgonetki, ale zanim zasiadł za kierownicą, rzucił długie spojrzenie na prom. Schowałem się za metalowym słupem, mając nadzieję, że mnie nie zauważył. Kiedy wyszedłem z ukrycia, furgonetka znikła już za

rogiem, ale wydawało mi się, że przez gęstą mgłę widziałem jej migające kierunkowskazy. Czyżby samochód stał?

Co robić? Byłem rozdarty. Bałem się, a jednocześnie chciałem zrozumieć, co się dzieje. Poza tym niepokoiłem się o Nathana. Teraz, gdy wiedziałem już, do czego zdolny jest Audibert, czy mogłem zostawić mojego mentora samego? Zabrzmiała syrena przeciwmgielna. Ruszamy! Zdecyduj się! – rozkazałem sobie w myślach. I kiedy odczepiano cumy, zeskoczyłem na drewniany pomost. Nie wolno mi było po prostu uciec. Odpłynięcie oznaczałoby osobistą klęskę i rezygnację ze wszystkiego, w co wierzyłem.

Minąłem promenadę przed budką kapitanatu i skierowałem się w stronę budynku poczty. Wszędzie wciąż wisiała gęsta mgła. Szedłem chodnikiem aż do rue Mortevielle, gdzie skręciła furgonetka Audiberta. Było pusto, biało i wilgotno. Im bardziej zbliżałem się do furgonetki i jej migających przez mgłę świateł, tym mocniej czułem grożące mi niewidzialne niebezpieczeństwo. Gdy zrównałem się z samochodem, zobaczyłem, że za kierownicą nie ma nikogo.

– Czy to mnie szukasz, pismaku?

Odwrociłem się gwałtownie i ujrzałem Audiberta w czarnej pelerynie. Otworzyłem usta, żeby krzyknąć, ale zanim wydałem z siebie jakikolwiek dźwięk, uderzył mnie z całej siły pogrzebaczem. Upadłem. Straciłem przytomność.

4

Lało jak z cebra.

Nathan Fawles, wychodząc pośpiesznie z domu, nie pozamykał drzwi. Gdy wrócił, nie zamknął za sobą bramy. Groźba, która nad nim zawisała, nie bała się barykad.

Wyszedł na taras, żeby zablokować stukającą na wietrze okiennicę. W deszczu i zawierusze Beaumont wyglądała zupełnie inaczej. Z uroczej wyspy na Morzu Śródziemnym zmieniła się w szkocką wyspę podczas sztormu.

Fawles znieruchomiał i przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w odgłos chłodnego deszczu. Wróciły do niego obrazy zamordowanych Verneuillów, torturowanego Karima i egzekucji Apolline. Poza tym te listy, słowa adresowane do ukochanej dwadzieścia lat temu... Roztrzęsiony wspomnieniami, zapłakał. Zawładnęła nim wściekłość, że ominęła go wielka miłość, że porzucił życie, że połała się krew przypadkowych ofiar – nieznanymi statystów, niechcący wmieszanych w cudze sprawy.

Wrócił do domu, żeby się przebrać. Wkładając suche ubranie, poczuł ogromne znużenie, jakby wypłynęła z niego nagle cała krew. Niech to się wreszcie skończy! Ostatnie dwadzieścia lat przeżył niczym samuraj, starając się zmierzyć z egzystencją. Narzucił sobie dyscyplinę, zmusił się do samotności, przygotował się mentalnie na spotkanie ze śmiercią, obojętnie, kiedy miałyby nastąpić.

Był gotów. Wolałby, żeby ostatni rozdział upłynął w spokoju, a nie w burzy i zawierusze, ale trudno. Zaangażował się w wojnę, w której nie ma zwycięzców, są tylko ofiary.

Od dwudziestu lat wiedział, że to wszystko źle się skończy. Prędzej czy później będzie musiał zabić albo zostanie zabity, gdyż taka była natura strasznego sekretu powierzonego mu przez los.

Ale nawet w najstraszniejszych snach nie wyobrażał sobie, że Śmierć będzie miała zielone oczy, złote włosy i śliczną twarz Mathilde Monney.

11

Nokturn

*– Co to jest dobra powieść?
– Trzeba wymyślić osoby, które wzbudzą
miłość i sympatię czytelnika. Potem należy
je uśmiercić. Czytelnik będzie czuł się
skrzywdzony i na zawsze to zapamięta.*

John Irving

1

Odzyskałem przytomność związany z tyłu furgonetki Audiberta. Czulem straszny ból pod czaszką, jakby niewidoczny duch skrobał ją nożem. Cierpiałem katusze. Miałem złamany nos, nie mogłem otworzyć lewego oka i krew lała mi się z rozciętego łuku brwiowego. W panice starałem się uwolnić, ale Audibert porządnie ścisnął mi nadgarstki i kostki u nóg nylonową linką.

– Audibert, niech mnie pan rozwiąże!

– Zamknij mordę, smarkaczu!

Lało tak, że mimo działających wycieraczek przez przednią szybę prawie nic nie było widać. Zorientowałem się, że chyba jedziemy na wschód, w kierunku klifu Safranier.

– Dlaczego pan to robi?

– Mówiłem, żebyś się zamknął!

Byłem spocony, mokry od deszczu, trząsałem się, a serce mi zlodowaciało. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem, mimo to chciałem zrozumieć.

– To pan dostał jako pierwszy zdjęcia z tego starego aparatu fotograficznego, prawda? Nie Mathilde?

– Dostałem je na konto Facebooka księgarni, wyobrażasz sobie? – Audibert roześmiał się drwiąco. – Amerykanin z Alabamy znalazł mnie dzięki pierwszemu zdjęciu, na którym stałem z Mathilde przed księgarnią, kiedy dałem jej ten aparat na szesnaste urodziny!

Zamknąłem oczy, starając się wyobrazić sobie przebieg wydarzeń. Audibert był więc wielkim budowniczym tej spóźnionej zemsty, mającej ukarać morderców jego córki, zięcia i wnuka. Ale nie rozumiałem,

dlaczego wciągnął w tę wendetę wnuczkę. Kiedy spytałem, odwrócił się ku mnie z pianą na ustach i ryknął:

– Myślisz, że nie próbowałem jej ochronić, bęcwale jeden?! Nigdy nie pokazałem jej tych zdjęć. Wysłałem je do Patrice’a Verneuila, jej dziadka od strony ojca.

Nie myślałem za jasno, ale chyba nie natknąłem się na ojca Alexandre’a w moich nocnych poszukiwaniach. Patrice Verneuil, znany inspektor, były szef policji kryminalnej, w momencie tego morderstwa zajmował stanowisko doradcy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Odsunięty od władzy przez Jospina, skończył karierę na szczycie, gdy Sarkozy był ministrem spraw wewnętrznych.

– Patrice i ja jesteśmy złączeni tą samą krzywdą – podjął Audibert, uspokoiwszy się trochę. – Gdy zamordowano Alexandre’a, Sofię i Théo, nasze życie się skończyło. Czy też raczej zaczęło toczyć się bez nas. Żona Patrice’a, załamana, w dwa tysiące drugim roku popełniła samobójstwo. Moja żona Anita do samego końca stawiała czoło nieszczęściu, ale w szpitalu, w chwili śmierci, powtarzała mi jak mantrę żal, że nikt nigdy nie zemścił się na tych, którzy zabili nasze dzieci i wnuka.

Trzymał kurczowo kierownicę i wyglądał, jakby mówił sam do siebie. Słysząc było w jego głosie powstrzymywany gejzer wściekłości, który tylko czeka, żeby wybuchnąć.

– Kiedy dostałem te zdjęcia i pokazałem je Patrice’owi, od razu pomyśleliśmy, że to prezent od Boga... lub diabła... żebyśmy wreszcie mogli dokonać zemsty! Patrice pokazał zdjęcia tych dwóch przestępców wszystkim swoim dawnym kolegom z kryminalnej, a oni prędko ich zidentyfikowali.

Znów zacząłem szarpać rękami, żeby się uwolnić, ale napięta linka wbijała mi się w skórę.

– Oczywiście postanowiliśmy trzymać Mathilde z daleka od wszystkiego – powiedział Audibert. – I podzieliliśmy się robotą. Patrice zajął się Amranim, a ja zwabiłem na wyspę tę Chapuis, podając się za zarządcę posiadłości Gallinarich.

Audibert podniecał się coraz bardziej szczegółami, które mi podawał.

– Wyszedłem po tę pindę na prom. Padało, tak jak dzisiaj. W samochodzie przypieklełem ją porządnie paralizatorem, a potem zniosłem do piwnicy.

Widziałem już, jak bardzo zlekceważyłem Audiberta. Wyglądał jak stary wiejski nauczyciel, a naprawdę był zimnokrwistym mordercą.

Razem z Patrice'em Verneulem postanowili nawet sfilmować swoje przesłuchania, żeby się nimi podzielić.

– Zabiłem ją z przyjemnością! – powiedział. – Ale to była i tak zbyt łagodna kara za cierpienie, które nam zadała.

Cholera, jak ja w ogóle się tu znalazłem? Dlaczego nie posłuchałem Nathana?

– Kiedy ją torturowałem, wymieniła nazwisko Fawlesa.

– Więc pan myśli, że to Fawles zamordował Verneuilów? – spytałem.

– Absolutnie nie! Myślę, że ta pinda wymieniła jego nazwisko trochę przez przypadek, bo przyjechała na wyspę, na której on mieszka. Myślę, że to tych dwoje było sprawcami i że powinni byli zdechnąć w więzieniu. W końcu spotkała ich jednak zasłużona kara. A jeśli mógłbym zabić ich jeszcze raz, zrobiłbym to z prawdziwą przyjemnością.

– W takim razie przecież sprawa jest zamknięta, bo i Apolline, i ten Karim nie żyją!

– Tak, dla mnie to był koniec, ale Patrice był nieustępliwy. Uparł się, żeby osobiście przesłuchać Fawlesa, ale umarł, zanim to zrobił.

– Patrice Verneuil nie żyje?

Audibert zaśmiał się jak szalenciec.

– Tak, zmarł dwa tygodnie temu! Rak żołądka! Ten imbecyl, zanim oddał ostatni dech, wysłał do Mathilde pendrive'a ze zdjęciami z tego aparatu i z nagraniem rezultatu naszego śledztwa!

Elementy zagadki zaczęły układać się w całość, odsłaniając straszliwy scenariusz.

– Mathilde, zobaczywszy zdjęcia z urodzin brata, załamała się. Przez osiemnaście lat odsuwała od siebie wspomnienie, że była w mieszkaniu, gdy mordowano jej rodziców i brata. O wszystkim zapomniała.

– Nie chce mi się w to wierzyć.

– Mam w dupie, co ci się chce! Taka jest prawda. Kiedy przyszła do mnie dziesięć dni temu, była oszalała z rozpacz, żądna zemsty za zamordowaną rodzinę. Patrice powiedział jej, że zwłoki Apolline są schowane w mojej zamrażarce.

– To ona przybiła ciało do tego najstarszego eukaliptusa?

W lusterku wstecznym zobaczyłem, że Audibert kiwa głową.

– W jakim celu?

– Żeby władze zamknęły dostęp do wyspy, idioto! Żeby Fawles nie uciekł i żeby zmusić go do przyznania się do winy.

– Przecież przed chwilą powiedział pan, że Fawles jest niewinny!

– Tak, według mnie, ale ona myśli inaczej. A ja chcę chronić wnuczkę.

– W jaki sposób?

Audibert zamilkł. Zobaczyłem, że przejechaliśmy obok plaży przy Srebrnej Zatoce. Serce zaczęło mi walić jak szalone. Gdzie on mnie, do

cholery, wiezie?

– Widziałem, jak pan wrzuca list do skrzynki. Co to było?

– Ha! Ha! Masz oko, smarkaczu! To moja spowiedź, wysłałem ją do komisariatu w Tulonie. Przyznaję się w niej do tego, że zabiłem Apolline i Fawlesa.

Ach, to dlatego jechaliśmy w kierunku Krzyża Południa! Klif Safranier był już za niecały kilometr. Audibert zamierzał zabić Fawlesa.

– Muszę to zrobić, zanim Mathilde się do niego dobierze – rzucił.

– A co ze mną?

– Z tobą? Ty znalazłeś się w złym miejscu w złym momencie. Będziesz tak zwaną przypadkową ofiarą. Głupie, prawda?

Musiałem coś zrobić, żeby mu przeszkodzić. Związanymi stopami z całej siły kopnąłem w jego fotel. Nie spodziewał się tego. Krzyknął i odwrócił się w chwili, gdy moje drugie kopnięcie dosięgło jego głowy.

– Ty pieprzona cioto! – wrzasnął.

Samochód zrobił gwałtowny skręt. W metalowy dach jak karabin maszynowy uderzał deszcz i w strumieniach wody wyglądaliśmy jak na pokładzie statku, który stracił ster.

– Ja ci pokażę! – ryknął Audibert, sięgając na siedzenie obok po pogrzebacz.

Myślałem, że odzyskał kontrolę nad samochodem, ale chwilę później renault grzmotnęło w murek ochronny i spadło w przepaść.

3

Nie brałem śmierci pod uwagę. Przez kilka sekund, w czasie których spadaliśmy, wciąż myślałem, że lada moment wydarzy się coś, dzięki czemu unikniemy końcowego dramatu. Przecież życie to powieść. Żaden autor nie uśmierci bohatera na osiemdziesiąt stron przed końcem.

Gdy spadaliśmy, nie czułem posmaku śmierci ani strachu. Nie zobaczyłem w przyspieszonym tempie filmu ze swojego życia, w zwolnionym zresztą też nie, tak jak w słynnej scenie wypadku Michela Piccoli w *Okruchach życia*.

Niemniej przypomniało mi się coś dziwnego. Coś, co niedawno wyznał mi ojciec. Zrobił to nagle i niespodziewanie. Powiedział mi, jak bardzo pełne blasku – dokładnie tak powiedział – było jego życie, gdy byłem dzieckiem. Kiedy byłeś mały, robiliśmy razem mnóstwo rzeczy! – wspominał. To prawda. Pamiętam nasze spacerunki po lesie, wizyty w muzeach, w teatrze, pamiętam wspólne majsterkowanie, sklejailiśmy różne makiety... Ale nie tylko. Co rano, gdy odprowadzał mnie do szkoły, zawsze mnie czegoś uczył. Mogło to być coś z historii, jakaś anegdota ze

świata sztuki, zasada gramatyki, lekcja życia. Wciąż jeszcze go słyszę, jak mówi...

Kontemplując niebo na Lazurowym Wybrzeżu, Yves Klein wpadł na pomysł swojego niebieskiego koloru, tego najczystszej, nazwanego potem: International Klein Blue.

Znak matematyczny – kropka nad kreską oraz pod nią jako znak dzielenia – nazywa się *obelus*.

Na wiosnę tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, kilka miesięcy przed swoją egzekucją, Ludwik XVI wpadł na pomysł, żeby zastąpić proste ostrze w gilotynie ostrzem skośnym, w celu polepszenia jego skuteczności.

Najdłuższe zdanie w powieści pod tytułem *W poszukiwaniu straconego czasu* ma osiemset pięćdziesiąt sześć słów, najsłynniejsze – osiem (*Longtemps, je me suis couché de bonne heure*⁴), najkrótsze – dwa (*Il regarda*⁵), najpiękniejsze – dwanaście (*On n'aime que ce qu'on ne possède pas tout entier*⁶).

To Victor Hugo wprowadził słowo *pieuvre*⁷ do języka francuskiego, po raz pierwszy używając go w swojej powieści *Pracownicy morza*.

Suma dwóch całkowitych liczb następujących jedna po drugiej równa się różnicy ich kwadratów. Przykład: $6 + 7 = 13$
 $= 7^2 - 6^2$

Było wówczas wesoło, ale trochę wyjątkowo, i myślę, że to, czego się wtedy dowiedziałem, wryło się na zawsze w moją pamięć. Któregoś dnia – musiałem mieć jakieś jedenaście lat – ojciec oznajmił z głębokim smutkiem, że przekazał mi prawie całą swoją wiedzę i że reszty dowiem się z książek. W tamtej chwili mu nie uwierzyłem, ale dość szybko nasze stosunki się rozluźniły.

Zmorą mojego ojca był strach przed utraceniem mnie – bał się, że wpadnę pod samochód, że zachoruję, że jakiś zboczeniec mnie porwie, kiedy będę się bawił w parku... Ale w końcu to właśnie książki mnie od niego oddzieliły. Książki, których zasługi tak przede mną wychwalał.

Nie rozumiałem tego od razu, ale książki nie zawsze oznaczają emancypację, mogą też oznaczać rozstanie. Burzą mury, to prawda, ale również je wznoszą. Częściej, niżby się wydawało, ranią, łamią i zabijają. Książki są złudzeniem optycznym. Tak jak złudzeniem optycznym była śliczna buzia Joanny Pawłowski, trzeciej na podium w konkursie Miss Île-de-France 2014.

Zanim samochód walnął w ziemię, dotarło do mnie jeszcze jedno wspomnienie. Były ranki, kiedy ze strachu, że spóźnię się do szkoły, ostatnie dwieście metrów pokonywaliśmy biegiem. „Widzisz, Rafa – powiedział mi kilka miesięcy temu, wkładając do ust papierosa, którego zawsze wypalał do samego filtra. – Kiedy myślę o tobie, za każdym razem widzę tę samą scenę. Jest wiosna, masz pięć, może sześć lat, świeci słońce i pada deszcz. Biegniemy w deszczu, żebyś nie spóźnił się do szkoły. Biegniemy, trzymając się za ręce, przez zasłonę błyszczących kropli. To światło, które miałeś zawsze w oczach... Te wybuchy śmiechu... Doskonałość życia”.

12

Zmienne oblicze

Trudno powiedzieć prawdę, gdyż mimo że jest jedna, żyje, a więc ma zmienne oblicze.

Franz Kafka

1

Gdy Mathilde zjawiała się u Fawlesa, miała ze sobą strzelbę. Mokre włosy, twarz bez makijażu, widać było, że nie spała w nocy. Zrezygnowała z sukienek w kwiaty, miała na sobie podarte dżinsy i myśliwską pikowaną wiatrówkę z kapturem.

– Koniec zabawy, Nathanie! – rzuciła, wchodząc do salonu.

Fawles siedział przy stole, przed nim stał laptop Grégoire'a Audiberta.

– Może i tak – odrzekł spokojnie. – Ale nie tylko ty ustalasz jej reguły.

– To ja przybiłam ciało tej Chapuis do drzewa.

– Po co to zrobiłaś?

– Musiałam wyreżyserować tę scenę, żeby zmusić władze do zamknięcia dostępu na wyspę, bo inaczej by pan uciekł.

– Dlaczego miałbym uciekać?

– Żebym nie mogła pana zabić. Żeby nasza mała tajemnica nie rozprzestrzeniła się na cały świat.

– Co do małej tajemnicy, dobrze jej strzeżesz! – rzucił Fawles, odwracając laptop w jej kierunku. Na ekranie były zdjęcia z urodzin brata Mathilde. – Wszyscy myśleli, że córka Verneuilów była w Normandii, przygotowując się do matury z koleżanką. Tymczasem nie! Ty również byłaś na miejscu zbrodni. Życie z taką tajemnicą nie może być łatwe, prawda?

Mathilde, przykro zaskoczona, usiadła przy stole i położyła strzelbę obok siebie.

– Tak, nie może być łatwe, ale nie z powodów, o których pan myśli.

– Może mi wyjaśnisz, w takim razie...

– Na początku czerwca pojechałam z moją koleżanką Iris do Honfleur, gdzie jej rodzice mają domek letniskowy. Miałyśmy przygotowywać się do matury. Rodzice czasem dołączali do nas

w weekendy, ale w tygodniu byliśmy tam same. Pracowałyśmy bardzo intensywnie i jedenastego czerwca zaproponowałam Iris przerwę.

– Chciałaś wrócić do domu na urodziny brata, tak?

– Tak. Od kilku miesięcy miałam wrażenie, że Théo bardzo się zmienił. Wcześniej radosny, pełen życia, często był teraz smutny, niespokojny, chodziły mu po głowie ponure myśli. Chciałam mu udowodnić, że bardzo go kocham i że pomogę mu, gdyby miał kłopoty.

Spokojny głos Mathilde dowodził, że dziewczyna starała się dotrzeć do prawdy, analizując, oprócz swojej, wszystkie znane jej wersje wydarzeń.

– Iris powiedziała, że jeśli wracam na cały dzień do Paryża, ona w tym czasie odwiedzi kuzynki w Normandii. Uprzedziłam rodziców i poprosiłam, żeby nic nie mówili Théo, to miała być niespodzianka. Pojechałam z Iris autobusem do Hawru i stamtąd wzięłam pociąg na dworzec Saint-Lazare. Słońce mocno świeciło. Poszłam pieszo Champs-Élysées, żeby znaleźć jakiś prezent dla Théo, coś, co by mu naprawdę sprawiło przyjemność. W końcu kupiłam mu koszulkę francuskiej drużyny piłki nożnej. Do szesnastej dzielnicy pojechałam metrem, linią numer dziewięć; wysiadłam na stacji La Murette. Była prawie szósta. Mieszkanie było puste. Mama miała wrócić z Sologne z Théo, a ojciec był pewnie, jak zwykle, w biurze. Zadzwoiłam do mamy, proponując jej, że sama odbiorę zamówione przez nią posiłek i ciasto.

Fawles z kamienną twarzą słuchał Mathilde, gdy odtwarzała przed nim przebieg tego dramatycznego wieczoru. Przez dwadzieścia lat zdawało mu się, że tylko on ma klucz do tej zagadki, tymczasem dziś okazało się, że nie.

– Urodziny bardzo się udały – ciągnęła Mathilde. – Théo był szczęśliwy, a o to głównie mi chodziło. Czy ma pan braci lub siostry, Fawles?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, jak dalej ułożyłyby się stosunki między nami, ale w tamtej chwili Théo uwielbiał mnie i z wzajemnością. Czułam, że jest wrażliwy i że moją misją jest chronienie go. Po meczu świętowaliśmy wygraną i Théo zasnął na kanapie. Około jedenastej odprowadziłam go w połowie śpiącego do sypialni i otuliłam kołdrą, jak to czasem robiłam przed pójściem do swego pokoju. Ja również byłam zmęczona. Położyłam się z książką. Niewyraźnie słyszałam rodziców rozmawiających w kuchni, potem ojciec zadzwonił do dziadka pogadać o meczu. Zapadłam w sen nad *Szkołą uczuć* Flauberta.

Mathilde umilkła. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko deszcz uderzający w szyby i trzask polan w kominku. Dalsze opowiadanie najwyraźniej sprawiało jej trud, ale nie było tu miejsca na wstyd czy

zwłokę. Resztę wyrzuciła z siebie jednym tchem. To już nie był dialog, ale skok w przepaść, z którego rzadko wychodzi się cało.

2

– Zasnęłam przy Flaubercie, obudziłam się w *Mechanicznej pomarańczy*. Wystrzał zatrzęsł całym domem. Na moim budziku była dwudziesta trzecia czterdzieści siedem. Nie spałam głęboko, ale było to najgorsze przebudzenie, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Czułam niebezpieczeństwo, ale wyszłam bosą z pokoju. W korytarzu zobaczyłam ojca martwego, zlanego krwią. Było to coś strasznego. Ktoś strzelił mu prosto w twarz. Na ścianie rozbryzgnęły się kawałki mózgu i krew, pełno krwi. Nie zdążyłam nawet krzyknąć, kiedy usłyszałam drugi wystrzał i moja mama upadła w drzwiach do kuchni. Sparaliżowało mnie ze strachu, byłam u progu szaleństwa.

W takiej sytuacji mózg zaczyna działać wbrew wszelkiej logice. Jednym susem znalazłam się z powrotem u siebie w pokoju. Już zamykałam drzwi, gdy przypomniałam sobie o Théo... Odwróciłam się, usłyszałam kolejny wystrzał i ciało mego brata, któremu strzelono w plecy, prawie wpadło mi w ramiona.

Schowałam się pod łóżkiem. W pokoju było ciemno, ale drzwi pozostały otwarte. Na progu leżało ciało mojego brata w zakrwawionej klubowej koszulce.

Zamknęłam oczy. Zaciśnęłam wargi. Zatkanam sobie uszy. Nie widzieć, nie krzyczeć, nie słyszeć. Nie wiem, ile czasu tak leżałam. Trzydzieści sekund? Dwie minuty? Pięć? Kiedy otworzyłam oczy, w pokoju był jakiś facet. Widziałam tylko jego buty: były to brązowe skórzane sztyblety z gumką z boku. Przez chwilę stał nieruchomo. Nie szukał mnie. Wywnioskowałam z tego, że nie wiedział o mojej obecności. Potem odwrócił się i wyszedł. Byłam jak sparaliżowana, nie mogłam się ruszyć. Z odrętwienia wyrwała mnie policyjna syrena. Miałam klucz na dach i tamtędy uciekłam. Do dziś nie rozumiem, dlaczego tak się zachowałam. Po przyjeździe policji powinnam przecież poczuć się bezpieczna, a tymczasem stało się na odwrót.

Potem już niewiele pamiętam. Myślę, że robiłam wszystko mechanicznie. Była noc, doszłam do dworca Saint-Lazare i wsiadłam w pierwszy pociąg do Honfleur. Kiedy dotarłam na miejsce, Iris nie było. Gdy wróciła, opowiedziałam jej jakąś bajkę, że niby gdy wyjechała, dostałam migreny i nie pojechałam do Paryża tak, jak było przewidziane. Uwierzyła mi, tym bardziej że wyglądałam jak ciężko chora, wezwała nawet lekarza. Lekarz zjawił się przed południem,

w momencie gdy zapukała do drzwi policja z Hawru. Towarzyszył im mój dziadek, Patrice Verneuil. To on zawiadomił mnie oficjalnie o tej zbrodni. Mój mózg postanowił się wyłączyć i straciłam przytomność.

Obudziłam się dwa dni później i nie pamiętałam nic z tego urodzinowego wieczoru. Naprawdę myślałam, że rodzice i Théo zostali zamordowani podczas mojej nieobecności. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak było. Moja amnezja trwała osiemnaście lat. Była to prawdopodobnie reakcja obronna organizmu. Pozwoliła mi na powrót do życia. Już przedtem cały czas byłam zestresowana, ta dodatkowa trauma spowodowała blokadę jakiejś części mózgu. Jakby moja pamięć oddzieliła się od emocji. Potem cały czas czułam, że coś nie gra, kładłam to jednak na karb urazu po utracie rodziny. Wepchnęłam to wspomnienie w najdalszy zakątek pamięci, było niewidzialne, mimo to gniło we mnie i ciążyło.

Wszystko wróciło do mnie nagle dwa tygodnie temu, gdy zmarł mój dziadek. Przed śmiercią wysłał do mnie wielką kopertę zawierającą list, w którym wyrażał swoje głębokie przekonanie, że pan jest prawdziwym winnym tego, co stało się tego wieczoru. Był wściekły, że dopadł go rak i umiera, nie zdążywszy pana zabić. W kopercie był również pendrive z nagraniami z przesłuchań Chapuis i Amraniego oraz wszystkie zdjęcia z aparatu zgubionego przez nich na Hawajach. Kiedy na fotografiach z urodzin Théo zobaczyłam siebie, mój mózg się odblokował i wspomnienia uderzyły we mnie jak wybuch gejzeru. Pamięć wracała falami, a wraz z nią dopadły mnie poczucie winy, wściekłość, wstyd. Nie mogłam się od tego uwolnić. Było tak, jakby puściła nagle wielka tama i zalała dolinę, w której żyłam.

Miałam ochotę wycić, zniknąć, zaczęłam wszystko analizować, całą przeszłość, ale to nie przyniosło mi ulgi. Ten wewnętrzny wybuch, który pchnął mnie w koszmar, okazał się straszny. Obrazy, dźwięki i zapachy, które wracały do mnie, były tak dokładne, tak sugestywne, że miałam wrażenie, że przeżywam całą scenę ponownie, ale do dziesiątej potęgi: ogłuszające dźwięki wystrzałów, lejąca się krew, krzyki, szczątki mózgu na ścianie, Théo padający na podłogę tuż przede mną, cały we krwi. Czym zawiniłam, że los każe mi przeżywać to piekło po raz drugi?

3

Ange Agostini przewijał Livię, swoją córeczkę, narażając się na obsuszenie (co się zresztą stało); starał się jednak zachować kamienny spokój. Już miał położyć ją z powrotem do łóżka, gdy zadzwoniła komórka. Dzwonił Jacques Bartoletti, aptekarz z wyspy, żeby

zawiadomić go o wypadku, którego był świadkiem. Wczesnym rankiem, korzystając z faktu, że blokada wyspy została zniesiona, wybrał się swoim stateczkiem na ryby; miał nadzieję złowić seriole, makrele i dorady, ale deszcz i wiatr przygnały go z powrotem na brzeg. Kiedy mijał wysoką stromą skałę, zauważył samochód, który wypadł z drogi i runął w przepaść. Przeraził się i natychmiast zawiadomił straż przybrzeżną. Teraz dzwonił dowiedzieć się, co się stało.

Ange odpowiedział mu, zgodnie z prawdą, że nic nie wie o wypadku. Livii w tym czasie porządnie odbiło się mlekiem na czystą koszulkę, która i tak już śmierdziała siuškami. Od razu zatelefonował na posterunek, żeby się upewnić, że straż miejska została zawiadomiona. Ale ani telefon stacjonarny, ani komórka pułkownika Benhassiego, szefa straży, nie odpowiadały. Zaniepokojony, postanowił osobiście udać się na miejsce wypadku. Co prawda warunki miał trudne. Był to tydzień jego dyżuru w domu i na horyzoncie już zbierały się chmury. Lucca, jego synek, dostał anginy i leżał w łóżku. Pogoda była okropna, drogi – niebezpieczne...

A, cholera! – zaklął w myślach i budząc Luccę, pomógł mu wciągnąć na siebie ciepłe ubranie. Z córką i synem na rękach – te smarkacze ważą tonę! – Ange wyszedł z domu, kierując się do garażu. Luccę posadził na tylnym siedzeniu trójkołowego skutera, przymocował budę i przyczepił fotelik Livii na siedzeniu pasażera. Szczyt Safranier, na samym końcu wyspy, był oddalony o trzy kilometry od jego domu, prowansalskiej willi, którą zbudował na terenie odziedziczonym po rodzicach, a którą jego była żona, Pauline, uważała za zbyt małą, stojącą zbyt nisko i ciemną.

– No, dzieciaki, ruszamy, będziemy jechali powoli! – oznajmił.

W lusterku wstecznym zobaczył, jak synek wyciąga kciuk w górę. Skuter z trudem wspiał się po krętej dróżce prowadzącej do Strada Principale. Z powodu ulewy było ślisko i pojazd miał kłopoty na stromych podjazdach, Ange bał się o dzieci. Co też mu przyszło do głowy, żeby tak ryzykować? Westchnął z ulgą, znalazłszy się na głównej drodze. Ale burza wznowiła atak. Ange zawsze bał się burz. Wyspa, zwykle tak gościnna, podczas burzy ujawniała swoje złowróżbne, gniewne oblicze, tak jak ludzie, gdy przebudzi się mroczną stroną ich duszy.

Trójkołowy pojazd zarzucało na boki, deszcz uderzał gwałtownie o szyby. Livia płakała, a z tyłu Lucca też chyba musiał się bać. Minęli plażę przy Srebrnej Zatoce i za zakrętem zagroziła im drogę złamana przez wichurę gałąź sosny. Ange zjechał na pobocze i dał znak synkowi, żeby zajął się siostrzyczką, kiedy on będzie odsuwał przeszkodę.

Wyszedł na ulowę i z trudem odciągnął wielką gałąź. Oczyszczył drogę z drobnych gałązek. Już wsiadał z powrotem, kiedy pięćdziesiąt metrów dalej, przed wjazdem na Ścieżkę Przyrodników, zauważył wóz strażacki.

Podjechał bliżej, nakazał Luce siedzieć spokojnie i podbiegł do strażaków. Był w oplakanyim stanie, przemoczony do suchej nitki, woda spływała mu po plecach. W dole zauważył rozbite auto. Nie poznał go.

Z mgły wynurzył się podpułkownik Najib Benhassi, dowódca oddziału strażaków.

– Cześć, Ange! – rzucił.

Uścisnęli sobie ręce.

– To samochód naszego księgarza – powiedział Benhassi, wyprzedzając pytanie Ange’a.

– Grégoire’a Audiberta?

– Tak – przytaknęła Benhassi. – Nie jechał sam, był z nim ten chłopak, który u niego pracował.

– Raphaël?

– Raphaël Bataille... – potwierdził Benhassi, zaglądając do notatek.

Milczał przez chwilę, po czym wskazał ręką na swoją ekipę.

– Właśnie ich wyciągają. Obaj nie żyją.

Biedny chłopak, pomyślał Ange, zszokowany tym nagłym zetknięciem z kolejną śmiercią, właśnie wtedy, gdy blokada wyspy zaczęła się rozluźniać. Spojrzeli na siebie. Ange zauważył niepewność w oczach strażaka.

– O czym myślisz, Najib?

Najib milczał.

– Jest w tym coś dziwnego – rzucił po chwili, wyraźnie zbity z tropu. – Chłopak ma związane stopy i dłonie.

– Związane stopy i dłonie? Czym?

– Plastikową opaską zaciskową.

4

Na dworze szalała burza. Mathilde skończyła swoją opowieść i zamilkła. Po chwili znów wycelowała strzelbę w Fawlesa. Ten wstał i podszedł do przeszkłonych drzwi na taras. Splótł ręce na plecach i wbił wzrok w sosny miotane nawałnicą. Drzewa wyglądały, jakby gięły się z bólu. Po jakimś czasie odwrócił się do Mathilde i spokojnie spytał:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, ty również myślisz, że to ja zabiłem twoich rodziców i brata?

– Apolline nie miała wątpliwości, że to pan był wtedy na parkingu. A ja wyraźnie widziałam pana buty spod łóżka. Tak, myślę, że to pan ich zabił.

Fawles nie protestował, zamyślił się.

– Jaki miałbym powód? – spytał w końcu.

– Powód? Był pan kochankiem mojej matki!

Fawles popatrzył na nią zdumiony.

– To absurd! W ogóle nie znałem twojej matki.

– Ale pisał pan do niej listy! Listy, które zresztą do pana wróciły! – Mathilde wymierzyła strzelbę w stosik związanej wstążeczką korespondencji, która leżała na stole.

– A ja chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób w ogóle te listy trafiły do twoich rąk?! – wykrzyknął Fawles.

Mathilde wróciła do sprawozdania z budzącego grozę wieczoru, którego wypadki tragicznie wpłynęły na losy tylu osób.

– Wieczorem jedenastego czerwca dwutysięcznego roku przebierałam się na przyjęcie urodzinowe. W szafie znalazłam idealną na tę okazję letnią sukienkę, ale nie miałam do niej butów. Poszłam więc, co mi się czasem zdarzało, przeszukać szafę mamy, która miała ponad sto par butów. Tam, w tekturowym pudełku, znalazłam te listy. Zajrzałam do nich i zatkało mnie. Najpierw doznałam szoku na myśl, że mama ma kochankę, a potem zaczęłam być zazdrosna o uczucie, które pchnęło autora listów do stworzenia tak poetyckich i namiętnych tekstów.

– I przez dwadzieścia lat trzymałaś te listy u siebie?

– Chciałam je sobie dokładnie przeczytać, przyniosłam je w torebce do swojego pokoju, chciałam zająć się nimi później, kiedy będę sama w domu, a potem odłożyć je na miejsce. Ale okoliczności to uniemożliwiły. Po tym wszystkim zapomniałam o nich. Mój dziadek ze strony ojca, u którego mieszkalam po tym, jak moja rodzina została zamordowana, musiał je gdzieś odłożyć, tak jak i mnóstwo innych rzeczy, które mogły mi przypomnieć ten wieczór. Ale on o nich nie zapomniał i szybko skojarzył je sobie z panem, zwłaszcza po zeznaniach wyciągniętych z Apolline. Wysłał je do mnie razem z pendrive'em. Listy pisane są pana ręką i podpisane pana imieniem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Tak, to ja je pisałem, ale dlaczego myślisz, że adresatką była twoja matka?

– Zwraca się pan do niej „S”. Moja matka miała na imię Sofia i listy znalezione zostały w jej sypialni. To chyba wystarczający dowód?

Fawles milczał.

– Po co tu właściwie przyszłaś? Żeby mnie zabić? – spytał po chwili.

– Nie od razu. Najpierw chciałam dać panu prezent.

Pogrzebała w kieszeni, wyjęła okrągły przedmiot i położyła go z hałasem na stole. Fawles myślał, że to czarna taśma klejąca, zanim zorientował się, że to taśma do jego starej Olivetti.

Mathilde podeszła do półki, zdjęła maszynę do pisania i postawiła ją na stole.

– Żądam pana dokładnych zeznań, Fawles! – powiedziała podniesionym głosem.

– Zeznań?

– Zanim pana zabiję, chcę mieć dowód na piśmie.

– Dowód na piśmie? Czego?

– Chcę, żeby cały świat się dowiedział, co pan zrobił. Wszyscy mają wiedzieć, że wielki Nathan Fawles jest zwykłym mordercą. Już ja się postaram, żeby ściągnięto pana z piedestału.

Fawles popatrzył na maszynę do pisania, potem na Mathilde.

– Nawet jeśli jestem mordercą, nie uda ci się zniszczyć mojego dorobku pisarskiego.

– Tak, wiem, to obecnie bardzo modne, oddzielanie artysty od człowieka. Faktycznie zrobił świństwo, mówią ludzie, ale to taki genialny artysta! Niestety, do mnie to nie przemawia.

– To długa dyskusja, ale nawet jeśli zabijesz artystę, nie uda ci się zabić jego twórczości.

– Wydawało mi się, że kiedyś pan powiedział, że pana książki są bardzo przeceniane.

– Nie o tym mówimy. I w głębi serca wiesz, że mam rację.

– W głębi serca wiem, że marzę, by posłać panu kulę w łeb! – wycodziła i uderzyła go w krzyż kolbą, zmuszając, żeby usiadł.

Fawles opadł na krzesło, zaciskając zęby.

– Myślisz, że tak łatwo zabić człowieka? Myślisz, że te twoje niby dowody dają ci prawo, żeby odebrać mi życie? Ot tak, dla własnej przyjemności?

– Nie. To prawda, ma pan prawo się bronić. Dlatego daję panu możliwość bycia swoim własnym adwokatem. Tak pan lubił powtarzać w wywiadach, że od dzieciństwa pańską jedyną bronią był stary obgryziony długopis i blok w kratkę. A więc ma pan teraz maszynę, papier i pół godziny.

– Czego dokładnie chcesz?

Mathilde straciła cierpliwość. Przyłożyła lufę do skroni Fawlesa.

– Chcę prawdy! – ryknęła.

Zachował spokój.

– Wydaje ci się, że ta prawda pozwoli ci zapomnieć o przeszłości, że uwolni cię od cierpienia i pozwoli zacząć życie od zera? – powiedział prowokująco. – Przykro mi, ale to złudzenie.

– Sama o tym zdecyduję.

– Prawda nie istnieje, Mathilde! Czy też istnieje, ale żyje i ciągle się zmienia.

– Mam po dziurki w nosie tej pańskiej elokwencji, Fawles.

– Chcesz czy nie, świat nie jest czarny albo biały, żyjemy w szarej strefie, w której najwspanialszy człowiek jest w stanie popełnić

najgorsze czyny. Dlaczego się na to narażasz? Nie zniesiesz prawdy. To będzie jak wylanie kwasu na niezagojoną ranę.

– Nie potrzebuję żadnej opieki, a w każdym razie nie pańskiej! – zawołała Mathilde. – Do pracy. I to już! Proszę napisać własną wersję, fakty, tylko fakty, bez poezji, bez dygresji, bez przesady. Ma pan pół godziny.

– Nie, ja...

Ale drugi cios kolbą spowodował, że Fawles skapitulował. Skrzywił się z bólu i powoli założył taśmę.

W sumie, gdyby miał dziś umrzeć, to niech choć nastąpi to, kiedy będzie siedział przy maszynie do pisania; tu był na swoim miejscu, tu zawsze czuł się najmniej źle. Uratować skórę, wystukując litery na klawiaturze, to było wyzwanie, które mógł podjąć.

Żeby się rozgrzać, napisał pierwszą lepszą myśl, która przyszła mu do głowy. Było to zdanie Georges'a Simenona, jednego z jego mistrzów. Wydawało mu się, że pasuje do sytuacji.

Jakże inne jest życie, gdy się je przeżywa, niż gdy się je wspomina.

Minęło dwadzieścia lat, od kiedy po raz ostatni siedział przy tej maszynie. Stukot klawiatury przyprawił go o dreszcze. Oczywiście brakowało mu tego, ale to nie była jego wina. Czasem wola nie wystarczy, jeśli nie jest poparta zimnym dotykiem lufy na skroni.

Spotkałem Soizic Le Garrec wiosną 1996 roku w samolocie, na trasie Nowy Jork–Paryż. Siedziała obok mnie, przy oknie, zagłębiona w lekturze jednej z moich powieści...

No i zaczęło się... Zawahał się i popatrzył na Mathilde wzrokiem, który oznaczał: jeszcze czas się wycofać, nie odbezpieczać granatu, który wybuchnie nam prosto w twarz i zabije nas oboje...

Ale spojrzenie Mathilde odpowiedziało jednoznacznie: A rzucaj sobie swój granat, Fawles, oblewaj nas kwasem, mam to gdzieś.

13

Miss Sarajewo

*Jakże inne jest życie, gdy się je przeżywa,
niż gdy się je wspomina.*

Georges Simenon

Spotkałem Soizic Le Garrec wiosną 1996 roku w samolocie, na trasie Nowy Jork–Paryż. Siedziała obok mnie, przy oknie, zagłębiona w lekturze *Amerykańskiego miasteczka*, mojej ostatniej książki; musiała kupić ją na lotnisku. Nie przedstawiłem się, tylko spytałem, czy podoba jej się to, co czyta. Minęła już setną stronę. I tu, pośród chmur, odpowiedziała mi ze spokojem, że nie, wcale jej się to nie podoba i kompletnie nie rozumie, dlaczego wszyscy zachwycają się tym autorem. Powiedziałem, że bądź co bądź, Nathan Fawles dostał Nagrodę Pulitzera, na co odrzekła, że nie uważa nagród za istotną wartość i że ich reklama, te papierowe opaski z triumfującymi obwieszczeniami, oszpeca okładkę, i że to pułapka dla jeleni. Żeby zrobić na niej wrażenie, zacytowałem Bergsona („Przeważnie nie widzimy danej rzeczy, jaką jest naprawdę, zadowolamy się informacją z etykiетки”). Ale jakoś nie zrobiło to na niej wrażenia.

Wreszcie nie wytrzymałem i przyznałem się, że jestem Nathanem Fawlesem. To też jej nie ruszyło. Mimo trudnego wstępu, rozgadaliśmy się i przez całe sześć godzin lotu usta nam się nie zamykały. Czy też raczej to ja swoimi natrętnymi pytaniami wciąż odrywałem ją od lektury.

Soizic była trzydziestoletnią lekarką. Ja miałem wówczas trzydzieści dwa lata. Zaczęła opowiadać mi to i owo o sobie. W 1992 roku, po ukończeniu studiów, pojechała do Bośni za swoim ówczesnym chłopakiem, kamerzystą francuskiej telewizji Antenne 2. Był to początek tego, co później przedstawiano jako najdłuższy morderczy konflikt współczesnych wojen – początek męczeńskiego oblężenia Sarajewa. Po kilku tygodniach facet wrócił do Francji, czy też został wysłany do filmowania innych konfliktów. Soizic została w Sarajewie. Zaczęła pracować dla organizacji humanitarnych obecnych na miejscu. Przez cztery lata uczestniczyła w udręce i cierpieniu trzystu pięćdziesięciu tysięcy Bośniaków, służąc oblężonemu miastu swymi kompetencjami.

Nie będę ci tu robił wykładu z geopolityki, ale jeśli chcesz cokolwiek pojąć z tej opowieści, z moich dziejów i w związku z tym z dziejów twojej rodziny, musisz uświadomić sobie, jak bardzo inaczej wszystko wyglądało w tamtych czasach, w okresie rozpadu Jugosławii po upadku muru berlińskiego i rozpadzie ZSRR. Po drugiej wojnie światowej dawne Królestwo Jugosławii zostało zjednoczone przez marszałka Tito, który ustanowił komunistyczny związek sześciu państw bałkańskich: Słowenii, Chorwacji, Czarnogóry, Bośni, Macedonii i Serbii. Gdy upadła komuna, na Bałkanach odrodził się nacjonalizm. Sytuacja polityczna była bardzo napięta i w pewnym momencie pojawił się tak zwany silny Serb, Slobodan Milošević, ze swoim pomysłem odrodzenia Wielkiej Serbii, która skupiłaby na swoim terytorium wszystkie serbskie mniejszości. Jedne po drugich, Słowenia, Chorwacja, Bośnia i Macedonia, zażądały niezawisłości, co pociągnęło za sobą serię morderczych konfliktów. Wojna w Bośni, ze swymi czystkami etnicznymi i przy bezsilności ONZ, była prawdziwą rzezią, podczas której zamordowano bestialsko ponad sto tysięcy ludzi.

Kiedy poznałem Soizic, była naznaczona męczeństwem Sarajewa, dosłownie i w przenośni. Cztery lata terroru, nieprzerwanych bombardowań, głodu, zimna, cztery lata świszczącego w uszach odgłosu kul snajperskich, operacji wykonywanych często bez znieczulenia. Soizic należała do ludzi głęboko angażujących się w konflikty światowe. To ją nadwerżyło. Ludzka nędza, jeśli bierze się ją zbyt mocno do serca, może cię zniszczyć.

*

Była siódma rano, gdy wylądowaliśmy na przygnębiająco szarym Roissy. Pożegnaliśmy się i stanąłem w kolejce do taksówki. Wszystko doprowadzało mnie do rozpacz: perspektywa, że jej więcej nie zobaczę, lodowaty wilgotny poranek, ciężkie brudne chmury na niebie, które nagle wydały mi się jedynym horyzontem mego życia. Ale jakaś wewnętrzna siła zmusiła mnie do działania. Czy znasz grecki koncept *kairos*? *Kairos* to decydująca chwila, której nie wolno przegapić. W życiu każdego, nawet najgorszym, przynajmniej raz niebo daje szansę, żeby zmienić swój los. *Kairos* to umiejętność uchwycenia dłoni, którą życie do ciebie wyciąga. To przeważnie mgnienie oka. W życiu nic nie wraca. Tamtego ranka wiedziałem, że nadeszła moja chwila. Wyszedłem z kolejki do taksówki i zacząłem szukać Soizic. Znalazłem ją, czekała na autobus. Oznajmiłem, że jestem zaproszony na wieczór autorski na jednej z wysp Morza Śródziemnego, i zaproponowałem, żeby mi towarzyszyła. Czasem *kairos* zdarza się dwóm osobom w tym samym

czasie. Soizic zgodziła się bez wahania i jeszcze tego samego dnia udaliśmy się na wyspę Beaumont.

Zostaliśmy na wyspie dwa tygodnie, zakochując się w niej i w sobie. Był to moment poza czasem, rzadki prezent od cholernego losu, który niekiedy omamia człowieka perspektywą szczęścia. Deszcz drobnych, migotliwych pereł. W przyptywie szaleństwa utopiłem dziesięć lat praw autorskich, zakupując Krzyż Południa. Widziałem nas wiodących szczęśliwe życie, wychowujących dzieci w tym idealnym miejscu. Oraz mnie piszącego tam moje kolejne powieści.

Myliłem się.

*

Przez następne dwa lata żyliśmy w doskonałej harmonii, choć nie zawsze razem. Wspólne dni spędzaliśmy w Bretanii, gdzie urodziła się Soizic i gdzie mieszkała jej rodzina, oraz w Krzyżu Południa. Szczęśliwy z powodu tej nowej miłości, zacząłem pisać powieść pod tytułem *Niezwyciężone lato*. Resztę czasu Soizic spędzała w terenie. Wróciła na swoje ukochane Bałkany, gdzie pracowała dla Czerwonego Krzyża.

Niestety, Bałkany były wciąż niespokojne. W 1998 roku wybuchła wojna w Kosowie. Przepraszam cię za te lekcje, ale są konieczne, żeby zrozumieć, co się naprawdę stało. Teren, na którym leży Kosowo, to niezależna prowincja Serbii zamieszкана w większości przez Albańczyków. Od 1980 roku Milošević zaczął ograniczać tę niezależność, a wkrótce Serbia rozpoczęła próby zagarnięcia dla siebie całego terytorium, umieszczając na nim ludność serbską.

Część ludności zamieszkującej Kosowo została wydalona poza jego granice. Zorganizował się ruch oporu, najpierw pacyfistyczny pod przewodnictwem Ibrahima Rugovy, Gandhiego Bałkanów, znanego z pogardy dla przemocy; potem zmienił się w ruch zbrojny, gdy powstała Armia Wyzwolenia Kosowa, słynna UCK, której baza mieściła się w Albanii, gdzie korzystając z upadku reżimu, zrabowała uzbrojenie tamtejszych wojsk.

Podczas tej wojny w Kosowie, pod sam koniec grudnia 1998 roku, Soizic została zabita. Według raportu, który francuskie MSW wysłało do jej rodziców, zginęła w zasadzce, gdy towarzyszyła angielskiemu fotografowi wojennemu, który pracował nad reportażem jakieś trzydzieści kilometrów od Pristiny. Jej ciało zostało sprowadzone do Francji i trzydziestego pierwszego grudnia pochowano ją na bretońskim cmentarzyku w Sainte-Marine.

*

Śmierć ukochanej zniszczyła mnie. Przez pół roku żyłem w odosobnieniu, pijąc i zażywając różne leki. W czerwcu 1999 roku oznajmiłem, że przestaję pisać, nie chciałem, żeby czegokolwiek ode mnie oczekiwano.

Świat jednak dalej się kręcił. Na wiosnę 1999 roku, po bardzo długim okresie niezdecydowania, ONZ postanowiło interweniować w Kosowie, co przełożyło się na masowe bombardowania. Gdy nadeszło kolejne lato, serbska armia wycofała się, a Kosowo uzyskało status międzynarodowego protektoratu zarządzanego przez ONZ. Wojna domowa zebrała żniwo piętnastu tysięcy ofiar w ludziach i tysięcy zaginionych. Dużą część stanowiła ludność cywilna. To wszystko działo się o dwie godziny lotu samolotem od Paryża.

*

Gdy nadeszła jesień, postanowiłem wybrać się na Bałkany. Najpierw do Sarajewa, potem do Kosowa. Chciałem poznać miejsca tak ważne dla Soizic, te, w których przeżyła ostatnie lata swego życia. Gdy dotarłem na miejsce, ogień wciąż się tlił. Kosowianie, Bośniacy i Serbowie, których spotykałem, byli przerażeni i bezradni. Ostatnie dziesięć lat przeżyli pod bombami, w chaosie, z którego z większym lub mniejszym powodzeniem starali się wydostać. Szukałem wspomnień po Soizic; jej duch jawił mi się na każdym zakręcie, w każdym ogrodzie, w każdym punkcie sanitarnym. Czuwał nade mną i towarzyszył mi w bólu. Było to dramatyczne, ale czułem się z tym dobrze.

Właściwie nic specjalnie w tym celu nie robiłem, ale wskutek rozmów z ludźmi powoli docierało do mnie, co działo się z Soizic tuż przed jej śmiercią. Jedna poufna informacja pociągała za sobą kolejną i tak dalej. Powoli poszlaki stworzyły pajęczą sieć. Poruszanie się po niej zmieniło moją żalobę w prywatne śledztwo w sprawie okoliczności, w których Soizic straciła życie. Dawno nie byłem w terenie, ale miałem doświadczenie z okresu pracy w organizacjach humanitarnych, niczego nie zapomniałem. Miałem kilka kontaktów, a przede wszystkim – miałem czas.

*

Od początku intrygowało mnie, co Soizic robiła w towarzystwie młodego dziennikarza z „Guardiana”, gdy zginęła. Facet nazywał się Timothy Mercurio. Wiedziałem, że na pewno nie mieli romansu, zresztą później dowiedziałem się, że był zdeklarowanym gejem. Ale też wiedziałem, że nie znaleźli się tam razem przez przypadek. Soizic mówiła po serbsko-chorwacku. Mercurio musiał poprosić ją, żeby mu towarzyszyła prawdopodobnie w charakterze tłumaczki. Kilka razy też doszła do mnie plotka, jakoby Mercurio prowadził śledztwo w sprawie Diabelskiego Domu, dawnego gospodarstwa w Albanii, które przekształcono w więzienie i gdzie kwitł handel ludzkimi organami.

Fakt, że w Albanii istniały kosowskie więzienia, nie był nowiną. Albania była bazą UCK, Armii Wyzwolenia Kosowa, która urządziła tam obozy dla więźniów. Ale Diabelski Dom to była całkiem inna sprawa. Podobno sprowadzano tam więźniów – głównie Serbów, ale również Albańczyków, oskarżonych o współpracę z Serbią – i dzielono ich na grupy ze względu na zapotrzebowanie na ludzkie organy. Po tej makabrycznej selekcji część dostawała kulę w łeb i wycinano im co trzeba. Mówiono, że ten podły proceder był dziełem ludzi Kuçedry, sekretnej organizacji mafijnej siejącej terror na całym terytorium.

*

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Na początku plotka ta wydała mi się szalona, poza tym był to, jak widziałem, okres sprzyjający cyrkulacji wyolbrzymionych przekazów ustnych, mających na celu zdyskredytowanie tego czy innego klanu. Niemniej postanowiłem kontynuować śledztwo, które zaczęli Mercurio i Soizic, przekonany, że nikt nie będzie umiał poprowadzić tej sprawy tak jak ja. W tamtych czasach na terenie byłej Jugosławii ginęły dziesiątki tysięcy ludzi. Osoby znikwały, dowody również, bano się mówić. Ale uparłem się, żeby to wyjaśnić, a im głębiej wchodziłem w historię Diabelskiego Domu, tym wydawała mi się ona bardziej prawdopodobna.

W miarę poszukiwań udało mi się ustalić tożsamość potencjalnych świadków tej nielegalnej i niemoralnej procedury, ale osoby te nie były zbyt rozmowne, zwłaszcza w kwestii szczegółów. Wielu z nich było chłopami czy drobnymi rzemieślnikami, zastraszone przez Kuçedrę. Pamiętasz, już ci o tym mówiłem. W legendach albańskich jest to zły smok, a właściwie demoniczna smoczyca z rogami; ma dziewięć języków, srebrne oczy, długi jaszczurczy korpus pokryty kolcami i dwa wielkie skrzydła. W wierzeniach ludowych Kuçedra żąda ofiar z ludzi i jeśli ich nie otrzyma, pluje ogniem, zabija i niszczy.

Któregoś dnia moja wytrwałość została nagrodzona. Odnalazłem kierowcę, który przewoził więźniów do Albanii. Po długich dyskusjach zgodził się podwieźć mnie pod Diabelski Dom. Posiadłość okazała się zniszczonym gospodarstwem w głębi lasu. Przemierzyłem cały teren wzdłuż i wszerz, ale nic nie znalazłem. Trudno było uwierzyć, że odbywały się tu jakieś operacje. Od najbliższej wioski dzieliło nas dziesięć kilometrów. Miejscowi byli wrogo nastawieni do obcych. Za każdym razem, gdy poruszałem ten temat, ludzie uparcie milczeli ze strachu przed represjami Kuçedry. Utrzymywali, że nie znają angielskiego.

Postanowiłem zostać tam kilka dni. W końcu żona jakiegoś dróżnika, którą poruszyła moja opowieść, zlitowała się nade mną i wyjawiała, co mówił jej mąż. Diabelski Dom był jedynie miejscem tranzytowym, w którym więźniowie poddawani byli różnym badaniom i analizie krwi. Ci, których organy odpowiadały zamówieniom, kierowani byli do pokątnej kliniki Fenix, na przedmieściach Istok.

*

Dzięki jej informacjom znalazłem tę klinikę. Budynek, który znalazłem tej zimy 1999 roku w Kosowie, był opuszczony i zniszczony; szabrownicy wynieśli cały materiał medyczny. Zostały dwa czy trzy zardzewiałe łóżka, kilka zepsutych aparatów, kubły na śmieci pełne plastikowych torebek i pustych pudełek po lekarstwach. Jednak najistotniejsze było moje spotkanie z bezdomnym, który tam zamieszkał. Kompletnie naćpany, mówił, że nazywa się Carsten Katz. Był to Austriak, anestezjolog, który pracował w tej klinice. Później odkryłem, że miał dwa znaczące przezwiska – Piaskowy Dziadek i Dyżurny Aptekarz.

Wypytałem go o klinikę, ale nie za bardzo nadawał się do rozmowy. Zlany potem, z błędnym spojrzeniem, związał się z bólu. Był uzależniony od morfiny i gotów na wszystko, żeby dostać swoją dawkę. Obiecałem, że mu się o nią postaram. Pojechałem do Pristiny, gdzie przez resztę dnia szukałem tego skarbu. Miałem wystarczająco dużo dolarów, żeby otworzyły się przede mną odpowiednie drzwi, i wykupiłem całą morfinę, którą udało mi się znaleźć.

Wróciłem do kliniki ciemną nocą. Carsten Katz wyglądał strasznie, jak zombie. Przerobił jeden z przewodów wentylacyjnych na kominek i rozpałił ogień z desek ze sklejki. Kiedy zobaczył dwie ampułki morfiny, rzucił się na mnie jak szalenciec. Sam zrobiłem mu zastrzyk i czekałem, aż dojdzie do siebie. W końcu wszystko mi opowiedział.

Potwierdził, że cała ta historia to prawda. Najpierw wstępne badania, które miały na celu wybranie ludzi z odpowiednimi organami. Potem

transport do kliniki Fenix. Tam zabijano ich kulą w głowę, po czym wycinano organy, głównie nerki. Nie było niespodzianką, że organy były przeznaczone dla bogatych cudzoziemców, którzy mogli zapłacić za przeszczep; taka operacja kosztowała w przeliczeniu na euro między pięćdziesiąt a sto tysięcy. Carsten powiedział, że biznes szedł świetnie. Zidentyfikował ludzi z Kućedry, grupkę kierowaną przez nikczemną trójkę, jakiegoś kosowskiego oficera, albańskiego mafiosa i francuskiego chirurga, Alexandre'a Verneuil. Dwaj pierwsi zajmowali się areztowaniami i transportem więźniów, a twój ojciec, Mathilde, zawiadywał częścią medyczną. Oprócz Katza zatrudniał całą ekipę lekarzy, dwóch chirurgów, tureckiego i rumuńskiego, oraz greckiego pielęgniarskiego. Znali się wszyscy na medycynie, ale byli na bakier z przysięgą Hipokratesa.

Według Katza w klinice Fenix odbyło się około pięćdziesięciu operacji. Zdarzało się, że nerki nie były przeszczepiane na miejscu, tylko wysyłane samolotem do klinik za granicą. Przycisnąłem Katza maksymalnie, obiecując mu więcej morfiny. Zdecydowanie twierdził, że Alexandre Verneuil był mózgiem całej operacji, że to on ją wymyślił i nią kierował. Najgorsze, że Kosowo nie było debiutem twego ojca; prowadził ten interes od chwili, kiedy zaczął pracować dla różnych misji humanitarnych. Dzięki rozwiniętej sieci i swemu stanowisku miał doświadczenie do baz danych w wielu krajach, co umożliwiała mu skontaktowanie się z poważnie chorymi, gotowymi na zapłacenie dużej sumy pieniędzy za pozyskanie potrzebnego organu. Płacono oczywiście gotówką albo przez konta w bankach *offshore*.

Wyjąłem z kieszeni płaszcz dwa kolejne ampułki morfiny. Katz popatrzył na nie pożądliwie.

– Chciałbym jeszcze, żebyś powiedział mi coś o Thimothym Mercurio – rzuciłem.

– O tym facecie z „Guardiana”? – przypomniał sobie Katz. – Ach, ten... Wytropił nas. Jeździł za nami kilka dobrych tygodni. Miał doskonałego informatora, kosowskiego pielęgniarskiego, który kiedyś, na początku, pracował dla nas.

Katz skręcił sobie papierosa. Palił łapczywie, jakby chciał się zachłusnąć.

– Faceci z Kućedry starali się go odstraszyć, ale on zgrywał bohatera. Któregoś wieczoru strażnicy złapali go z kamerą.

– Ale nie był sam.

– Nie. Była z nim taka blondyneczka, chyba asystentka albo tłumaczka.

– Zabiliście ich?

– Verneuil się tym zajął. Nie było innego wyjścia.

– A co zrobiliście z ciałami?

– Przewieźliśmy je pod Pristinę, żeby myślano, że wpadli w ostrzał. Wiem, że to smutne, ale nie zamierzam ich opłakiwać. Mercurio doskonale wiedział, na jakie ryzyko się naraża, przyjeżdżając tutaj.

*

Chciałaś znać prawdę, Mathilde, oto ona: twój ojciec nie był tym błyskotliwym, wspaniałomyślnym lekarzem, za jakiego się podawał. Był kryminalistą i mordercą. Potworem, mającym na sumieniu śmierć niezliczonych ludzi. I to on własnymi rękami zamordował jedyną kobietę, którą kochałem.

*

Wróciłem do Francji z silnym postanowieniem zabicia Alexandre'a Verneuil. Ale przedtem zebrałem i spisałem wszystkie świadectwa, które udało mi się zdobyć na Bałkanach. Wywołałem i posegregowałem zdjęcia, które zrobiłem, zmontowałem nagrania i długo jeszcze rozpracowywałem inne miejsca, w których twój ojciec oddawał się temu straszному procederowi, żeby mieć dowody oskarżenia. Chciałem, żeby nie tylko umarł, ale również żeby cały świat dowiedział się, jakim był potworem. W sumie pragnąłem tego samego dla niego, czego ty pragniesz dla mnie.

Gdy skończyłem tę pracę i wybiła godzina przejścia do działania, zacząłem go śledzić. Jeździłem za nim wszędzie. Nie wiedziałem dokładnie, jak się do tego zabiorę. Chciałem, żeby jeszcze przed śmiercią długo cierpiał, żeby wypił ten kielich goryczy do samego dna. Ale im więcej czasu mijało, tym silniej byłem przekonany, że to jeszcze za mało. Zabijając Verneuil, mogę uczynić z niego ofiarę. Mógł umrzeć zbyt szybko, a przecież chciałem, żeby cierpiał.

Jedenastego czerwca 2000 roku wszedłem do Dôme na boulevard du Montparnasse, ulubionej restauracji twego ojca. Zostawiłem u managera sali ksero zebranych przeze mnie dowodów, prosząc, żeby mu je wręczył, i wyszedłem, zanim mnie zauważył. Byłem zdecydowany użyć wszystkich moich odkryć i dowodów, żeby postawić go przed sądem. Kolejnym krokiem miało być przekazanie tych materiałów również prasie i telewizji. Ale chciałem, żeby się przedtem pomęczył, żeby zdychał ze strachu. Żeby miał czas wyobrazić sobie, jak powoli zaciska mu się na szyi pętla. Kilka długich bolesnych chwil, podczas których

w pełni świadomy zobaczy, jak na jego życie, na życie jego żony, dzieci i rodziców zwała się tsunami. Chciałem go zniszczyć.

Tymczasem wróciłem do domu. Nie miałem nic do roboty i czułem się tak, jakby na moich oczach Soizic umierała po raz drugi.

*

– Zidane prezydentem! Zidane prezydentem!

Obudziły mnie krzyki kibiców, którzy świętowali zwycięstwo Francuzów w piłce nożnej. Byłem zlany potem i zdenerwowany. Jeszcze nie wybiła dwudziesta trzecia. Całe popołudnie piłem, lecz mimo że byłem z lekka zamroczony, bałem się. Jak zareaguje taki cyniczny facet jak Verneuil? Raczej się nie podda. Cholera, zachowałem się jak szczeniak, nie zastanowiłem się nad konsekwencjami, zwłaszcza dla jego żony i dzieci.

Nagle zmroziło mnie ponure przecucie. Wypadłem z domu, biegiem dotarłem na parking Montalambert, wsiadłem do samochodu i przejechałem na drugą stronę Sekwany, w kierunku ogrodów Ranelagh. Gdy znalazłem się na boulevard de Beauséjour, przed domem, w którym mieszkali twoi rodzice, od razu pojąłem, że coś się stało. Elektrycznie zamykana brama na parking podziemny była otwarta. Wjechałem i zostawiłem tam swoje porsche.

Potem wszystko zaczęło dziać się bardzo szybko. Kiedy wcisnąłem guzik, żeby przywołać windę, na górze rozległy się dwa strzały. Wbiegłem na schody. Drzwi do mieszkania na drugim piętrze były uchylone. Gdy wpadłem do środka, zderzyłem się z twoim ojcem uzbrojonym w strzelbę. Podłoga i ściany przedpokoju były obryzgane krwią. Na końcu korytarza ujrzałem trupy twojej matki i brata. Ty byłaś następna na liście. Tak jak wielu przed nim, twój ojciec padł ofiarą morderczej furii: wystrzelał rodzinę, a na końcu miał zabić się sam. Rzuciłem się, żeby wyrwać mu strzelbę. Szarpaliśmy się na podłodze i nagle wystrzeliła mu prosto w twarz.

W ten sposób, nie wiedząc o tym, uratowałem ci życie.

14

Dwóch uciekinierów znikąd

Piekło jest puste, wszystkie demony są tu.

William Szekspir

1

Seria błyskawic oświetliła pokój, wkrótce rozległy się grzmoty. Mathilde siedziała przy stole w salonie, czytając wynurzenia Fawlesa. Wydawało jej się, że traci oddech, jakby tlen ulatniał się z pokoju. Bała się, że zemdleje.

Fawles poparł zeznania dowodami: wyjął z szafy trzy grube kartonowe koperty, rezultaty swojej pracy, które dołączył do maszynopisu.

Oto miała przed oczami zapis strasznych czynów swego ojca. Chciała prawdy, ale prawda okazała się wstrząsająca. Mathilde czuła, że tonie. Walenie serca omal nie rozerwało jej piersi. Fawles zapowiedział, że to będzie jak oblanie kwasem. Dotrzymał słowa, ale wycelował kwas prosto w oczy.

Miała do siebie pretensje. Jak mogła być tak ślepa? Nigdy, ani w dzieciństwie, ani później, nie zastanawiała się nad tym, z czego jej rodzina żyła. Dwieście metrów kwadratowych przy boulevard de Beauséjour, dom w górach, w Val d'Isère, willa na cap d'Antibes, zegarki ojca, wielka jak dwupokojowe mieszkanie garderoba matki. Ona zawsze chciała być dziennikarką i nią została, prowadziła dochodzenia w sprawach skorumpowanych polityków, osób ukrywających dochody czy też niemoralnych zachowań szefów dużych firm, ale nigdy nie zastanowiła się nad swoim ojcem. Nieśmiertelna przypowieść o źdźble w oku bliźniego i belce we własnym.

Spojrzała w okno. Fawles wyszedł na taras. Ze wzrokiem wbitym w horyzont stał nieruchomo, chroniony od deszczu przez drewniane belki patio. Wierny Bronco pełnił wartę obok niego. Mathilde wzięła do rąk strzelbę, którą odłożyła na czas lektury. Strzelba miała kolbę z drewna orzechowego i baskilę ze zdobionej stali, na której widniał

wizerunek wzbudzającej lęk Kućedry. Wiedziała teraz, że to broń, z której zginęła jej rodzina.

Co robić? – pomyślała.

Mogła strzelić sobie w głowę, to byłoby dobre zakończenie. W tej chwili zresztą przyniosłoby jej ulgę. Tyle razy czuła się winna, że nie zginęła razem z bratem. Mogła też zabić Fawlesa, spalić jego zeznania i wszystkie zapiski ze śledztwa, żeby za wszelką cenę ochronić pamięć po ojcu. Taki sekret rodzinny to plama, której nie da się zmasać. Jak tu mieć dzieci, jeśli zostawia im się w spadku taką historię? Jeśli taka hańba wyjdzie na jaw, splami dziesiątki następnych pokoleń. Mogła też zabić Fawlesa i siebie, żeby znikli wszyscy świadkowie. Wykreślić w ten sposób „sprawę Verneuilów” z historii.

Cały czas widziała w wyobraźni Théo. Były to wspomnienia szczęśliwych chwil z bratem, chwytających za serce obrazów, gdy radosna buźka braciszka przynosiła ukojenie. Te jego kolorowe oprawki od okularów i przerwa między przednimi zębami! Théo był do niej bardzo przywiązany. Ufał jej bezgranicznie. Często, gdy się bał – a bał się ciemności, potworów z bajek, panoszącej się na podwórku szkolnym klasowej chuliganerii – pocieszała go, powtarzała, żeby się nie lękał, bo gdy zajdzie potrzeba, ona zawsze będzie przy nim. Były to, jak się okazało, czcze obietnice, bo kiedy nastąpił ten jedyny raz, gdy brat rzeczywiście potrzebował jej pomocy, gdy naprawdę był w niebezpieczeństwie, nie mogła nic zrobić. Gorzej, w tej groźnej chwili pomyślała najpierw o sobie i ukryła się w swoim pokoju. Ta myśl była nieznośna. Nie będzie mogła z nią żyć.

Przez okno na taras widziała Fawlesa, który mimo deszczu zaczął schodzić na nabrzeże w kierunku łodzi. Przez chwilę myślała, że chce odpłynąć, ale potem przypomniała sobie, że kluczyki od rivy wciąż leżą w popielniczce przy wejściu.

W uszach jej szumiało, zdenerwowała się i przestraszyła, miotając wątpliwości. Nie było prawdą, że nigdy nie zastanawiała się nad swoją rodziną. Od kiedy ukończyła dziesięć lat, a może nawet jeszcze wcześniej, przeżywała okresy radosne, ale też ponure. Często męczyły ją, właściwie bez powodu, niepokój i niepewność. Potem nastąpił okres złego odżywiania się, w którego rezultacie dwa razy wylądowała w ośrodku zdrowia przy Domu Młodzieży.

Teraz wiedziała, że przyczyną tego był sekret podwójnego życia ojca, wyczuwała to, i jej brat również. Jego ciąгла melancholia, astma, nocne koszmary, brak pewności siebie i nagły spadek dobrych wyników w szkole... Od dzieciństwa niszczyło to ich oboje niczym regularnie podawana trucizna. Pod przykrywką doskonałej rodziny brat i siostra wyczuli strefę cienia i jej toksyczne działanie. Było to podświadome. Jak

telepaci musieli wylapywać zagadkowe słowa, zachowania, przemilczenia, ciszę, i to wszystko wprowadziło w ich duszach zamęt.

Czy matka wiedziała o zbrodniach ojca? Może nie, a może pogodziła się z tym i po prostu nie zadawała zbyt dużo pytań, dopóki pieniądze napływały strumieniami.

Świat Mathilde zawalił się. W ciągu kilku minut straciła wszystkie punkty oparcia, wszystko, co ją określało od tak dawna. Już miała skierować broń na siebie, gdy nagle coś ją zatrzymało, coś, czego desperacko szukała w obronie przed nieodwracalnym. Przypomniał jej się szczegół z relacji Fawlesa, a mianowicie to, w jakim porządku upadały ciała zabitych. Zaczęła wątpić w prawdomówność pisarza i otworzyła jej się klapka w mózgu: teraz była pewna, że jej ojciec zginął pierwszy.

2

Piorun za piorunem wstrząsały domem, miało się wrażenie, że willa za chwilę oderwie się od skały. Mathilde, wciąż nie rozstając się ze strzelbą, wyszła na taras i skierowała się ku schodom, po których wcześniej zszedł Fawles z psem.

Po chwili znalazła się na skalnej płycie pod domem. Fawles stał pod daszkiem wystającym z imponującej kamiennej ściany ozdobionej matowymi okrągłymi iluminatorami. Te okienka już przedtem ją zaintrygowały. To pewnie hangar na łodzie, pomyślała; mogłaby tam cumować riva, chociaż przy wyjątkowo silnej burzy fale z pewnością zalałyby nie tylko drewniany pomost, ale też skalną płytę, na której stała.

– Coś mi się nie zgadza w tej pańskiej opowieści – rzuciła.

Zmęczony, dotknął dłonią zeszywniałego karku.

– Chodzi mi o porządek, w którym upadały ciała zabitych – ciągnęła Mathilde. – Pan pisze, że mój ojciec, zanim sam zginął, zabił moją matkę, a potem brata.

– Tak było.

– Ale ja pamiętam to inaczej... Kiedy obudził mnie pierwszy strzał, wyszłam z pokoju i w korytarzu od razu zobaczyłam ciało ojca. Dopiero potem zabito mamę i brata.

– Tak ci się tylko wydaje. Upłynęło już dużo czasu.

– Wiem, co widziałam!

Fawles nie zareagował.

– Wspomnienia, które wracają po latach, wydają się precyzyjne, ale nie można na nich polegać. Nie są fałszywe, ale zostały zniszczone

i zrekonstruowane.

– Jest pan neurologiem?

– Nie, jestem pisarzem i dużo na ten temat czytałem. Pamięć po traumie może szwankować. Jakiś czas temu w Stanach był to modny temat, te „fałszywe wspomnienia”. Nazywano je „wojną wspomnień”.

Mathilde zaatakowała z innej strony.

– To śledztwo w Kosowie... Dlaczego wyłącznie pan się na nie zdecydował?

– Byłem na miejscu, a poza tym nie musiałem nikogo prosić o zezwolenie.

– Jeśli handel organami miał naprawdę miejsce, musiał zostawić ślady. Władze nie mogą takiej sprawy po prostu zamieść pod dywan.

Fawles uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nigdy nie brałaś udziału w wojnie, nie byłaś też nigdy na Bałkanach, prawda?

– Tak, ale...

– Zainteresowano się tą sprawą – przerwał jej. – Ale w tamtych czasach pierwszeństwo miało utworzenie prawomocnego państwa, a nie rozgrzebywanie ran po konflikcie. A poza tym z punktu widzenia administracyjnego panował tam mętlik. Zarządzające tymczasowo Kosowem misja ONZ i albańskie władze zrzuciły odpowiedzialność na siebie nawzajem. Podobnie konfliktowe były stosunki między TPIY i policyjną misją Eulex. Nikt nie miał pieniędzy na prowadzenie śledztw. Mówiłem, jak skomplikowane było zebranie wystarczającej liczby zeznań świadków i jak szybko znikwały dowody. Nie mówiąc już o barierze językowej.

Najwyraźniej Fawles miał odpowiedź na wszystko. Ale był pisarzem, a według Mathilde pisarz to zawodowy kłamca.

– Dlaczego wieczorem jedenastego czerwca dwutysięcznego roku brama od parkingu pod moim domem była otwarta?

Fawles wzruszył ramionami.

– Pewnie wyłamali ją Karim i Apolline, kiedy szli do mieszkania tych emerytów. O to powinnaś raczej zapytać któregoś ze swoich dziadków oprawców!

– A więc tamtego wieczoru, gdy usłyszał pan dwa strzały, szybko pobiegł pan do naszego mieszkania? – zapytała, nie ustępując.

– Tak, twój ojciec zostawił uchylone drzwi.

– Czy wydaje się to panu logiczne?

– Nic nie jest logiczne w zachowaniu kogoś, kto zdecydował się wymordować własną rodzinę!

– Zapomina pan o pieniądzach.

– O jakich pieniądzach?

- Pisze pan, że część pieniędzy zarobionych na handlu organami wylądowała na koncie czy też na kilku kontach *offshore*.
 - Tak, tak mi powiedział Carsten Katz.
 - Gdzie są te konta? Jestem jedyną spadkobierczynią ojca i nigdy o nich nie słyszałam.
 - To chyba zasada tajemnicy bankowej, zwłaszcza w tego typu kombinacjach.
 - W tamtych czasach, zgoda, ale teraz zrobiono trochę porządku w sprawach rajów podatkowych.
 - Myślę, że te pieniądze gdzieś tam sobie leżą.
 - A listy do Soizic?
 - Co z nimi?
 - Co te listy robiły w szafie mojej matki?
 - Twój ojciec musiał je znaleźć przy jej zwłokach.
 - Zgoda, ale to przecież kompromitujący dowód. Dlaczego zaryzykował i je zabrał?
- Fawles był niewzruszony.
- Bo były świetnie napisane. Bo stanowiły arcydzieło literatury epistolarnej...
 - Witaj, skromności!
 - Witaj, prawdo.
 - Ale dlaczego dał je mojej matce, przecież ona nie wiedziała o jego podwójnym życiu?
- Wreszcie Fawles, świadom, że jego wersja ma braki, przestał się bronić. Mathilde wykorzystała ten słaby punkt.

3

Samobójczy i autodestrukcyjny nastrój minął. Mathilde powoli wracała do siebie – tej dawnej, w wersji, którą lubiła: zapalczywa, pełna entuzjazmu i wytrzymała osoba, która od dzieciństwa z łatwością pokonywała przeszkody. Znowu była gotowa do walki. Pozostawało zwyciężyć wroga.

– Myślę, Nathanie, że nie mówi mi pan prawdy. Jestem pewna, że widziałam w korytarzu zwłoki mojego ojca, kiedy matka i Théo jeszcze żyli.

Nagle zobaczyła wszystko wyraźnie, obraz w jej umyśle był ostry, jasny i szczegółowy.

Ulewa powoli ustępowała. Fawles wyszedł spod daszku i zrobił kilka kroków po drewnianym pomoście. Ręce trzymał w kieszeniach. Kormorany i mewy krążyły nad nimi, skrzeczając przeraźliwie.

– Dlaczego mnie pan okłamuje? – spytała Mathilde, wchodząc za nim na drewniany mostek.

Fawles spojrzał jej w oczy. Nie przegrał, był zrezygnowany.

– Masz rację. Pierwszy strzał tamtego wieczoru faktycznie zabił tę osobę, której ciało widziałas w korytarzu, ale to nie był twój ojciec.

– To był mój ojciec!

Fawles zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Twój ojciec był zbyt dokładny, zbyt ostrożny, aby nie przewidzieć tej sytuacji. Zdawał sobie sprawę z wagi okropieństw, w których brał udział, i wiedział, że prędzej czy później coś może mu się stać. Miał przygotowany plan na wypadek, gdyby z dnia na dzień musiał uciekać.

Mathilde zamarła.

– Gdzie uciekać?

– Alexandre Verneuil zamierzał zmienić tożsamość i rozpocząć nowe życie. To dlatego konta *offshore* nie były założone na niego, ale na fałszywe nazwisko.

– O czym pan mówi? Czyje zwłoki widziałam w korytarzu, Nathanie?

– Ten facet nazywał się Dariusz Korbas. Był Polakiem, żył na ulicy ze swoim psem. Twój ojciec przyuważył go na boulevard du Montparnasse rok wcześniej. Był w tym samym wieku co on i podobnie wyglądał. Twój ojciec od razu się zorientował, jak korzystne było dla niego to spotkanie. Zaczął z nim gadać, wrócił następnego dnia i załatwił mu miejsce w przytułku.

Wiatr zmienił kierunek, wyciskając z chmur ostatnie krople.

– Twój ojciec często zapraszał go do restauracji. Dawał mu ubrania, których już nie nosił, i ułatwił mu dostęp do leczenia. Twoja matka była dentystką, przyjęła go kilka razy za darmo w swoim gabinecie, w ogóle nie wyobrażając sobie, co planuje jej mąż.

– A co planował?

– Chciał, żeby Dariusz mógł zająć jego miejsce w chwili, gdy on zdecyduje, że nadszedł czas upozorować samobójstwo.

Mathilde zachwiała się; wydawało jej się, że drewniany pomost zapada się pod wodę.

– Jedenastego czerwca dwutysięcznego roku Verneuil poprosił Dariusza Korbas, żeby wpadł do niego przed północą z torbą podróżną. Obiecał mu, że zabierze go na pokład *Fleuron Saint Jean*.

– *Fleuron Saint Jean*?

– To zamieniona w przytułek barka przycumowana na brzegu Javel, gdzie bezdomni mogą przebywać z psami. Plan twego ojca był prosty: zamierzał zabić najpierw Korbas, a później was. I tak się stało. Kiedy Dariusz przyszedł, twój ojciec poprosił matkę, żeby poczęstowała go kawą. W tym czasie przejrzał jego torbę, a w momencie, gdy mieli wychodzić, strzelił mu prosto w twarz.

Mathilde natychmiast zaprzeczyła: pamiętała doskonale, że ciało jej ojca zostało zidentyfikowane.

– To prawda! – przyznał Fawles. – Ciało zostało zidentyfikowane następnego dnia przez twojego dziadka Patrice’a Verneuil’a i twoją babkę. Zidentyfikowane w bólu i zamieszaniu. Było to zwykłe dopełnienie formalności, nikt nie podejrzewał podstęp.

– A policja?

– Policja skrupulatnie wykonała swoje zadanie: analiza zębów, porównanie DNA z grzebienia i szczoteczki do zębów znalezionych w łazience twego ojca.

– Ten grzebień i ta szczoteczka należały do Dariusza... – domyśliła się Mathilde.

– Do tego posłużyła jego torba podróżna – przytaknął Fawles.

– A zęby?

– To było najtrudniejsze, ale twój ojciec pomyślał o wszystkim. Ponieważ obydwaj leczyli zęby w gabinecie twojej matki, wystarczyło tego samego popołudnia podmienić prześwietlenia szczęki.

– A listy do Soizic? Dlaczego włożył je do szafy mojej matki?

– Chciał, żeby policja myślała, że miała kochanka. I że powodem tej masakry była jej zdrada. Inicjał „S” miał to potwierdzić.

Fawles potrząsnął głową, żeby zrzucić z włosów ostatnie krople deszczu. Teraz jego dosięgła przeszłość, od której cały czas uciekał.

– Kiedy zjawiłem się u was w mieszkaniu, twój ojciec zabił już Korbasa, twoją matkę i brata. Zostawił drzwi uchylone, pewnie żeby szybciej uciec. Ale teraz wiem, że chciał jeszcze zabić ciebie. Zacząłem wyrwać mu strzelbę i dałem kilka razy kolbą w twarz, żeby go unieszkodliwić. Potem zajrzałem do twojego pokoju, ale ciebie nie zobaczyłem.

– Wtedy musiałam poznać pana buty...

– Potem wróciłem do salonu. Twój ojciec był pobity, nieprzytomny, ale żył. Ja byłem w szoku. Co się naprawdę stało, zrozumiałem dużo później. Szybko zdecydowałem, że trzeba działać: dźwignąłem twojego ojca i zjechałem windą na parking. Zawlokłem go do samochodu i posadziłem na siedzeniu pasażera.

Mathilde zrozumiała teraz, dlaczego Apolline Chapuis przysięgała, że widziała w samochodzie pisarza dwie osoby.

– Wyjechałem z budynku i skierowałem się do najbliższego według mnie szpitala, Ambroise-Paré w Boulogne-Billancourt. Ale gdy dojechałem na pogotowie, nie zatrzymałem się. Jechałem całą noc. Obwodnica paryska, autostrada A sześć, potem ta do Prowansji, aż dojechałem do Tulonu. Nie mogłem oddać Verneuil’a do szpitala, żeby go wyleczyli. Nie mógł być jedynym, który ocalał ze spowodowanej przez siebie tragedii.

– Wczesnym rankiem dojechałem do Hyères. W międzyczasie twój ojciec się ocknął, ale związałem go pasami bezpieczeństwa.

Fawles mówił szybko i bez przerwy, tak szybko i tak bez przerwy, jak musiał prowadzić tamtej nocy.

– Następnie skierowałem się do portu Saint-Julien-les-Roses, tam stała moja łódź. Wtaszczyłem Verneuila na pokład rivity i dopłynęliśmy tutaj. Chciałem go zabić, tak jak zamierzałem, gdy wylądowałem w Kosowie. Powinienem był to wtedy zrobić, uniknęlibyśmy tej całej rzezi. Ale nie mogłem się do tego zabrać. Nie chciałem, żeby miał zbyt krótką, lekką śmierć. Chciałem, żeby cierpiał jak potępieniec.

Mówiąc to, Fawles zbliżał się coraz bardziej do hangaru na łodzi. Wydawało się, że trawi go gorączka.

– Żeby pomścić śmierć Soizic i wszystkich, których pozabijał, musiałem go wysłać prosto do piekła. Ale prawdziwe piekło to nie kula w łeb ani cios sztyletem w serce. Prawdziwe piekło to cierpienie przez wieczność, ta sama kara powtarzana w nieskończoność. Tak jak w legendzie o Prometeuszu.

Mathilde wciąż nie za bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

– Najpierw zamknąłem go w Krzyżu Południa i gdy wyciągnąłem z niego wszystkie informacje, więcej się do niego nie odezwałem. Myślałem, że potrafię zorganizować tę zemstę na długą metę, zemstę na miarę mojego cierpienia. Mijały dni, tygodnie, miesiące, lata. Lata samotności, izolacji. Lata kary, lata tortury, a to wszystko, żeby w końcu odkryć, że prawdziwym więźniem nie był Verneuil, byłem nim ja. Stałem się strażnikiem swojej samotności...

Oszołomiona pod wpływem strasznej prawdy, Mathilde cofnęła się o krok: oto Nathan Fawles przez lata więził jej ojca w tym hangarze na łodzi. W tym pomieszczeniu z matowymi okrągłymi okienkami, do którego nikt nie wchodził.

Przyjrzała się wbudowanej w skałę konstrukcji. Do środka wchodziło się przez wąski otwór z boku albo przez wielkie metalowe drzwi z przodu, jak w garażach. Spojrzała na Fawlesa, szukając w jego oczach potwierdzenia. Wyjął z kieszeni małego pilota i wymierzył go w drzwi; trzeszcząc i piszcząc, zaczęły się unosić.

Do wnętrza wdarł się podmuch wiatru. Mathilde poczuła straszny zapach spalonej ziemi, siarki i moczu.

Zbierając resztki sił, weszła w otwartą przed nią otchłań, gotowa na tę ostateczną konfrontację. Odblokowała zamek strzelby. Wiatr uderzał ją w twarz, ale, o dziwo, przyniosło jej to ulgę.

Bardzo długo stała w milczeniu. Metalowy zgrzyt wtopił się w szum wiatru. Nora Kućedry była pogrążona w mroku. Zgrzyt łańcuchów zrobił się wyraźniejszy, aż w końcu demon wyłonił się z ciemności.

Alexandre Verneuil nie był już podobny do istoty ludzkiej. Sina cera przypominała skórę węża, była sucha, marmurkowa. Siwy kołtun na głowie upodabniał go do czarownicy. Paznokcie miał ostre i długie jak lwie pazury, twarz fioletową, pokrytą wrzodami, a w niej dwie szczeliny w postaci szalonych, błędnych oczu.

Mathilde poczuła, że traci grunt pod nogami. Jej ojciec zmienił się w potwora. W kilka sekund stała się znów lękliwą dziewczynką bojącą się wilków i smoków. Przełknęła ślinę. W chwili gdy opuszczała strzelbę, przez chmury błysnęło światło, które odbiło się od delikatnej ryciny zdobiącej lufę. Ujrzała triumfującego smoka o srebrnych oczach i ogromnych rozpostartych skrzydłach. Jej ciało przeszył dreszcz. Chwyciła mocno za kolbę, ale...

*

– Mathilde! Boję się!

Głos przyplłynął do niej z dzieciństwa... Stare wspomnienie kołatające się w zakamarkach pamięci. Lato 1996 roku. Zatoka Sosnowa, kilka kilometrów stąd. Ciepły wietrzyk, cień iglastych drzew, odurzający zapach eukaliptusów. Théo zanoszą się śmiechem. Ma siedem lat. Sam wdrapał się na pierwszy poziom skały Punta dell’Ago, małej kamiennej wysepki wyrastającej z morza naprzeciw plaży. Teraz boi się zeskoczyć z powrotem do wody. Kilka metrów niżej w turkusowej toni pływa Mathilde. Podnosi głowę, spogląda w górę na skalisty czubek i krzyczy do brata, żeby dodać mu odwagi.

– Skacz, Théo! Potrafisz!

Chłopiec się waha, więc Mathilde kiwa na niego ręką i jak najbardziej przekonującym tonem woła:

– Zaufaj mi, skacz!

Magiczna formuła... Nie wolno nią szafować. Na dźwięk tych słów w oczach Théo pojawia się błysk, a jego usta rozchylają się w uśmiechu. Chłopczyk cofa się, rozpędza i rzuca się do morza. W głowie Mathilde zostaje obraz jak zatrzymany kadr, chłopiec wisi w powietrzu, niczym pirat szykujący się do abordażu. To chwila lekka, szczęśliwa, już pełna nostalgii, ale jeszcze daleka od balastu życia, od ciężaru, smutku i bólu.

*

Obraz zadrzał, rozmył się i znikł rozpuszczony w łzach Mathilde.

Wytarła policzek i zaczęła zbliżać się do smoka. Ten jakby zadrzał, w jego oczach nie było już nic groźnego, złowróźbnego. W kącie siedziało skurczone obrzydliwe stworzenie ze złamanymi skrzydłami ciągnącymi się po kamiennej podłodze jak rachityczny zewłok. Chimera oślepiona światłem dnia.

Na zewnątrz wył wiatr.

Mathilde wyprostowała się, dreszcze znikły.

Uniosła strzelbę.

Duch Théo wyszeptał jej do ucha: Zaufaj mi!

Już nie padało. Wiatr przegnał chmury.

Rozległ się tylko jeden strzał.

Suchy, szybki dźwięk, który uderzył w wyblakłe niebo.

EPILOG

Postscriptum do *Sekretnego życia pisarzy*

Guillaume Musso

Ostatniej wiosny, jakiś czas po ukazaniu się mojej ostatniej powieści, zaproszono mnie na wieczór autorski do jedynej księgarni na wyspie Beaumont. Jej dawny właściciel zmarł, Szkarłatna Róża została wykupiona przez parę bordoskich księgarzek, pełnych entuzjazmu młodych kobiet, które postanowiły ją unowocześnić i przywrócić do życia. Miałem być ojcem chrzestnym tej nowej wersji.

Nigdy jeszcze nie byłem na Beaumont. Nie wiedziałem też wiele o położeniu ani strukturze tej wyspy. Wyobrażałem sobie, że jest podobna do Porquerolles. Przyjąłem zaproszenie, ponieważ księgarki wydawały się sympatyczne, a poza tym wiedziałem, że przez prawie dwadzieścia lat mieszkał tam mój ulubiony pisarz, Nathan Fawles.

Wszędzie pisano, że mieszkańcy wyspy są nieufni i nieprzystępni, ale spotkanie autorskie i podpisywanie książek okazały się bardzo miłe, rozmowy z mieszkańcami Beaumont również były ciepłe. Każdy miał mi do powiedzenia coś ciekawego. Od razu poczułem się wśród nich dobrze. „Nasza wyspa zawsze lubiła pisarzy!” – zapewniły mnie obie księgarki. Zarezerwowały mi na weekend pokój w malowniczym pensjonacie na południu wyspy, niedaleko klasztoru benedyktynek.

Przez te dwa dni obszedłem wyspę wzdłuż i wszerz i szybko zakochałem się w tym zakątku Francji, który jakby nie był Francją. Takie Lazurowe Wybrzeże, ale bez turystów, bez arogancji, bez zanieczyszczonego środowiska i bez betonu. Nie umiałem stąd wyjechać. Postanowiłem przedłużyć pobyt i zacząłem szukać małej willi do kupienia lub wynajęcia. Wówczas dowiedziałem się, że na wyspie nie ma agencji nieruchomości, że część dóbr przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, a część przez rekomendację. Właścicielka mieszkania, które wynajmowałem, była starszą Irlandką, nazywała się Colleen Dunbar i gdy zwierzyłem się jej z moich zamiarów, powiedziała mi, że jest taki dom do wynajęcia, nazywa się Krzyż Południa i należał kiedyś do Nathana Fawlesa. Skontaktowała mnie z osobą, która zarządzała posesją.

Był to Jasper Van Wyck, ostatnia żyjąca legenda nowojorskiego świata wydawniczego. Był kiedyś agentem Fawlesa i innych znanych pisarzy. To on wydał *Lorelei Strange*, gdy większość manhattańskich

oficyn ją odrzuciła. Jeśli w prasie pojawiał się artykuł o Fawlesie, autorem zawsze był Van Wyck. Zastanawiały mnie stosunki między tymi dwoma mężczyznami. Jeszcze zanim Fawles postanowił zamilknąć na zawsze, wyglądało, jakby nienawidził ludzi – obojętnie, czy dziennikarzy, wydawców czy innych pisarzy. Zadzwoiłem do Van Wycka. Był na wakacjach we Włoszech, ale zgodził się przerwać je na jeden dzień, żeby pokazać mi Krzyż Południa.

Umówiliśmy się i dwa dni później Jasper przyjechał po mnie do domu Colleen Dunbar. Siedział za kierownicą wynajętego mini moke'a w panterkę. Okrągly i dobroduszny, wyglądał jak Peter Ustinov w roli Herkulesa Poirota: staromodny dandys z wąsikami i o figlarnym spojrzeniu.

Podjechaliśmy pod szczyt Safranier i znaleźliśmy się w ogromnym dzikim parku. Zapach morskiej bryzy mieszał się tu z wonią eukaliptusów i mięty. Kręta droga wzbijała się po stromym zboczu i nagle w tej samej chwili co morze ujrzałem dom Nathana Fawlesa, równoległocian z kamienia koloru ochry, szkła i betonu.

Natychmiast się w nim zakochałem. Zawsze marzyłem, żeby zamieszkać w takim miejscu: dom wrastał w skałę, rozpościerał się z niego bezkresny widok na błękit morskiej toni. Wyobrażałem sobie, jak moje dzieci ganiają się po kamiennym tarasie, a ja w pokoju z widokiem na morze siedzę przy biurku i piszę powieść za powieścią, tak jakby piękno krajobrazu mogło być niewyczerpanym źródłem natchnienia... Ale Van Wyck żądał za ten dom prawdziwej fortuny i na dodatek powiedział, że nie jestem jedynym kandydatem. Jakiś bogacz z Zatoki Perskiej odwiedzał już ten dom kilka razy i złożył konkretną ofertę. „Szkoda by było, żeby panu ta okazja uciekła sprzed nosa, ten dom jest stworzony do tego, żeby być domem pisarza” – oznajmił Jasper. Choć nie za bardzo wiedziałem, co to jest konkretnie dom pisarza, tak bardzo się przestraszyłem jego utraty, że ustąpiłem i zgodziłem się na ten szalony wydatek.

*

Wprowadziłem się do Krzyża Południa pod koniec lata. Dom był w dobrym stanie, ale trzeba mu było porządnego odświeżenia. Dobrze się składało, czułem potrzebę pracy fizycznej. Wstawałem co rano o szóstej, pisałem do obiadu. Popołudnie poświęcałem na odnawianie domu: malowanie, hydraulika, elektryka. Z początku dom onieśmiałał mnie. Był umeblowany, więc przez cały czas towarzyszył mi duch Fawlesa, który jadał śniadanie przy moim stole, piekł w moim piecyku,

pił kawę z mojej filizanki. Dość szybko jego osoba zaczęła mnie prześladować. Czy był tu szczęśliwy? – zastanawiałem się. Dlaczego w końcu go sprzedał?

Oczywiście już na pierwszym spotkaniu zadałem te pytania Van Wyckowi. Ten, mimo swojej zwykłej zyczliwości, odpowiedział krótko, że to nie moja sprawa. Zrozumiałem, że nie tędy droga, muszę zmienić metodę, bo inaczej dom na zawsze pozostanie dla mnie obcy. Jeszcze raz przeczytałem powieści Fawlesa, ściągnąłem na komputer wszystkie materiały na jego temat, a przede wszystkim zacząłem rozmawiać z mieszkańcami wyspy, którzy go znali. Opisywano go przychylnie. Z pewnością uchodził za niełubiącego turystów melancholika, nie pozwalał się fotografować i unikał rozmów o swoich powieściach, ale był zawsze grzeczny i pełen kurtuazji. Wszędzie uchodzący za opryskliwego samotnika, tutaj zachowywał się z humorem, nie stronił od towarzystwa i miał nawet swój stolik we Fleurs du Malt, miejscowym pubie. Jego nagła wyprowadzka zaskoczyła wszystkich. Okoliczności jej nie były jasne, ale wszyscy zgadzali się co do tego, że poprzedniej jesieni, po spotkaniu ze szwajcarską dziennikarką, która spędzała na wyspie wakacje, Fawles nagle przestał się pokazywać. Młoda kobieta nawiązała z nim kontakt, odnajdując jego zgubionego psa, golden retrievera Bronca, którego pisarz szukał przez kilka dni. Nikt nie wiedział nic więcej. Nawet jeśli nie powiedziano mi tego otwarcie, czułem, że mieszkańcy wyspy czuli się urażeni faktem, że Fawles znikł bez pożegnania. „Pisarze są zwykle nieśmiali” – usprawiedliwiałem go, ale nie wiem, czy ktokolwiek mi uwierzył.

*

Nadeszła zima.

Popołudniami wytrwale remontowałem dom, rankami pisałem. Prawdę mówiąc, nie pisałem dużo. Zabrałem się do niedokończonej powieści o tytule *Nieśmiałość szczytów*, ale jakoś nie mogłem dobrać do końca. Nie odstępował mnie okazały cień Fawlesa. Zamiast pisać, całe ranki myślałem o nim i zbierałem materiały na jego temat. Odnalazłem szwajcarską dziennikarkę – miała na imię Mathilde. Zadzwoiłem do jej redakcji, ale powiedziano mi, że wymówiła pracę, kropka. Dotarłem do jej rodziców, mieszkali w kantonie Vaud. Zadzwoiłem, powiedzieli, że córka ma się dobrze i że bym się od nich odczepił.

Remont na szczęście szedł mi lepiej. Najpierw odnowiłem główne pokoje, potem zabrałem się do reszty. Zacząłem od hangaru na łodzie, w którym Fawles najwidoczniej przechowywał swoją riwę. Jasper chciał

mi ją wcisnąć, ale odmówiłem, bo co bym robił z tak wielkim jachtem. Hangar był w domu jedynym miejscem naładowanym negatywnymi falami. Ciemny, zimny, ogarniał mnie strach, jak tylko tam wchodziłem. Zreperowałem światło, odnowiłem śliczne owalne okna, które przypominały iluminatory na statku, z tym że były zamurowane. To mi nie wystarczyło, więc zwałem ścianki działowe, które zmniejszyły pomieszczenie. W jednym z murów znalazłem zalane betonem kości.

Wpadłem w panikę. Czy to były ludzkie kości? Kiedy właściwie zbudowano ten hangar? Czyżby Fawles był zamieszany w jakąś zbrodnię? Z drugiej strony pisarze zawsze wymyślają jakieś historie. Byłem tego świadom... Porzuciłem tę myśl.

Dwa tygodnie później, gdy już się całkiem uspokoilem, znalazłem coś w kącie pod dachem. Były to seledynowa maszyna do pisania Olivetti oraz tekturowa teczka, w której było sto stron tekstu wyglądającego na niedokończoną powieść Fawlesa.

Od dawna nie byłem tak rozgorączkowany. Zszedłem do salonu z moim nowym skarbem pod pachą. Już zapadła noc i w domu było lodowato. Rozpaliłem ogień w kominku podwieszonym na środku pokoju i nalałem sobie bara no niwa – Fawles zostawił w barku dwie butelki swojej ulubionej whisky. Opadłem na fotel z widokiem na morze i zagłębiłem się w lekturze maszynopisu. Pierwszy raz czytałem szybko, zachłannie, drugi raz spokojnie, żeby w pełni docenić ekspresję tekstu. Lektura bardzo mnie poruszyła. Jeśli chodzi o siłę przeżycia, dało się to porównać z chwilami, w których poznawałem *Trzech muszkieterów*, *Mojego przyjaciela Meaulnes'a* czy *Księcia przyplływów*. Był to początek powieści *Niezwyciężone lato*, nad którą Fawles pracował w czasie, gdy rzucił zawód pisarza. Wspomniał o tym w ostatnim wywiadzie, którego udzielił AFP. Książka miała być powieścią rzeką, potężnym, pełnym humanizmu tekstem z całą galerią postaci mieszkających w Sarajewie podczas czterech lat oblężenia miasta. To, co czytałem, było jedynie początkiem – niepoprawioną, niewyczyszczone pierwszą wersją, surowym tekstem, który jednak wybuchał jak pożar i oślepił, doskonały jak wszystko, co Fawles napisał do tej pory.

Podczas kolejnych dni wstawałem z uczuciem wielkiej mocy w sercu, wiedziałem, że prawdopodobnie jestem jedyną osobą na świecie, która ten tekst mogła poznać. Po pewnym czasie stan euforii minął i zacząłem się zastanawiać, co się stało, że Fawles przerwał pisanie po tak wspaniałym początku. Wersja, którą przeczytałem, pochodziła z października 1998 roku. Fawles musiał być zadowolony z wyniku. Coś musiało się stać, że nagle przerwał pracę. Depresja? Nieszczęśliwa miłość? Strata ukochanej osoby? Czy ta decyzja miała coś wspólnego ze szczątkami, które znalazłem w hangarze na łodzie?

Na wszelki wypadek postanowiłem pokazać te kości specjalście. Kilka lat wcześniej, kiedy szukałem dokumentacji do kryminału, nad którym pracowałem, spotkałem Frédérique Foucault, antropolożkę kryminalną, która pracowała przy scenach zbrodni. Zaprosiła mnie do swego paryskiego biura w Państwowym Instytucie Archeologii. Udałem się na rue d'Alésia, z aluminiową walizeczką, w której złożyłem próbki znalezionych kości. Ale w ostatnim momencie, w długim korytarzu, stchórzyłem i zawróciłem. W imię czego narażałem Fawlesa na stratę dobrego imienia? Nie byłem ani sędzią, ani dziennikarzem. Byłem pisarzem, czytelnikiem Fawlesa, i nawet jeśli to naiwność, miałem pewność, że autor *Lorelei Strange* i *Rażonych piorunem* nie mógł okazać się ani świnią, ani zabójcą.

*

Odłożyłem więc sprawę nieszczęsnych szczątków na bok i poleciałem do Nowego Jorku na spotkanie z Jasperem Van Wyckiem, który zaprosił mnie do swego małego, zastawionego stertami maszynopisów biura w słynnym Flatiron Building. Na ścianach pozawieszano grawiury w sepii przedstawiające walki smoków, z których jeden był ohydniejszy i groźniejszy od drugiego.

– Czy to jest alegoria świata wydawniczego? – zapytałem dowcipnie.

– Może raczej świata pisarzy! – padła replika.

Był to tydzień przed Bożym Narodzeniem. Van Wyck, w świetnym humorze, zaprosił mnie na ostrygi do Pearl Oyster Bar na Cornelia Street.

– Mam nadzieję, że dom wciąż się panu podoba? – zapytał. Przytaknąłem, ale opowiedziałem mu o remoncie i o kościach, które znalazłem, zburzywszy ścianę w hangarze na łodzie. Jasper siedział przy barze, podpierając się łokciami. Lekko unióśł brwi, reszta twarzy pozostała kamienna. Nalał mi kieliszek sancerre, powiedział, że dobrze zna architekturę Krzyża Południa i że dom powstał w późnych latach pięćdziesiątych, wczesnych sześćdziesiątych, a więc na długo przed tym, jak kupił go Fawles, kości więc z pewnością należały do wilka albo wołu.

– To nie jest moje jedyne odkrycie – odrzekłem i opowiedziałem mu o stu stronach *Niezwykłego lata*. Najpierw myślał, że żartuję. Potem coś go tknęło. Wyjąłem z teczki dziesięć pierwszych stron maszynopisu. Van Wyck, rozgorączkowany, przebiegł je wzrokiem.

– Drań mówił, że spalił cały początek! – wykrzyknął i zamilkł. – Czego by pan zażądał w zamian za dalszy ciąg? – spytał po chwili.

– Niczego, nie jestem szantażystą! – odrzekłem i wręczyłem mu resztę.

Popatrzył na mnie z wdzięcznością i ostrożnie chwycił kartki, jakby to była relikwia. Gdy wychodziliśmy z baru, znów go zaczepiłem, czy ma jakieś nowiny od Fawlesa, ale nie odpowiedział.

Zmieniłem temat. Powiedziałem, że szukam w Ameryce agenta, który zająłby się moją nową powieścią. Chciałem opisać ostatnie dni Nathana Fawlesa na wyspie Beaumont.

– To fatalny pomysł! – odpowiedział szybko, wyraźnie zaniepokojony.

– To nie będzie biografia ani nic niedyskretnego – zaznaczyłem. – To będzie fikcja, tyle że zainspiruję się pewnymi elementami życia Fawlesa. Mam już tytuł: *Pustelnik*.

Twarz Jaspera ani drgnęła. Nie spotkałem się z nim, żeby szukać u niego pomocy czy pochwały, ale nie chciałem rozstać się skłócony.

– Na razie nie mam ochoty pisać o niczym innym – wyznałem. – Nie ma nic gorszego dla pisarza, niż nosić w sobie historię, której nie wolno mu opowiedzieć.

Tym razem Jasper pokiwał głową.

– Rozumiem – rzucił i dodał slogan, którym zawsze opędzał się od dziennikarzy. – Tajemnica Nathana Fawlesa polega na tym, że jej nie ma.

– Tym niech się pan nie martwi – odparłem. – Wymyślę ją, w końcu na tym polega moja praca.

*

Przed wyjazdem z Nowego Jorku zakupiłem w sklepie ze starymi maszynami do pisania na Brooklynie zapas taśm.

Dotarłem do Krzyża Południa w piątek pod wieczór, dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Było bardzo zimno, ale bajkowy widok słońca znikającego za horyzontem wciąż zapierał dech. Po raz pierwszy w życiu czułem, że wracam do siebie.

Nastawiłem winylową płytę z muzyką z filmu *Stara strzelba*, powalczyłem ze szczapami drewna, żeby rozpalić ogień w kominku, nałapałem sobie bara no niwa. Potem usiadłem przy stole w salonie przed bakelitową olivetti i założyłem taśmę.

Wziąłem głęboki wdech. Było wspaniale zasiąść wreszcie przed klawiaturą. Tu było moje miejsce, tu zawsze czułem się najmniej źle. Żeby się rozgrzać, wystukałem pierwsze zdanie, które przyszło mi na myśl.

Podstawową zaletą każdego pisarza są prężne pośladki.

Odgłos uderzających w papier klawiszy spowodował, że zadrżałem z emocji. Przystąpiłem do pracy. Wystukałem:

Rozdział 1

Wtorek, 11 września 2018

Wiatr trzepotał żaglami pod uderzająco błękitnym niebem.

Żaglówka wypłynęła z przystani wczesnym popołudniem i sunęła teraz z szybkością pięciu węzłów na godzinę w kierunku wyspy Beaumont...

No, zaczęło się... Ale za chwilę przerwał mi długi SMS od Jaspera Van Wycka. Przede wszystkim zawierał informację, że jest gotów zapoznać się z moją powieścią, gdy ją skończę (nie dałem się nabrać; to był wybieg, żeby nie tracić mnie z oczu). Następnie zapewnił, że Fawles ma się dobrze i że polecił mu podziękować mi za to, że zwróciłem te pierwsze sto stron, o których istnieniu jakoby zapomniał. Najwyraźniej traktując mnie z wielkim zaufaniem, Jasper dołączał zdjęcie z Marrakeszu, zrobione minionego tygodnia przez jakiegoś turystę. Turystą tym był pseudodziennikarzyna Laurent Laforêt, który rozpoznał Fawlesa na miejscowym placyku i zabawił się w paparazzo, po czym starał się wcisnąć swoje zdjęcia mediom plotkarskim, ale Jasper zdołał je przechwycić.

Zaciekawiony, spojrzałem na ekran komórki. Rozpoznałem „miejsce zbrodni”, bo odwiedziłem je podczas wakacji w Maroku. Był to bazar Haddadine, w dzielnicy ślusarzy i kowali. Pamiętałem ten labirynt wąskich uliczek pod gołym niebem, skupiska sklepików i warsztatów, w których rzemieślnicy kuli, topili i urabiali metal, żeby stworzyć lampy, latarnie, parawany i inne rzeczy z kutego żelaza.

Pomiędzy błyszczącymi iskrami wyraźnie widziałem trzy osoby: Nathana Fawlesa, tę nieszczęsną Mathilde oraz około roczne dziecko w wózku.

Mathilde miała na sobie skórzaną ramoneskę, krótką zakardową sukienkę i sandaalki na wysokich obcasach. Rękę oparła o ramię Fawlesa. Nie wiem, co emanowało z jej twarzy, ale było to coś bardzo łagodnego, ciepłego, energicznego i świetlistego. Fawles, w dżinsach, bladoniebieskiej lnianej koszuli i kurtce lotniczej znajdował się na pierwszym planie. Opalony, z jasnymi oczami, wyglądał jeszcze zupełnie nieźle. Okulary przeciwsłoneczne podniósł na czoło. Było jasne, że zauważył fotografa, rzucił mu spojrzenie typu „Odpierdol się, i tak nic nam nie zrobisz!”. Pchał wózek. Patrząc na twarzyczkę dziecka, wzruszyłem się: przypominało mi mnie, kiedy byłem mały. Blondynek, okrągłe okularki w kolorowej oprawce, przerwa między przednimi zębami. Mimo że zdjęcie zostało zrobione bez zgody portretowanych,

wychwytuje bezsprzecznie coś specjalnego, jakieś wewnętrzne porozumienie, spokój, doskonałość życia.

*

W Krzyżu Południa zapadła już noc. Nagle poczułem się w tych ciemnościach strasznie samotny. Ogarnął mnie smutek. Wstałem, żeby zapalić światło i pracować dalej.

Wróciwszy do stołu, znów spojrzałem na zdjęcie. Nigdy nie spotkałem osobiście Nathana Fawlesa, ale miałem wrażenie, że go znam, bo czytałem i bardzo lubiłem jego powieści oraz mieszkałem w jego domu. Całe światło na fotografii skupiło się na twarzy śmiejącego się radośnie chłopczyka. Nagle zrozumiałem, że Fawlesa uratowały nie książki ani pisanie, ale ta iskra, która błyszczała w oczach dziecka. Dzięki niej wypłynął na powierzchnię i mógł zacząć od nowa żyć.

Wyciągnąłem szklaneczkę z whisky w jego kierunku. Ogarnęła mnie nagła ulga, wiedziałem, że w końcu jest szczęśliwy.

Lorelei Strange

— ★ —

Nathan Fawles

*A Mathilde
Nathan Fawles
10 Mars 1998*



Little, Brown and Company
New York Boston London

Prawda a fikcja

Skąd przychodzi natchnienie?

Na spotkaniach autorskich, w rozmowach z księgarzami czy dziennikarzami, prędzej czy później zawsze ktoś stawia mi to pytanie. Wbrew pozorom nie jest ono tak naiwne, jak by się wydawało. Ta powieść, zatytułowana *Sekretne życie pisarzy*, która przedstawia zagadkowy proces powstawania powieści, jest próbą odpowiedzi. Wszystko może być potencjalnym źródłem natchnienia, materiałem do wykorzystania, ale nawet jeśli tak się dzieje, nic nie powraca w formie, w której się to ujrzało, przeżyło czy poznało po raz pierwszy. Jak w dziwnym śnie, każdy zaobserwowany szczegół przeistacza się w coś innego, stając się zaczątkiem wymyślanej historii, częścią powieści. Jest prawdziwy, ale nierealny.

Na przykład aparat fotograficzny, dzięki któremu Mathilde zdemaskowała zbrodniarza. Wpadłem na ten pomysł, przeglądając jakąś gazetę. Pisano tam, że na plaży w Tajwanie znaleziono aparat Canon PowerShot, zgubiony na Hawajach, który niesiony prądami wędrował morzem przez sześć lat. Ten prawdziwy zawierał wyłącznie zdjęcia z wakacji. Ten występujący w mojej powieści zawierał natomiast materiał wybuchowy...

Inny przykład: *Złotowłose anioł*, tytuł drugiej części książki, to pieszczotliwe przezwisko, które Vladimir Nabokov nadał swojej ukochanej żonie Verze w jednym z licznych listów, które do niej napisał. Były to bardzo piękne listy i to one podsunęły mi pomysł korespondencji między „S” a Nathanem Fawlesem, one oraz wzruszający dialog epistolarny między Albertem Camusem a Marią Casarès.

Wyspa Beaumont powstała w mojej wyobraźni, ale inspirowałem się tu z jednej strony zadziwiającym miastem Atherton w Kalifornii, a z drugiej, co było dużo bardziej pociągające, wyspą Porquerolles oraz wspomnieniami z podróży na Hydrę, Korsykę i wyspę Skye. Nazwy sklepików biorące się z żartobliwej gry słów (*Fleurs du Malt*, *Bread Pit*) też gdzieś kiedyś musiałem wypatrzeć podczas moich niezliczonych podróży w poszukiwaniu inspiracji.

Stracone złudzenia właściciela księgarni Grégoire’a Audiberta są w pewnym stopniu odbiciem rozgoryczenia Philipa Rotha i jego pesymizmu co do przyszłości świata książki i lektury.

W końcu Nathan Fawles, któremu towarzyszyłem na tych stronach z prawdziwą przyjemnością... Jego potrzeba samotności, rezygnacja

z dalszego pisania, z kontaktu ze światem mediów, jego burkliwość i gburowatość wzięły się z moich lektur na temat Milana Kundery, z tego, co wiedziałem na temat J.D. Salinger, Philipa Rotha (znów on!) czy Eleny Ferrante... Dziś mam wrażenie, że on istnieje naprawdę, tak jak ten wymyślony Guillaume Musso z zakończenia, i byłbym szczęśliwy, gdybym dowiedział się, że udało mu się odzyskać smak życia gdzieś w innym zakątku świata.

Spis cytowanych dzieł

- Str. 17 – Szekspir, *Król Lear*
Str. 23 – Dany Laferrière, *Journal d'un écrivain en pyjama*
Str. 39 – Margaret Atwood, *Negotiating with the dead: a writer on writing*
Str. 40 – John Steinbeck, *A Life in Letters*
Str. 49 – Umberto Eco, *Wyznania młodego pisarza*
Str. 62 – Gustave Flaubert, *Szkoła uczuć*
Str. 72 – Milan Kundera, *Sztuka powieści*
Str. 91 – Philip Roth, *Operacja Shylock*
Str. 93 – Zora Neale Hurston, *Dust Tracks on a Road*
Str. 108 – Raymond Queneau, *Ćwiczenia stylistyczne*
Str. 110 – przypisywane Eugène'owi Ionesco
Str. 125 – Françoise Sagan, *Je ne renie rien*
Str. 142 – Paul Féval, *Kawaler de Lagardère*
Str. 151 – Marcel Proust, *Strona Guermantes*
Str. 165 – Elena Ferrante, *Frantumaglia*
Str. 187 – Wergiliusz, *Eneida*
Str. 195 – Arthème Fayard, cytat Bernarda de Fallois à propos Simenona
Str. 197 – Henry Miller, *Lire ou ne pas lire*, magazyn „Esprit” kwiecień 1960
Str. 201 – John Irving, *Entretien*, magazyn „America”, nr 6, lato 2018
Str. 211 – Franz Kafka, *Listy do Mileny*
Str. 226 – Georges Simenon, *Błękitny pokój*
Str. 228 – Henri Bergson, *Śmiech. Esej o komizmie*
Str. 244 – William Szekspir, *Burza*

Pozostałe dzieła i ich autorzy, cytowani w powieści:

J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*; Stephen King, *Carrie*; J.K. Rowling, cykl *Harry Potter*; Frank Herbert, *Diuna*; Jiro Taniguchi, *Odległa dzielnica*; Georges Simenon, *Les Suicidés*, *L'homme qui regardait passer les trains*; James Joyce, *Finneganów tren*; Hergé, *Czarna wyspa*; Michael Connelly, *Poeta*; *Bajki z tysiąca i jednej nocy*; René Girard, *Kozioł ofiarny*; Louis Aragon, *Le roman inachevé*; Jean Giono, *Huzar na dachu*; Albert Cohen, *Oblubienica Pana*; Gabriel-Joseph de Guilleragues, *Listy portugalskie*; Guillaume Apollinaire, *Si je mourais là-bas...*; Aleksander

Dumas, *Trzej muszkietierowie*; Alain Fournier, *Mój przyjaciel Meaulnes*; Pat Conroy, *Księżę przyływów*; Baudelaire, *Kwiaty zła*; Antoine Blondin, *Un singe en hiver*.

Oraz:

Salman Rushdie, Mario Vargas Llosa, Francis Scott Fitzgerald, Michel Tournier, J.M.G. Le Clézio, Jean d'Ormesson, John Le Carré, Marguerite Duras, André Malraux, Arthur Rimbaud, Ernest Hemingway, Pablo Neruda, Cormac McCarthy.

Filmy: *W pełnym słońcu*, *Obywatel Kane*, *Mechaniczna pomarańcza*.

Przypisy

- [1](#) Tu znajdują się smoki – łaciński termin kartograficzny używany w średniowieczu na oznaczenie terenów nieznanych lub niebezpiecznych.
- [2](#) Przekład: Tadeusz Żeleński-Boy.
- [3](#) Różyczka – patrz pointa filmu Orsona Wellesa *Obywatel Kane*.
- [4](#) *Longtemps, je me suis couché de bonne heure* (fr.) – Przez długi czas kładłem się spać wcześniej (przekład Tadeusz Żeleński-Boy).
- [5](#) *Il regarda* (fr.) – Spojrzał.
- [6](#) *On n'aime que ce qu'on ne possède pas tout entier* (fr.) – Kocha się tylko to, czego nie posiada się w całości.
- [7](#) *Pieuvre* (fr.) – ośmiornica.